

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 12 (181) Grudzień 2019



Ewa Wachowicz – dama ze smakiem

Kraków miastem wydawnictw

Pod choinkę tylko książka!

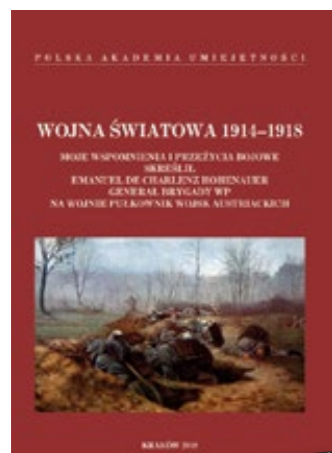


9 771733 045903 1 1

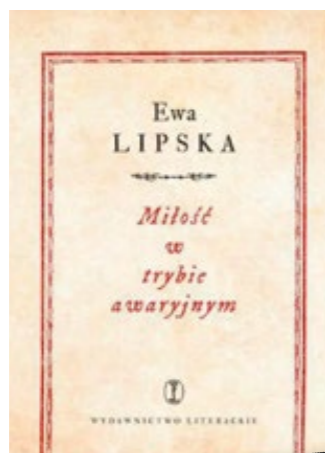
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

NASI PISZA...

...polecamy książki autorów miesięcznika Kraków!



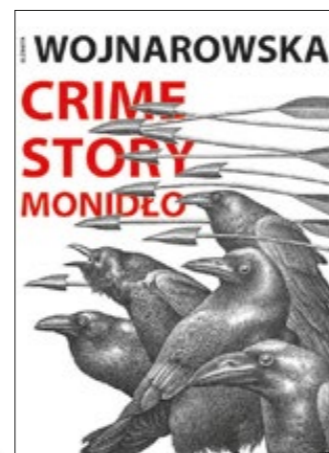
Ewa DANOWSKA
[Wspomnienia gen. de Charlenza Hohenauera]



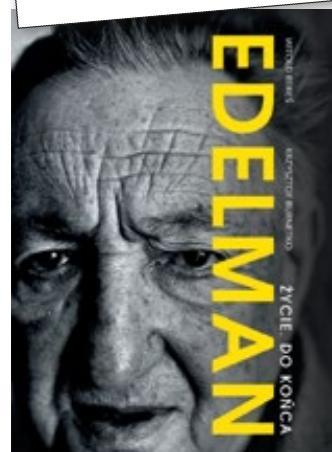
Ewa LIPSKA
Miłość w trybie awaryjnym



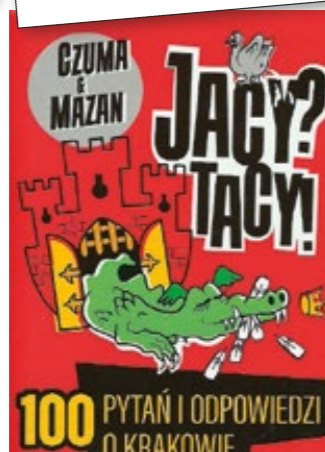
Katarzyna SIWIEC
Daję Waści złoty róg. Plotki o weselu ciąg dalszy



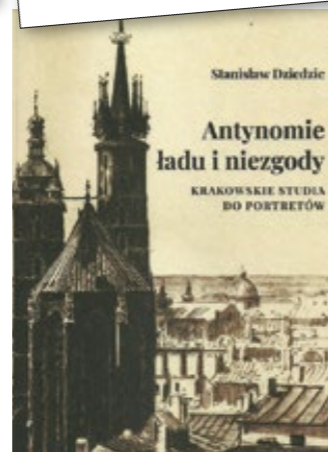
Elżbieta WOJNAROWSKA
Monidto



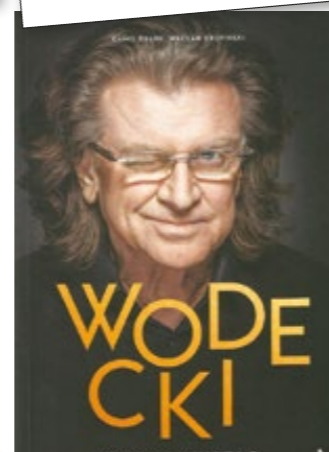
Witold BERES, Krzysztof BURNETKO
Marek Edelman. Życie. Do końca. (nowe wydanie)



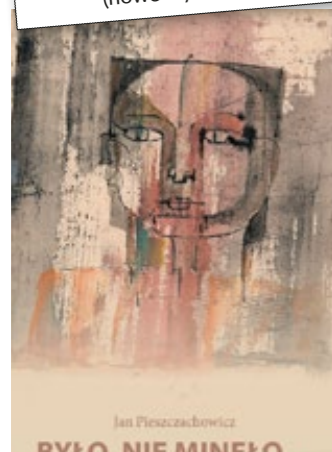
Mieczysław CZUMA, Leszek MAZAN
Jacy? Tacy! 100 pytań i odpowiedzi o Krakowie



Stanisław DZIEDZIC
Antynomie ładu i niezgody. Krakowskie studia do portretów



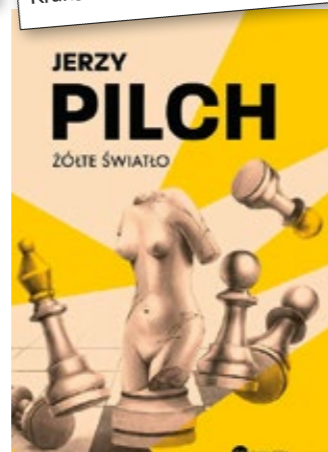
Kamil BAŁUK, Wacław KRUPINSKI
Wodecki. Tak mi wyszło



Jan PIESCZACHOWICZ
Było, nie minęło



Jerzy PILCH
Widok z mojego boksu



Jerzy PILCH
Żółte światło



Witold BERES, Krzysztof BURNETKO
Za wolność w Czerazie i dziś. List do Marka Edelmana



Ołtarz główny kościoła Bożego Ciała na krakowskim Kazimierzu (ok. 1634 r.), fot.: archiwum parafii Bożego Ciała w Krakowie

Nic co krakowskie, nie jest nam obce :)
Wybierz „Kraków”

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY I KLUBU PRZYJACIÓŁ

www.MiesiecznikKrakow.pl | zakładka: Prenumerata Klubu Przyjaciół

Boże Narodzenie na błędnych drogach sztuki religijnej

Tekst: Piotr Krasny

Zanim za niszczenie Bożego Narodzenia zabrały się handel i kultura masowa, jego sens był już mocno zdeformowany przez sztukę chrześcijańską.

W głównych ołtarzach kościołów umieszczano z reguły obrazy lub rzeźby wyrażające wezwanie tych świętyń. W przypadku wzniesionego około roku 1634 wielkiego ołtarza kościoła Bożego Ciała na krakowskim Kazimierzu dobór takiego wizerunku nie był jednak oczywisty. Prawda wiary o Bożym Ciele, czyli o chlebie eucharystycznym,

Podstawową przyczyną załamania Świąt Bożego Narodzenia jest pośpiech towarzyszący nie tylko ich przygotowywaniu, ale także obchodzeniu. Zmęczeni nim ludzie nie mają sił na refleksję, w związku z czym szukają prostych „poruszeń duszy”.

przeistoczoną w Ciało Chrystusa, mogła być bowiem ukazana w dziele sztuki tylko pośrednio, czyli poprzez przywołanie wydarzenia, które kojarzyło się z nią osobom znającym Biblię i jej katolicką interpretację. Dedykowanie kościoła Bożemu Ciału sygnalizowano więc najczęściej za pomocą przedstawienia Ostatniej Wieczerzy, w trakcie której Jezus przemienił – jak wierzą chrześcijanie – chleb w swoje Ciało i dał kapłanom władzę czynienia tego na Jego pamiątkę.

W kazimierskim kościele nie sięgnięto jednak po takie oczywiste rozwiązanie. W jego ołtarzu głównym umieszczono bowiem wielkie płótno przypisywane Tomaszowi Dolabelii, przedstawiające scenę hołdu pasterzy, czyli wydarzenia odgrywającego kluczową rolę w ikonografii Bożego Narodzenia. Taki koncept może budzić zdziwienie u wielu widzów, którym trudno dostrzec związek pomiędzy Bożym Narodzeniem a Eucharystią. Relacja ta była jednak zupełnie oczywista dla teologów głoszących, że każda Eucharystia przypomina o wcieleniu Boga, czyli o jego narodzeniu się w ludzkim ciele. Taką wymowę celebracji eucharystycznej miały potwierdzać liczne cuda, w trakcie których konsekrowana hostia przemieniała się na oczach kapłanów i wiernych w Dzieciątka Jezus jaśniejące nadprzyrodzonym blaskiem. Jednego

z takich cudów miał doświadczyć kapłan Galeazjusz z zakonu kanoników laterańskich, opiekujących się kazimierskim kościołem Bożego Ciała, co wpłynęło być może na wybór tematu obrazu w ołtarzu głównym tej świątyni. Dzięki takiej lokalizacji obraz ów ukazuje więc najgłębszy sens Bożego Narodzenia, które stało się jednym z dwóch najważniejszych świąt chrześcijańskich, ponieważ upamiętnia nadzwyczajne wyniesienie godności natury ludzkiej przez Boga, który stał się człowiekiem.

Owo wyniesienie, będące przez wieki nie tylko chrześcijańską prawdą wiary, ale także kluczowym argumentem uzasadniającym nowożytną koncepcję humanistyczną, tylko sporadycznie było wyrażane w dziełach sztuki w równie czytelny sposób. Za pomocą środków dostępnych malarstwu i rzeźbie nie można było bowiem ukazać bezpośrednio prawdy o Wcieleniu. Dostrzegł to jeden z Ojców Kościoła Euzebiusz z Cezarei, który na początku IV wieku pisał, że malarze są w stanie przedstawić tylko ludzką „połowę” Chrystusa, lecz nie dysponują środkami, aby wyobrazić jego Boską naturę. Pisarz ów wątpił więc w możliwość rozwijania sztuki chrześcijańskiej, zdolnej wyrażać największe prawdy wiary.

Artyści i teologowie określający programy ideowe rzeźb i obrazów starali się zaprzeczyć zastrzeżeniom teologa, ale w przypadku głębokiego sensu Bożego Narodzenia okazali się bezsilni. Próbowano wprawdzie sygnalizować boską godność Dziecięcia za pomocą bijącego z niego *luminis divini* (boskiego światła), ale obrazy posługujące się takim rozwiązaniem były w pełni zrozumiałe tylko dla nielicznych wiernych, znających symbolikę blasku, zapożyczoną przez chrześcijaństwo z filozofii neoplatonickiej. Nie należy się więc dziwić, że na fasadzie kościoła Santa Maria presso San Celso w Mediolanie opatrzone pod koniec XVI wieku przedstawienie Bożego Narodzenia napisem *Verbum Caro factum est* (Słowo stało się Ciałem), uzupełniając niepełny przekaz wizualny reliefu bezpośrednim cytatem z ewangelii, głoszącym w sposób jednoznaczny chrześcijańską prawdę o Wcieleniu.

Większość malarzy i rzeźbiarzy poszła jednak w tym samym czasie w zupełnie inną stronę, rezygnując z jakichkolwiek prób wyrażania owej prawdy wiary. Poprzestawali na tym, co mieści-

ło się w możliwościach ich sztuki, to znaczy ukazywali po prostu matkę i ojca z nowonarodzonym dzieckiem, odwiedzanych przez pasterzy, lub orszak trzech mędrców.

Opisane w ewangelii okoliczności tych odwiedzin rodziły pokusę popisywania się umiejętnością realistycznego wyobrażenia niezwykle szatowych gości, a także towarzyszących im mniej lub bardziej egzotycznych zwierząt. Obrazy popadały więc w rodzajowość, a uwagę widzów przyciągały często bardziej malowniczo ukazane stworzenia niż Dzieciątka, którego trzeba było wypatrywać wśród licznych postaci.

Pisarze kościelni wypowiadali się zdecydowanie przeciwko dążeniu artystów do osiągnięcia takich efektów, wzywając nawet bezskutecznie do usunięcia ze stajenki betlejemskiej wołu i osła, które nie zostały odnotowane w ewangelicznych opisach przyjścia Chrystusa na świat, ale miały towarzyszyć temu wydarzeniu zgodnie z tradycją, utrwaloną w sztuce sakralnej już w pierwszym tysiącleciu ery chrześcijańskiej.

W pieśniach o Bożym Narodzeniu, publikowanych licznie na przełomie XVI i XVII wieku w różnych krajach Europy Środkowej, starano się nie mieszać wzniosłych teologicznych prawd oraz zachwytów nad malowniczością wydarzeń i postaci towarzyszących przyścisłemu Zbawiciela na świat. Doprowadziło to do dość wyraźnego rozróżnienia kolęd i pastorałek, dla którego trudno znaleźć analogię w sztukach przedstawiających. Te ostatnie skłaniały się coraz bardziej ku pastorałkowym klimatom, co sprawiło, że sceny Bożego Narodzenia pojawiały się rzadziej w ekspozycjach ołtarzów, a szczególnie popularne stały się w obrazach przeznaczonych do domowej prywatnej dewocji i ukierunkowanych bardziej na budzenie „pobożnych afektów” niż na przekazywanie skomplikowanych treści nauki chrześcijańskiej.

Tę pierwszą funkcję przypisywano także jasełkom (zwanym dziś szopkami), które zaczęto powszechnie ustawiać w kościołach w XVII stuleciu. W nadawaniu im jak najwspanialszych form prześcigały się zwłaszcza zakony, które starały się przyciągnąć licznych wiernych do swoich świątyń, usytuowanych w dużych miastach. W tych okazjonalnych kompozycjach mnożono więc liczne dodatkowe scenki, które zwracałyby uwagę prostych ludzi, aby później skierować ją ku Nowonarodzoneму. Taki sposób duszpasterskiego oddziaływania na wiernych rzadko się jednak udawał, do czego przyczyniały się także naiwne próby animacji szopki. Według świadectwa Jędrzeja Kitowicza z połowy XVIII wieku do „osóbek stojących” dodawano figurki „ruszane”, którymi braciszczowie lub posługacze kościelni „różne figle wyprawiali”, ukazując nieodnotowane w biblijnych opisach Bożego Narodzenia scenki żołnierza kradnącego Żydowi futro lub szynkarki tańczącej z gachem. Przedstawienia te kończyły się w mało pobożny sposób, kiedy słudzy kościelni zaczęli odganiać batogami pospólstwo tłoczące się zbyt blisko szopki, wywołując „reprezentacją (...) daleko śmieszniejszą od akty jasełkowych, kiedy uciekający w tył (...) jedni przez drugich na kupy się wywracali (...) tłukąc sobie łby,

ł ręce i nogi, albo guzy i sińce bolesne o twarde uderzenie odbierając”.

Władze kościelne zakazały rychło takich „nieprzyzwoitości”, pozwalając tylko wystawiać „jasełka nieruchawe, związek z tajemnicą Bożego Narodzenia mające”. Owe kompozycje przypominały jednak wyłącznie o powierzchownym, widzialnym sensie tego wydarzenia, utrwalając jego emocjonalny odbiór nie tylko wśród ludzi „mało co statecznych” lub „pospólstwa drobnego”. Sztuka sakralna nie była w stanie przekroczyć swoich granic ko-

Sztuka sakralna nie była w stanie przekroczyć swoich granic komunikowania, a pozostając w nich, doprowadzała do zbanalizowania nauczania o Bożym Narodzeniu jako o wcieleniu Boga.

munikowania, a pozostając w nich, doprowadzała do zbanalizowania nauczania o Bożym Narodzeniu jako o wcieleniu Boga. Zanim więc za niszczenie Bożego Narodzenia zabrały się handel i kultura masowa, jego sens był już mocno zdeformowany przez sztukę chrześcijańską.

Przed kilkunastu laty wnikliwą analizę kryzysu Bożego Narodzenia przeprowadził zespół czeskiego etnologa Václava Frolca, który stwierdził, że podstawową przyczyną tego załamania jest pośpiech towarzyszący nie tylko przygotowywaniu do świąt, ale także ich obchodzeniu. Zmęczeni nim ludzie nie mają sił na refleksję, w związku z czym szukają prostych „poruszeń duszy”. W takim przeżywaniu Bożego Narodzenia „pomagają” im niestety nie tylko dość kiczowate szopki ustawiane w kościołach i na placach miejskich, ale także wybitne dzieła sztuki, których reprodukcje można oglądać choćby w licznych świątecznych wydaniach czasopism.

Szukając sensu świąt Bożego Narodzenia, postrzeżanego zarówno z perspektywy doświadczenia religijnego, jak i dziedzictwa kulturowego, warto więc udać się w te dni nie tylko na „obchód” szopki, ale spojrzeć także wnikliwie na ołtarz w kościele Bożego Ciała. Umieszczony w nim obraz Dolabelii wyraża bowiem przekaz Bożego Narodzenia w jego najgłębszym religijnym sensie, który rzadko udawało się ukazać w dziełach sztuki chrześcijańskiej.



Piotr Krasny – profesor w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalizuje się w dziejach sztuki nowożytnej, a zwłaszcza teorii sztuki religijnej formułowanej w trakcie dysput międzywyznaniowych od XVI do XVIII wieku. Zajmuje go również problem ochrony dzieł sztuki religijnej, obejmującej nie tylko same te dzieła, ale także czytelność ich pierwotnego przekazu ideowego.

**TEMAT MIESIĄCA:
KRAKÓW MIASTEM KSIĄŻEK I WYDAWCÓW****Grube ryby i ambitne płotki**Magdalena Huzarska-Szumiec: **s. 12**

Wydawnictwo Literackie i Znak, oficyny od lat są w czołówce na rynku domów książki. Publikują setki tytułów, w swoich „stajniach” mają najważniejszych autorów. Równocześnie publikują lżejsze pozycje, które pozwalają im zachować równowagę finansową. Grubym rybom urosła jednak w Krakowie konkurencja w postaci małych, acz znaczących oficyn, takich jak Karakter, Austeria, Halart, Universitas, a5 czy EMG. Mają one kompletnie inną filozofię.

Trup w wieży Mariackiej Dominik Jedliński **s. 27****ESEJ****Boże Narodzenie na błędnych drogach sztuki religijnej** Piotr Krasny **s. 1****KRAKÓW MÓWI****Blondynce się nie odmawia**
– z Ewą Wachowicz/Ewa Kozakiewiczowa **s. 21****ŁUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA****Prof. Richtera 10 sposobów na chirurgię**
Iwona Sitnik-Kornecka **s. 34****Miedziany Anioł**
z Dorotą Ślęzak/Katarzyna T. Nowak **s. 40**

Pod choinkę książki polecają:

Witold Bereś **s. 46**
 Krzysztof Burnetko **s. 52**
 Anna Woźniakowska **s. 68**
 Magdalena Oberc **s. 69**
 Jacek Balcewicz **s. 79**
 Janusz M. Paluch **s. 82**

Rekomendacje:
Fotograficzne obrazy Hartwiga**W jazzie nie ma granic**
z Adamem Pierończykiem/Mateusz Borkowski **s. 54****Kronika kulturalna** **s. 87****Krakowski łącznik** **s. 90****Kraków (Główny)** **s. 91****Linia A-B** **s. 92****OBYWATELE KRAKOW A****Trwać z cierpieniem (ks. Lucjan Szczepaniak)**
Magdalena Oberc **s. 8****HISTORIA****FOTO RETRO** Krzysztof Jakubowski **s. 10****Architekt od Słowackiego** Ewa Danowska **s. 62****KALENDARUM KRAKOWSKIE****Grudzień 1919** Krzysztof Jakubowski **s. 59****BYŁO, NIE MINĘŁO** Jan Pieszczachowicz **s. 78****TEATR****Pomarańczowa marynarka** Paweł Głowacki **s. 66****FILM****Taśmy prawdy, taśmy zachwyty**
Maria Malatyńska **s. 74****LITERATURA****Profesor zabił poetę?**
ze Stanisławem Stabro/Elżbieta Wojnarowska **s. 70****WIERSZE****Stanisław Stabro** **s. 72****KSIĄŻKI****Nasza biblioteka** **s. 84****GALERIA „KRAKOWA”****Joanna Karpowicz** Magda Huzarska-Szumiec **s. 48****KRAKÓW W MOIM SERCU****Anna Seniuk** Jacek Balcewicz **s. 83****FELIETON****NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska **s. 5****OKIEM BERESIA** Witold Bereś **s. 6****Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko **s. 7****SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma **s. 81****NA OSTATNIĄ STRONĘ** Jerzy Pilch **s. 96****OKŁADKA****Ewa Wachowicz** Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Śniło mi się, że znalazłam się w kraju, którego nie znałam. Obywatelom rozdawano instrukcję obsługi państwa. Kiedy próbowałam ją uruchomić, wybiło korki. Przewód zasilający nadzieję nie działał. Na ekranach wyświetlano filmy partyjnego niepokoju. W domowych gniazdkach dochodziło do coraz większych rodzinnych spięć. Ktoś komuś czyścił pamięć. Włączały się czerwone światła. Naród tracił zasilanie. Po prostu, jak w piosence: „Sen jak co dzień, zwykły sen jak co dzień”...

Ewa Lipska



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Szef i Jego książki

Tekst: Witold Beres

Tak się złożyło, że miałem w życiu tylko dwóch prawdziwych Szefów: Jerzego Turowicza i Adama Michnika. Łączy ich przynajmniej jedno: ubóstwienie książek.

W grudniu mija rocznica – co z tego, że nieokrągła – urodzin jednego z nich, nim więc się zajmijmy. Jerzy Turowicz założył i przez ponad pół wieku był redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego” – najważniejszego, obok „Polityki”, pisma opinii czasów PRL. I w 1989 roku przyjął mnie do pierwszej w życiu etatowej pracy.

W redakcji było, owszem, bardzo miło, nowi koledzy byli sympatyczni, Szef się co chwilę uśmiechał, a godziny pracy były kompletnie, ale to kompletnie dowolne. Szef dawał ludziom pracować – jakby chciał powiedzieć: sprawdź się w działaniu.

Już to, prócz dziesiątek innych przyczyn, powodowało, że wszyscy w Firmie czuli wobec niego respekt. Nigdy zresztą dla młodszyc na Wiślnej nie był – nawet w rozmowach przy piwie – „Naczelnym” czy „Starym” – tylko właśnie „Szefem”. Imponowało jego podejście do ludzi: ciepłe, a z drugiej strony stanowcze. Że niby drzwi do niego zawsze są otwarte, ale że sam kilka razy je zamyka: gdy wzywa do siebie osobę, która zachowała się źle, a ta, czy należała do redakcji starszej czy młodszej, wychodzi potem stamtąd na palcach i przeprasza wszystkich.

Albo: trwa jakaś – jak zwykle chaotyczna – dyskusja: drukować tekst czy nie? Górę biorą argumenty raz jednej, raz drugiej strony. Zza rozpalonych głów, ze swego kąta pod oknem nieśmiało w górę podnosi dłoń Szef. Przez chwilę nikt tego nie zauważa, wreszcie wszyscy milkną i z szacunku, i w nadziei, że to właśnie ich zdanie zostanie poparte. On spokojnie: „Tego nie drukujemy”. Ktoś próbuje oponować: „Ale...”. „Nie. A teraz inna sprawa...”. Wzniesiona ręka ucina dyskusję. Istnieje legenda, że w czasach Turowicza „Tygodnik” redagował się sam. Nieprawda. Pismem do końca rządził Szef. Choćby przez istniejącą w zespole świadomość, że nie można Go zawiesić, że On zobowiązuje i nie można dać ciała.

Bywał też Szef gniewny (najostrzejsza z jego ocen: „to kompletny bałwan”, miała moc równą najwulgarniejszej w innych ustach obelgi). Oraz uwodzicielski. Kolejna, z nieustannie wyszukiwanych przez młodą część redakcji, utalentowana reporterka. Ma długie nogi i w dodatku na przynoszonej ze sobą macie lubi siadywać w kącie redakcji w pozycji kwiat lotosu. Niespodziewanie zjawia się Szef. Zza pleców wyciąga bukiet fiolków i z uśmiechem jej wręcza: „To dla pani”.

A był jeszcze Turowicz dowcipny (kawały żydowskie na zebraniach), słuchający jazzu, a czasem i rocka, uczestnik życia bohemy krakowskiej, wpatrzony w żonę, panią Annę. Ciepły, nieustannie pracujący, podróżujący, punktualny i solidny do granic.

Gdy w wolnej Polsce standardem się stało, że szefowie kryją się za plecami sekretarek, tłumacząc, dla kogo są, a dla kogo nie – Kasia Morstin, jedna z nich, kiedyś niebacznie pyta Szefa: „Przepraszam, Panie redaktorze, dzwoni Pipsztycki, czy Pan jest?”. A on, z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia, odpowiada: „No przecież widzi Pani – jestem”.

Jest wreszcie Szef kochający książki. Wszystkie – te z półki wysokiej i uchodzącej za niższą. Bo prócz filozoficznych i teologicznych traktatów, klasycznych powieści i młodej poezji, esejów o sztuce i jazzie, także, na przykład, kryminały.

O tej ostatniej pasji napisał nawet w „Tygodniku”, zauważając, że w Polsce w pierwszych latach po wojnie nie wydawano powieści kryminalnych, wychodząc z założenia, że w kraju budującym socjalizm nie ma miejsca na tak niepoważną, a może nawet niemoralną, rozrywkę. „Pogląd ten został na szczęście przewyższony”. A „książki kryminalne czytają wszyscy, tak ludzie prości, jak i intelektualiści, dla których tego rodzaju lektura stanowi rozrywkę i odprężenie”.

Jego – i Jego żony, pani Anny, biblioteka stała się legendą. W czteropokojowym mieszkaniu na ulicy Lenartowicza książek nie było jedynie w kuchni. Poza nią były wszędzie – i to nie tylko na półkach, ale i podłodze.

Sam swój księgozbiór szacował na „ze dwadzieścia tysięcy”. Przyznawał: „Wchodzę do księgarni po jakąś książkę i nawet jeśli jej nie znajduję, wychodzę z trzema innymi. Nasz przyrost naturalny to co najmniej jedna książka dziennie”. A pani Anna rzuciła mu czasem półżartem: „Wszystko, co w życiu zarobiłeś, utopiłeś w tych książkach!”.

Są jeszcze gdzieś tacy szefowie?



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kra-ków”.

Miasto wydawnictw

Tekst: Krzysztof Burnetko

To, że w Krakowie działają najważniejsze wydawnictwa w kraju, wynika zapewne z tradycji kulturalnej miasta czy też, by rzec szumnie, jego *genius loci*. Ale jest to też zasługa tworzących te oficyny ludzi.

O t, takie Wydawnictwo Literackie... Wystarczy powiedzieć, że jako bodaj jedyne w Polsce (oprócz serii Biblioteka Narodowa) nie zaniechało edycji krytycznych rodzimej klasyki – dowodem zakrojone na wiele tomów *Dzieła zebrane* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (na marginesie: właśnie w ich ramach ukazał się ostatnio pierwszy pakiet listów Herlinga i Jerzego Giedroycia – rzecz bezcenna dla pasjonatów historii PRL-u i emigracji, rodzimej myśli politycznej, krajowej i światowej – rosyjskiej zwłaszcza – literatury, a w końcu barwnych osobowości). Równocześnie WL wydaje od lat równie monumentalne *Dzieła zebrane* Czesława Miłosza (współ z drugim krakowskim gigantem, czyli Znakiem) i *Pisma zebrane* Witolda Gombrowicza – także w formule opracowania krytycznego. Do tego dochodzą inne pomnikowe przedsięwzięcia – choćby *Dzienniki* Jana Józefa Szczepańskiego (niedawno wyszedł ich ostatni, szósty, tom) czy *Dzienniki* Sławomira Mrożka. Znowu: każdy z tych tytułów, prócz wartości czysto literackiej, jest fundamentalnym źródłem dla dziejów krajowej kultury, obyczajów, polityki, powojennej historii Krakowa wreszcie.

Sztuką zarządzających WL jest to, że firmę wciąż stać na takie, owszem epokowe, lecz niedochodowe przeciwieństwo zwykłego przedsięwzięcia.

Pomaga pewnie między innymi sprzężenie zwrotne – wszak budowana przez takie właśnie tytuły renoma przyciąga do WL autorów pokroju Olgi Tokarczuk: Szczepana Twardocha czy Jacka Dukaja – gwarantujących zyskowne już nakłady.

Albo taki Znak... Prócz wspomnianych *Dzieł zebranych* Miłosza może on chlubić się choćby serią poważnych (a równocześnie przednio napisanych) monografií na temat rozmaitych epizodów i postaci II wojny światowej, autorstwa między innymi tak uznanych badaczy jak Ian Kershaw, Roger Moorhouse czy Antony Beevor. A choć w powszechnym mniemaniu książki o historii najnowszej dobrze się sprzedają, to bodaj nikomu z rodzimych konkurentów nie udało się utrzymać tak długo podobnej serii i to na niezmiernie wysokim poziomie. Nie może być przypadkiem, że w drużynie historyków Znaku są też Norman Davies i Timothy Snyder. Osobną zasługą Znaku jest niezaniechanie propagowania trudnej przecież myśli niegdysiejszego filaru oficyny – ks. prof. Józefa Tischnera. To przecież również nie przynosi już pewnie profitów.

I znowu: chwała menedżerom i redaktorom Znaku za takie kształtowanie polityki firmy – zwłaszcza poprzez różnicowanie oferty – które pozwala także na publikowanie, cóż z tego, że niszowych, ale ambitnych tytułów.

Jeszcze trudniejsze zadanie mają mniejsze oficyny. Tu zakres manewru tytułami dochodowymi i tymi,

które niekoniecznie muszą dać zysk, jest dużo mniej szczy. Co gorsza, każdy błąd może okazać się ostatnim.

Tymczasem kilka małych krakowskich wydawnictw wypracowało silną pozycję w branżowej czołówce – i to właśnie dzięki temu, że odważyły się na ryzyko postawienia na tytuły elitarne, a więc ad-

Sukcesem jest już samo utrzymanie się na trudnym dziś rynku książki. A krakowskie oficyny są na dodatek w elicie branży.

resowane do, zdawałoby się, niewielkiej liczby odbiorców.

Któż dziś czyta wiersze? – to częste już od lat i pozornie retoryczne pytanie. Tymczasem Wydawnictwo a5 Krystyny i Ryszarda Krynickich oparta jest właśnie na wydawaniu poezji. Owszem, najwyższej jakości – ale właśnie stąd wziął się sukces, bo tym jest już samo utrzymanie się na skrajnie trudnym dziś rynku.

A kogóż dziś, prócz naukowców, i to nielicznych, interesuje publicystyka z czasów PRL (choćby nawet autorów klasy Jerzego Turowicza i Jacka Woźniakowskiego) czy akademickie rozprawy z zakresu historii sztuki czy krytyki literackiej? Tymczasem katalog prowadzonego przez Andrzeja Nowakowskiego Universitasu pełen jest takich właśnie pozycji – firma jednak nie pada, a ów katalog jest na dodatek całkiem obszerny.

Na iluż wreszcie czytelników może liczyć twórczość zapomnianych często kompletnie autorów z Europy Środkowej (m.in. piszących w jidysz), subtelne eseje o wysokiej kulturze czy, znowu, poetyckie refleksje z różnych, czasem odległych epok. A jednak Wojciechowi Ornatowi udaje się wydawać dziesiątki takich pozycji i to często w różnych językach. Jego zaś Austeria ma już filie w Budapeszcie i Syrakuzach.

Zatem się da? Da. Trzeba tylko, powtórzmy, *genius loci* i świetnych, przekonanych do sensu swojej misji, ludzi.

I dlatego są oni bohaterami tego numeru „Kra-kowa”.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Trwać z cierpieniem

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: Jan Zych



*Kochany Doktorze, leczyć chorych, gdy jest nadzieja,
To niewielka sztuka...
Wbrew nadziei do końca z nimi trwać,
To wielkie człowieczeństwo.*

Ks. dr hab. nauk teologicznych Lucjan Szczepaniak. Kapłan, lekarz, poeta. Od 24 lat kapelan w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie. Autor wielu prac naukowych, członek Zespołu Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych, organizator cyklicznych konferencji naukowych „Etyka w medycynie”, redaktor naczelny „Bioetycznych Zeszytów Pediatrii”, instruktor Związku Harcerstwa Polskiego, Kawaler Orderu Uśmiechu, laureat nagrody Miłosierny Samarytanin.

– Towarzyszę dzieciom w cierpieniu, a niekiedy także w ich ostatnich chwilach życia – odpowiada, gdy pytam, co jest najważniejsze w jego pracy. – Niektórzy uważają, że jest mi łatwiej, bo jestem również lekarzem, ale to nigdy nie jest łatwe.

Nie planował pracy w szpitalu dziecięcym, ale – już jako alumn w Zgromadzeniu Księży Sercanów – został skierowany na staż do oddziału hematologii dziecięcej u prof. Jerzego Armaty. Ten namawiał go, by rozwijał karierę jako lekarz, ale ks. Szczepaniak nie chciał zrezygnować z posługi kapłańskiej. Przez lata pracy w szpitalu ochrzcił ponad 3,5 tysiąca dzieci, ponad 700 udzielił sakramentu bierzmowania, wiele razy widział śmierć dziecka. – Ale byłem też świadkiem wielu cudownych uzdrowień i nawróceń – wspomina. – W natłoku codziennych spraw nie mamy czasu zastanowić się nad sensem życia, a choroba dziecka wszystko zmienia, jest trudnym sprawdzianem dla całej rodziny.

Obserwowanie tych rodzinnych dramatów, codzienne czuwanie przy chorych, pocieszanie rodziców to ogromne obciążenie emocjonalne, które znalazło swoje ujście w poezji.

– Jeszcze na studiach medycznych pisałem „do szuflady” – opowiada. – Kiedy już zostałem kapelanem w szpitalu, napisałem *Dziecięcą eroicę* i to był taki przełomowy wiersz. Czasami cytowałem moje wiersze podczas kazań i tak one zaczęły docierać do ludzi.

Pierwszy tomik *Łzy Boga* ukazał się w 1999 roku. Wstęp napisał ks. Jan Twardowski. Kolejny, ósmy już zbiór poezji jest przygotowywany do druku. Pełne pokory, wiary i miłości bliźniego poezje księdza Szczepaniaka są obrazem codzienności życia szpitalnego. Czasem to właśnie on jest powiernikiem dzieci, które nie chcą obarczać rodziców swoim lękiem lub gniewem.

*Jestem ciężko chora,
Lekarz powiedział, że umrę...
Proszę cię jednak,
Nie mów o tym mamie...*

Jednak nie zawsze jest mile widzianym gościem. – Dziś wielu ludzi nie szuka Boga, nie chce myśleć o śmierci; wierzą, że medycyna może wszystko i na pewno znajdzie się ratunek, jeśli nie tutaj, to za granicą – opowiada ks. Lucjan. – Ja się nie narzucam, ale wiem, że właśnie dzisiaj, kiedy społeczeństwo jest tak laickie i skupione na ulotnych wartościach, właśnie dziś jestem tutaj bardziej potrzebny niż kiedykolwiek przedtem.

*W kaplicy szpitalnej bronię wiary,
Jak na barykadzie ludzkiego zbawienia.
Zasypywany jestem pociskami rozpacz.
Przebijany nieufnością do Boga i ludzi.
To jest prawdziwa walka,
W której nierówne są siły.*



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiczka, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.



Dni Krakowa 1936. Powitanie wojewody krakowskiego płka Michała Gnoińskiego (czwarty z prawej) oraz wicewojewody Piotra Małazińskiego (piąty z prawej) przez harcerzy w miejscu, gdzie stanął później hotel Cracovia. Fot. NAC.

Zanim stanęły hotel Cracovia i kino Kijów...

Tekst: Krzysztof Jakubowski

W drugiej połowie lat 30. ubiegłego wieku na kilkukhektarowej działce, ograniczonej dzisiejszymi alejami Krasińskiego i Focha oraz ul. Dunin-Wąsowicza, rozpoczęto przygotowania pod dużą budowę. W swoim *Autoportrecie z pamięci* tak wspominał o tej inwestycji mieszkający wtedy w sąsiedztwie, bo przy ul. Syrokomli, Henryk Vogler: „Wlokła się leniwie i w krótkim czasie w ogóle utknęła, pozostawiając w tym miejscu otoczone mocno wyszczerbionym parkanem wyboiste pola. Tylko porozrzucone po nim wszędzie połamane i porzewiałe narzędzia przypominały, że kiedyś był to plac budowy. Mówiono, że parcela przeznaczona była pod wystawienie hotelu, lecz grunt okazał się podmokły i pomysł zarzucono”.

Warto wspomnieć, że tajemnicza budowa sąsiadowała z obiektami sportowymi klubu Cracovia. Z pozoru mało odkrywcze określenie „sąsiadowała” jest tu jak najbardziej uprawnione, bo ul. Kałuży nie było jeszcze nawet w dalekosiężnych planach. Dojście do stadionu od strony kończącej się tam ul. Dunin-Wąsowicza prowadziło polną dróżką, obok wybudowanych jesienią 1939 roku trzech modernistycznych kamienic (dziś nr 5-9). Przed samym stadionem, w miejscu późniejszego parkingu (bliżej Błonia) urządzono jeszcze przed wojną lodowisko. Nie należy zapominać, że ten sukcesywnie wtedy parcelowany i odsprzedawany areał należał do konwentu Norbertanek, a sam stadion został wykupiony przez gminę dopiero w 2005 roku.

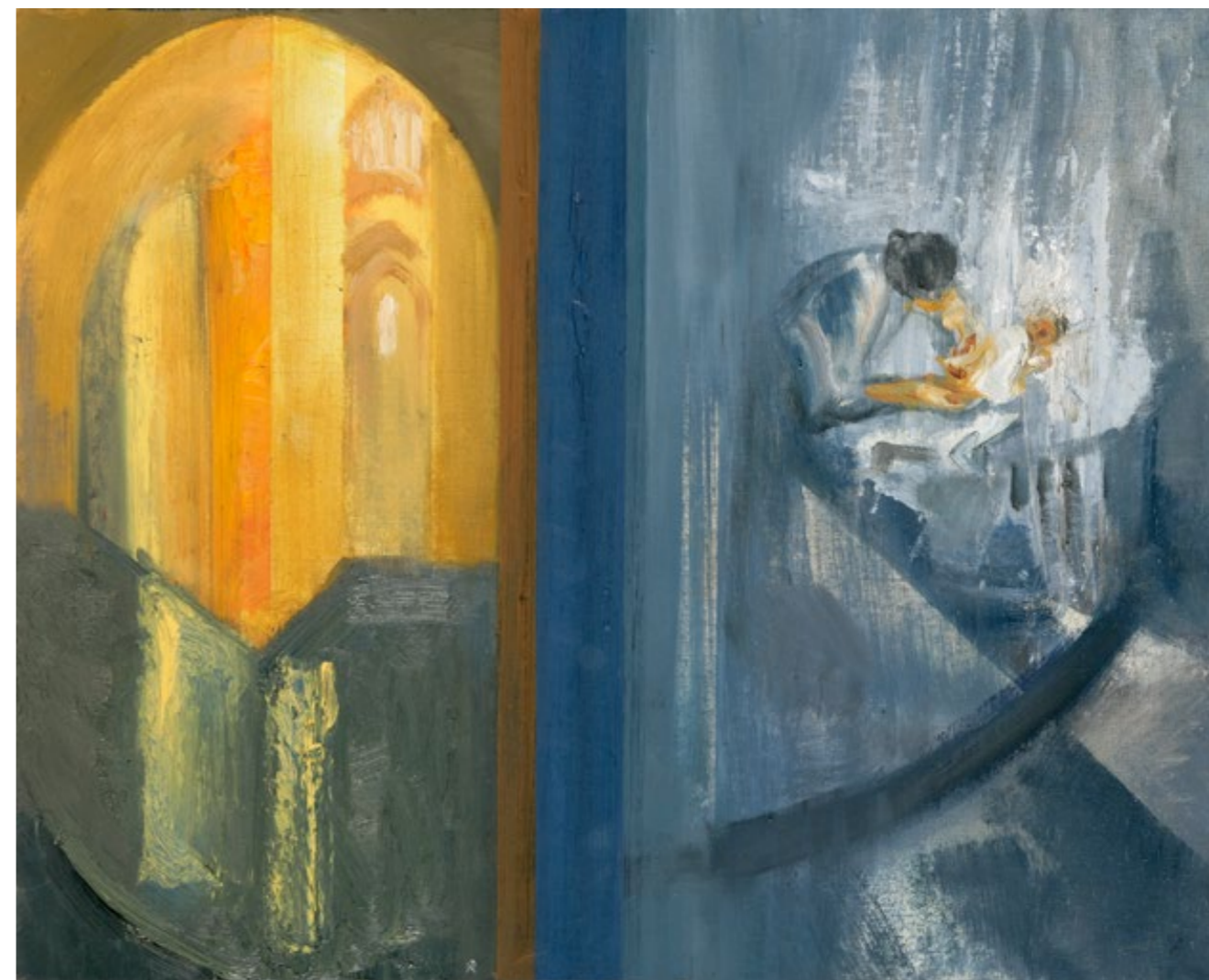
Aż do początku lat 50. teren rozpoczętej budowy pozostawał opustoszały i dziko zarośnięty, nie przynosząc chluby tej części miasta. Ponieważ nowe czasy wymagały śmiałych – również budowlanych – wyzwań, powstała wtedy koncepcja postawienia w tym miejscu gmachu związków zawodowych. Na szczęście skończyło się tylko na koncepcji, ale budowlancy pozostawili po sobie spory barak, który nieoczekiwanie przeszedł do historii, bowiem był przez niemal dwa lata (do końca 1956) tymczasową siedzibą Wydawnictwa Literackiego, którego pierwszym dyrektorem był właśnie cytowany Henryk Vogler.

Ostatecznie po trwającej niemal sześć lat budowie, na prestiżowo położonej działce ukończono w 1965 roku gmach hotelu Cracovia. Budowa usytuowanego w sąsiedztwie luksusowego kina Kijów trwała dwa lata dłużej.

Zanim jednak doszło do rozpoczęcia wspomnianej przez Voglera budowy, gminna działka wykorzystywana była przed wojną w rozmaity sposób. Na dowód przedstawiamy fotografię ze zlotu harcerskiego, jaki odbył się tam 15 czerwca 1936 roku z okazji pierwszych Dni Krakowa.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Romuald Oramus, *Realne - nierealne XII*, 2005, olej na płycie drewnianej, własność prywatna

*Świat, które podpowiadaję, by pamiętać dobrze
o innych.
O wyprzedzających, niewierzących, zapomnianych
– a nawet o moich.
Skonem – do brzydli, przedimnych Świat
Boiego Narodzenie
zycmy
redakcja KRAKOWA*

grudzień 2019



Wojciech Ornat, Austeria

Grube ryby i ambitne płotki

Tekst: Magdalena Huzarska-Szumiec Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

To miał być tekst o grubych rybach, które z impetem przecinają fale, nie zostawiając miejsca dla chowających się płotek. Ale w trakcie badania ekosystemu okazało się, że choć owe grube ryby wciąż są królami rzeki, to w ostatnim czasie musiały zrobić miejsce dla mniejszych rybek.

Grube ryby to Wydawnictwo Literackie i Znak, oficyny, które od lat są w czołówce na rynku domów książki. Publikują setki tytułów, w swoich „stajniach” mają najważniejszych autorów. Równocześnie ich nakładem ukazują się lżejsze pozycje, które pozwalają im zachować równowagę finansową. Urosła im jednak w Krakowie konkurencja w postaci małych, acz znaczących oficyn, takich jak Karakter, Austeria, Ha!art, Universitas, a5 czy EMG. Mają one zupełnie inną filozofię. Wypuszczają na rynek znacznie mniej książek i w dużo mniejszym nakładzie, już nawet od 500 czy 1 tys. egzemplarzy (średnia Znaku to 6-7 tys.). I, co ważniejsze, są to wyłącznie tytuły, które ich właściciele sami chcą czytać.

To, co nam się podoba

Najlepiej obrazuje to slogan wydawnictwa Karakter, który głosi: „Wydajemy to, co nam się podoba”. Mógłby się on odnosić do wszystkich opisywanych tu oficyn, które osiągnęły sukces dzięki miłości do konkretnego gatunku literatury. – Wybieramy książki, które dla nas samych są ciekawe, bo krąg naszych odbiorców to ludzie tacy jak my – mówi Małgorzata Szczurek, redaktor naczelna Karakteru.

Założyła go trójka młodych ludzi: Małgorzata Szczurek, Magdalena Dębowska i Przemek Dębowski, którzy przed 11 laty odeszli ze Znaku, zabierając ze sobą wiedzę, doświadczenie i marzenie o wydawaniu tego, co sami lubią. Początki nie były łatwe. Przygotowywali dwie, trzy książki rocznie z mało znanego u nas obszaru literatury afrykańskiej. Z biegiem czasu tematyka publikacji zaczęła ewoluować, wchodząc w inną wydawniczą niszę, jaką okazały się książki o architekturze i projektowaniu. Potem pojawiły się eseje Susan Sontag, która w Polsce była wówczas znana głównie jako powieściopisarka.

– Akurat w tym czasie na amerykańskim rynku wydawniczym ukazały się *Dzienniki* Susan Sontag. By zdobyć do nich prawa, należało wygrać przetarg. Wydawnictwa miały składać oferty w ciemno, nie wiedząc, co oferuje konkurencja. Postanowiliśmy powalczyć o trzy tomy esejów i pierwszy tom *Dziennika*. Napisaaliśmy, że chcemy pokazać Sontag najpierw przez pryzmat jej myśli, a dopiero potem wydać pierwszy tom *Dzienników*. Czyli pewnie odwrotnie niż wszyscy inni, którym zależało na zawartych w nich akcentach obyczajowych. Sądzymy, że właśnie to zadecydowało, że dostaliśmy prawa. To był strzał w dziesiątkę, dzięki temu mogliśmy zacząć wydawać kolejne książki – mówi Małgorzata Szczurek.

Strzałem w dziesiątkę dla Korporacji Ha!art okazało się *Lubiewo* Michała Witkowskiego. Książka ujrzała światło dzienne w 2004 roku i idealnie wkomponowała się w czas pierwszych Parad Równości. Wcześniej wydawnictwo działało w partyzanckich warunkach. Nie miało nawet adresu, bo jego założyciele mieszkali w akademiku. – Byliśmy

a5 wydaje głównie poetów: laureatów Nobla – Szymborską czy Tranströmera – i całą plejadę tak znakomitych twórców jak Barańczak, Herbert, Zagajewski, Hartwig.

studentami filmoznawstwa i polonistyki. Zaczęliśmy od wydawania czasopisma „Ha!art”. Określiliśmy w nim nasz światopogląd, ustawiając się krytycznie wobec raczkującego w Polsce kapitalizmu. I ciągle taka postawa wydaje mi się słuszną. Kiedy zakładaliśmy pismo i wydawnictwo, poczuliśmy się rozczarowani kapitalistyczną rzeczywistością i wynikającym z niej bezrobociem, które wie-

lu znajomych zmusiło do emigracji. Nasze poglądy jako pierwszy wyraził Sławek Shuty, opisując je w *Bełkocie*. Uwielbiam tę książkę. Ale prawdziwy przełom nastąpił, kiedy wydaliśmy *Lubiewo*, które określaliśmy jako „powieść przygodowo-obyczajową z życia ciot”. Ukazała się tuż przed świętami, a już w styczniu musieliśmy zrobić dodruk – wspomina współtwórca Ha!artu Piotr Marecki. – Później w naszym wydawnictwie ukazywały się kolejne ważne książki o tematyce gejowskiej i lesbijskiej, budujące tak zniechęconą przez obóz prawicy i Kościół katolicki „ideologię LGBT” czy „tęczową zarazę”. Naszym nakładem zaczęły też wychodzić książki dotyczące między innymi aborcji, feminizmu

mieści się niezmiennie w tym samym miejscu, czyli w Klezmer Hais. Z założenia od samego początku zajmuje się wydawaniem książek związanych z dziedzictwem kulturowym Żydów, literaturą jidysz i hebrajską, żydowską myślą filozoficzną i religijną. – Nazwa pochodzi od powieści *Austeria* Juliana Strykowski i nawiązuje do przydrożnej karczmy, miejsca spotkań i rozmów prowadzonych w duchu tego pisarza – mówi Wojciech Ornat, właściciel wydawnictwa, które ma na koncie już prawie 300 tytułów.

Co ciekawe, ich nakłady nigdy nie są wyczerpywane. Gdy książka znika, od razu robione są dodruki. Dlatego niemal wszystkie pozycje Austerii można dostać w jej dwóch

kiedy kryminały nie były jeszcze specjalnie popularne w Polsce. Ale zmienił to w dużej mierze Irek Grin. Właśnie w tym czasie stworzył on modę na ten gatunek literacki, organizując w Krakowie Festiwal Kryminału, którego kolejne edycje zostały w 2009 roku przeniesione do Wrocławia, zyskując tam rangę imprezy międzynarodowej. Wręczana w jej trakcie Nagroda Wielkiego Kalibru jest najważniejszą polską nagrodą dla tego typu literatury. – Nasze rodzinne wydawnictwo powstało równoległe z festiwalem. Narodziło się z miłości do tego typu powieści. Pierwszą książką, którą wydaliśmy, była antologia kryminału *Trupy polskie* – wspomina Ewa Mańkowska-Grin, dodając, że teraz oficyna zmieniła nieco pro-

Skończyła się cenzura i – co równie ważne – ograniczenia związane z dostępem do papieru. Do tej pory osławione przydziały papieru blokowały wydawców i autorów, którzy musieli czekać na publikację swoich książek nie raz i 10 lat. Dlatego wśród pracowników Uniwersytetu Jagiellońskiego narodziła się idea pod zabawnym hasłem „uczony też potrafi”. I tak zaczęliśmy sami wydawać nasze książki. Robiliśmy to przy pomocy dotacji z Ministerstwa Edukacji Narodowej, Komitetu Badań Naukowych, a także z prywatnych pieniędzy uczonych – wspomina dyrektor wydawnictwa Andrzej Nowakowski.

Konsekwentne w poczynaniach jest też Wydawnictwo a5. Korzenie oficyny sięgają



Andrzej Nowakowski, Universitas



Jerzy Illg, Znak

Austeria najczęściej wydaje autorów żydowskiego pochodzenia.

czy Kościoła, na który patrzymy w sposób krytyczny – dodaje Piotr Marecki.

Wyraźnie określony profil ma również oficyna Austeria. Powstała 17 lat temu. Jej biuro

księgarniach na krakowskim Kazimierzu. Zresztą oficyna coraz bardziej się rozrasta, wchodząc na międzynarodowy rynek. Po powstałej przed paru laty księgarni w Budapeszcie, właśnie tworzona jest kolejna w Syrakuzach. Bowiern Austeria wydaje od pewnego czasu również książki po włosku i francusku.

Z Kazimierzem związane jest też wydawnictwo EMG, które powstało tu przed 15 laty,

fil, o czym świadczy seria *Architektura jest najważniejsza*, dedykowana ojcu właścicielki, prof. Tomaszowi Mańkowskiemu.

Swojej linii programowej trzyma się od samego początku Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas. Powstało ono równo 30 lat temu, zaraz po przełomie, jaki nastąpił w Polsce w 1989 roku. – To był moment, kiedy zmieniło się wszystko.

Dla Universitasu najbardziej fascynującym miejscem jest Kraków.

jeszcze podziemnej działalności jej właścicieleli Krystyny i Ryszarda Krynickich. W obecnej formie wydawnictwo powstało w 1991 roku w Poznaniu i po paru latach przeniosło się do

Krakowa. – Od początku wiedzieliśmy, że będziemy wydawać poezję. Wpływ na to miał oczywiście fakt, że mój mąż jest poetą. To właśnie do Ryszarda należy wybór tekstów, ich edycja i redakcja – podkreśla Krystyna Krynicka.

Pierwszą książką, jaka ukazała się nakładem a5, było *70 widoków w drodze do Wenecji* Leszka Aleksandra Moczulskiego, z rysunkami Jana Sawki, które po rozłożeniu układały się w jedną całość, przyczyniając się do tego, że tom otrzymał tytuł „Najpiękniejszej książki roku”. Zresztą Kryniccy od początku zwracali uwagę na szatę graficzną swoich publikacji. Sztandarowi poeci, którzy wydają

jada tak znakomitych twórców jak Stanisław Barańczak, Zbigniew Herbert, Adam Zagajewski, Julia Hartwig. – Ostatnio jesteśmy dumni z korespondencji Wisławy Szymborskiej ze Stanisławem Barańczakiem, która ukazała się pod tytułem *Inne pozytywne uczucia też wchodzi w grę* – dodaje Krystyna Krynicka.

Plany oficyn

To świadczy, że małe okrzepło na rynku i wiadomo, czego można się po nim spodziewać. Choć zdarzają się niespodzianki. Tak jak w przypadku wydawnictwa EMG, którego nakładem właśnie ukazują się nowe serie. Na przykład *Z głową* (logo serii to głowa pełna

symbolem wieloetnicznej Europy. Czeską literaturę reprezentuje powieść *Transport na wieczność*, której autorem jest František Tichý. Opowiada ona o Holocauście z punktu widzenia bardzo młodych ludzi.

Z żydowską tematyką związana jest też Austeria, która najczęściej wydaje autorów żydowskiego pochodzenia. Znajdują się wśród nich dzieła Josepha Rotha i to nie tylko ich wznowienia, ale też nowe tłumaczenia oraz książki, które do tej pory w Polsce się nie ukazały. Ale to nie jedyna linia, której trzyma się oficyna z Kazimierza. Jej właściciele od pewnego czasu kierują wzrok w stronę Sycylii, publikując kolejne tomy poświęcone

kołajewski czy Marek Zagańczyk, których książki ukazują się nakładem Austerii i którzy tworzą jej linię programową. Jednym z ich świetnych pomysłów, łączących pasje literackie z podróżniczymi, jest seria *Książek do pisanania*. Składają się one z czarno-białych zdjęć i fragmentów utworów poświęconych fascynującym regionom, takim jak choćby Toskania, Andaluzja czy Bretania. Obok nich znajdują się wolne kartki do własnych literackich refleksji.

Dla Universitas najbardziej fascynującym regionem jest Kraków. Nie bez powodu nakładem tego wydawnictwa ukazała się niedawno piękna publikacja o krakowskich Planach. A na początku przyszłego roku pojawi



Jolanta Korcuć, Wydawnictwo Literackie



Piotr Marecki, Ha!art

Znak w najbliższym czasie stawia na biografie.

w tej oficynie, mogą być pewni, że ich utwory otrzymają wyjątkową oprawę. A są wśród nich laureaci nagrody Nobla, Wisława Szymborska czy Tomas Tranströmer, jak i cała ple-

książek) jest skierowana do całej rodziny, a na celu ma przybliżenie czytelnikom innych kultur. Dlatego na pierwszy ogień poszła *Klasa Alef* autorstwa Esther Streit-Wurzel, uznana za najbardziej „izraelską powieść”, jaka powstała podczas istnienia tego państwa. Drugą pozycją są *Niewinni* rumuńskiej autorki Ioany Pârvulescu. To opowieść dziewczynki o jej wielopokoleniowym domu, będącym

tej wyspie. Jako pierwsza ukazała się *Książka o Sycylii* Jarosława Iwazkiewicza. Niedawno czytelnicy dostali do rąk *Sycylię w kalejdoskopie historii i legendy* Joanny Olkiewicz oraz osadzony w tradycji sycylijskiej kryminał *Rada egipska* Leonarda Sciascii.

Miłość do Włoch, Francji i oczywiście Izraela łączy wydawców z takimi pisarzami jak Adam Wodnicki, Piotr Paziński, Jarosław Mi-

się w księgarniach ogromny – także rozmiarowo – album, na który złożą się teksty wielu autorów poświęcone historii Rynku, najważniejszym jego mieszkańcom czy polskiej mitologii związanej z tym miejscem.

Nie zabraknie także zdjęć autorstwa Andrzeja Nowakowskiego pokazujących mniej oczywiste zakątki serca miasta, które korespondować będą ze zdjęciami archiwalnymi

i prezentowaną kolekcją widokówek. Zapowiedzią publikacji będzie opracowanie dotyczące Małego Rynku i Rynku Głównego, które trafi do księgarń już w grudniu. – Ale oczywiście wciąż trzymamy się linii, w której ukazują się niskonakładowe książki naukowe, ze szczególnym uwzględnieniem światowej myśli humanistycznej – dodaje prof. Nowakowski.

Swój charakter zmienia nieco Korporacja Ha!art, która wprawdzie nie rezygnuje z radykalnych tematów, ale teraz chce postawić na walory artystyczne. Dlatego jej nakładem ukaże się w najbliższym roku tylko kilka pozycji, ale za to starannie wyselekcjonowanych i opracowanych. Przykładem tego są *Gigusia*

shing House”. Dzięki temu nie musimy wpisywać się w logikę grantów czy polityki miasta – oświadcza Piotr Marecki, którego wydawnictwo do niedawna miało swoją księgarnię w Bunkrze Sztuki. Ale zmiany, które ostatnimi czasy nastąpiły w tej instytucji, spowodowały, że Ha!art musiał się wyprowadzić. Na razie radzi sobie bez księgarni, sprzedając książki przez internet.

Swoją księgarnię ma za to Karakter. Przy ul. Tarłowskiej 12 jest duży wybór oferty wielu wydawnictw i oczywiście można tam kupić także książki autorów Karakteru: Marcina Wichy, Filipa Springera, Olgi Drendy, Karola Sieniewicza czy Rafała Matyi. W najbliższym

To samo można powiedzieć o większości książek ukazujących się nakładem opisanych tu, pozornie małych, płotek wydawniczych. I choć rekin – jak donosił Brecht – zęby ma na wierzchu, to jednak nie jest w stanie połączyć ukrytych w niszach rybek, które coraz pewniej czują się na czytelnym rynku.

Co u grubych ryb?

Krakowskie rekiny wydawnicze, jak zapewnią ich redaktorzy naczelni, mają się dobrze. Zarówno Znak, jak i WL są poważnymi, rozbudowanymi przedsiębiorstwami, które wypuszczają na rynek bardzo dużo różnych gatunkowo tytułów. Dlatego pierwsze z nich przed paroma laty przekształciło się w grupę wydawniczą, która składa się z kilku imprintów. Pod szyldem Znak ukazuje się obecnie literatura piękna, popularna, faktu i religijna. Znak Litera Nova wydaje między innymi prozę inspirowaną popkulturą. Znak Emotikon zajmuje się książkami dla dzieci. Natomiast Znak Horyzont publikuje książki historyczne. – Jesteśmy ogromną firmą, która jako grupa wydawnicza zatrudnia blisko 300 osób i ci ludzie muszą co miesiąc dostawać pensje. Dlatego alergicznie reagują na zarzuty, że wydajemy za dużo czytań. Posadziłbym takiego pięknoducha za sterami tego okrętu, żeby nim kierował. Szybko by zrozumiał, że to właśnie taka polityka wydawnicza pozwala nam na przygotowywanie ambitniejszych pozycji – mówi Jerzy Illg, redaktor naczelny Znak, który właśnie obchodzi 60-lecie istnienia. Z tej okazji ukazał się niedawno zbiór felietonów Jerzego Pilcha *Widok z mojego boksu*, którego autor poświęca swoim kolegom ze środowiska „Tygodnika Powszechnego” i Znak. Został wznowiony także *Mój Znak* Jerzego Illga, opowiadający o autorach i ludziach związanych z wydawnictwem, uzupełniony nowymi rozdziałami poświęconymi pisarzom, którzy stosunkowo niedawno pojawili się w „stajni” oficyny: Małgorzacie Szejnert, Joannie Bator, Wiesławowi Myśliwskiemu, Magdalenie Grzebałkowskiej, Zadie Smith.

Zresztą Znak w najbliższym czasie stawia w dużej mierze na biografie. Robert Siewiorek jeszcze przed śmiercią Kazimierza Kutza pracował z nim nad autobiografią, do napisania której wydawnictwo długo namawiało reżysera. Portret wewnętrzny Wisławy Szymborskiej, oparty na archiwach i korespondencji noblistki, przygotowuje Joanna Gromek-Illg. Ponadto ukazała się autobiografia Normana Daviesa, biografia Leszka Kołakowskiego autorstwa Zbigniewa Mentzla. Andrzej Fraszek, autor znakomitych życiorysów Miłosza i Herberta, pracuje nad książką poświęconą Czapskiemu. Wydarzeniem Znak powinna być antologia światowego reportażu przygotowana przez Wojciecha Jagielskiego oraz *Chrześcijaństwo* Leszka Kołakowskiego.

W WL zmieniła się redaktor naczelna. Małgorzatę Nycz na tym stanowisku zastą-

piła Jolanta Korcuć. Jak zapewnia nowa szefowa oficyny, jej linia programowa i sposób działania nie zmienią się. – Nie rezygnujemy z żadnego rodzaju książek. Będzie miejsce, jak do tej pory, i na literaturę piękną, polską, obcą, także na literaturę popularną, kobiecą, kryminalną, literaturę faktu, eseje, książki historyczne, duchowe, popularnonaukowe, wielkich klasyków literatury, a także poezję, eseje, na literaturę dla dzieci i młodzieży, poradniki, książki lifestyle’owe – zapewnia i dodaje, że WL jako jedyne wydawnictwo w Polsce podejmuje i kontynuuje takie prestiżowe przedsięwzięcia jak wydania krytyczne i dzieła zebrane Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, edycja krytyczna Witolda Gombrowi-

Wydawnictwo Literackie jako jedyna oficyna w Polsce podejmuje i kontynuuje takie prestiżowe przedsięwzięcia jak wydania krytyczne i dzieła zebrane Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, edycja krytyczna Witolda Gombrowicza, dzieła zebrane Czesława Miłosza, a także korespondencja Sławomira Mrożka.

cza, dzieła zebrane Czesława Miłosza, a także korespondencja Sławomira Mrożka.

Nakładem WL-u ukaże się także kilka interesujących biografii. Od pewnego czasu na rynku jest książka Angeliki Kuźniak poświęcona Oldze Boznańskiej. Adam Zamoyski poświęcił swój nowy tom Napoleonowi, a Anna Mateja Antoniemu Kępińskiemu. Popularnością cieszy się wywiad rzeka Rafała Księżyka z Muńkiem Staszczykiem oraz autobiografie Andrzeja Sikorowskiego i Kazimierza Orłosa. Dobrze też zostały przyjęte najnowsze powieści Mikołaja Łozińskiego i Martyny Bundy. No ale przede wszystkim WL ma największy powód do radości z powodu Nagrody Nobla przyznanego Oldze Tokarczuk, której książki od wielu lat ukazują się nakładem tej oficyny.

*

Tak, w Krakowie naprawdę dobrze się wydaje.



Ewa Mańkowska-Grin, EMG

Jakuba Michalczeni, kolejne książki Juliusza Strachoty czy *Dziwka* Anny Mazurek, ale też bań dla dorosłych Jagi Słowińskiej. – Nie zamierzamy się bić o zagraniczne bestsellery. Chcemy być wciąż postrzegani jako oficyna wydająca debiuty, książki poszukujące, krytyczne i eksperymentalne. Jesteśmy autorską, niezależną instytucją. W USA o takich wydawnictwach mówi się „Independent Publi-

czasie dołączą do nich nowi pisarze. Jesienią nakładem wydawnictwa trafiły na rynek: *Babel*. W *dwadzieścia języków dookoła świata* Gastona Dorrena, *Wolność, równość, przemoc*. *Czego nie chcemy sobie powiedzieć* Agaty Sikory, *Czarownice*. *Niezwykła siła kobiet* Mony Chollet. W ciekawy sposób podważają one rozmaite kulturowe stereotypy i uprzedzenia.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marci Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



Blondynce się nie odmawia?

Rozmawiała Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Ewa Wachowicz: Z perspektywy czasu wiem, że jeśli podejmujemy wyzwania, a nie podchodzimy do nich z lękiem, to się aklimatyzujemy i jesteśmy w stanie im podołać.

Ewa Kozakiewicz: Porozmawiajmy o drodze, jaką przebyłaś z rodzinnej wioski Klęczany do Zalipianek, restauracji, w której siedzimy w centrum Krakowa. Pamiętasz pierwsze wywiady, kiedy zdobyłaś tytuł Najmilszej Studentki Akademii Rolniczej, a potem Miss Małopolski? To była radość, potem zrobiło się poważniej – zostałaś Miss Polonia w 1992, a potem Miss World University w 1993... Jak to właściwie było, przecież o tytuł najmilszej studentki ubiegałaś się za namową kolegów. Naprawdę chciałaś zostać miss, czy poddałaś się temu pomysłowi?

Ewa Wachowicz: Pomysł, żeby startować w konkursach piękności to była inicjatywa kolegów z akademika i dziękuję im za to. Dla moich rodziców, od kiedy pamiętam, byłam najpiękniejsza na świecie, dla nich byłam księżniczką, ale zawsze powtarzali mi też, że ważne jest to, co mam w głowie, wykształcenie. Na studiach (technologii żywienia Akademii Rolniczej w Krakowie) zapisałam się na kurs modelek, bo czułam, że urodę mogę jakoś wykorzystać. Jednak o starcie na Miss Małopolski powiedziałam tylko mamie. Tato, że wygrałam konkurs, dowiedział się z telewizji. Zaraz po wyborach miss pojechałam na Targi Turystyczne do Berlina i tam poznałam wiele osób z telewizji. Polsat wówczas raczkował i zaproponowali mi, abym się z tą redakcją związała. Pamiętam pierwszą rozmowę z Wiesławem Walendziakiem, potem z Barbarą Pietkiewicz i Bogusławem Chrobotą z Krakowa. Dwa lata temu Polsat obchodził jubileusz 25-lecia i okazało się, że jestem jedną z pierwszych osób związanych ze stacją. Dostaliśmy małe złote sztaby z wygrawerowanymi nazwiskami; bardzo miła pamiątka. Kiedy stawiałam pierwsze kroki w Polsacie, współpracowałam także z telewizją krakowską, to były jej złote czasy pod dyrekcją Krzysztofa Jasińskiego. Występowałam w *Spotkaniu z balladą* z Marcinem Dańcem i brałam z nim (na niby!) ślub w prawdziwej sukni ślubnej... Wtedy to właśnie Krzysztof Jasiński uzmysłowił mi, że mogę zrobić karierę telewizyjną, pod warunkiem że będę nad sobą pracować, uczyć się. – Rób coś w tym kierunku – powiedział. Dał mi *Vademecum dziennikarza*, zalecił zajęcia z dykcji. Pchnął w kierunku telewizji. To bardzo ważna postać w moim życiu zawodowym!

Czyli szybko pozbyłaś się etykiety beztrzonej, najpiękniejszej dziewczyny? Wzięłaś

się do roboty, aż tu nagle wszystko przerywa telefon do akademika?

I to od premiera! Ten telefon nie był moim pierwszym kontaktem z Waldemarem Pawlakiem. Pamiętaj, że to nie był czas maili i SMS-ów. Ludzie pisywali do siebie listy. W 1992, kiedy zostałam Miss Polonia, dostałam piękny list gratulacyjny od prezesa PSL Waldemara Pawlaka, który był dumny z tego, że nie wstydziałam się swoich wiejskich korzeni. To go ujęło. Kiedy Waldemar Pawlak tworzył rząd, zaproponował mi stanowisko sekretarza prasowego, ale propozycja nie padła wówczas przez telefon! Prosił, abym przyjechała do Dębicy, gdzie miał oficjalną wizytę. Długo rozmawialiśmy. Dopiero po trzech nieprzespanych nocach, po powrocie do Krakowa i naradzie w domu rodzinnym powzięłam decyzję – zgodziłam się! Lubię wyzwania, to wynika z mego charakteru. Jak wiesz, chodzę po wysokich górach... I to przyrównam do mojej decyzji. Zostanie sekretarzem prasowym premiera Pawlaka to był swego rodzaju Mount Everest! Z perspektywy czasu wiem, że jeśli podejmujemy wyzwania, a nie podchodzimy do nich z lękiem, to się aklimatyzujemy i jesteśmy w stanie im podołać. Moja decyzja przyjęcia propozycji premiera była właśnie taką aklimatyzacją. Czułam, że to największe wyzwanie życiowe i udało mi się oddychać na szczycie bez tlenu! Dałam radę!

Kiedy byłaś w Warszawie, pamiętam, jak czyhano na twoje wpadki, jak je komentowano, cytowano. Wyśmiewano stwierdzenie „premierowi się nie odmawia”. Jak sobie z tym radziłaś?

W tamtych czasach pojawili się „pampersi” (prawicowi dziennikarze bez doświadczenia) i to oni czyhali na każdy mój błąd. Przystałam być samotnym podróżnikiem, że znów odniosę się do wędrówek górskich, byłam w zespole. Wiedziałam, że każde moje spotkanie spowoduje atak na rząd i premiera. Byłam dobrym celem. Dlatego ze wzmożoną siłą przystąpiłam do nauki. Aby być na posiedzeniu rządu i móc ogarnąć konstrukcję budżetu, musiałam się przeszkolić z makroekonomii. W życiu się tyle nie uczyłam co wtedy. Studiowałam prawo międzynarodowe, zgłębiałam sprawy gospodarcze, korzystałam z życzliwych rad prof. Franciszka Mleczki (szefa zespołu doradców premiera) i prof. Witolda Karczewskiego, ówczesnego przewodniczącego Komitetu Badań Naukowych.



Mało znane specjały wigilijne

według Ewy Wachowicz

Fasola „Piękny Jaś” ze śliwkami

Ewa opowiada, że przepis związany jest z jej dziadkami z Kwiatonowic. Dziadek Ewy miał sad ze śliwami węgierkami, suszył je w dymie, w specjalnych suszarniach. To skomplikowany proces. Śliwka suska (czyli suszona) sechłońska (nazwa pochodzi od nazwy miejscowości, z której się wywodzi tradycja suszenia śliwek), to śliwka na której się wychowałam – opowiada Wachowicz

Składniki:

300 g kolorowej suchej fasoli
200 g suszonych śliwek węgierek
Zasmażka: 1 łyżka mąki, 1 łyżka masła, sól

Fasolę przepłukać i namoczyć (przez co najmniej 6 godzin, a jeszcze lepiej dzień przed gotowaniem). Posolić i ugotować niemal do miękkości (w wodzie z moczenia). Śliwki przepłukać, solidnie namoczyć (przez co najmniej pół godziny). Dorzucić do fasoli (jeśli są to „kalifornijki”, to dodajemy je w ostatniej chwili).

Z masła i mąki zrobić zasmażkę, rozproszoną odrobiną płynu z fasoli. Dodać do ugotowanej potrawy.

Kasza jęczmienna z grzybami

Tym przepisem Ewa Wachowicz zacięła cały Kraków – jest prosty i szybko go można zrobić, dopełniając tradycyjne 12 potraw.

Składniki:

500 g kaszy jęczmiennej perłowej
150 g suszonych grzybów
3 łyżki masła
sól

Grzyby (podgrzybki lub prawdziwki suszone) zalać wrzątkiem i odstawić na noc. Namoczone grzyby wyłowić i włożyć do kaszy. Delikatnie zlać wodę spod grzybów (tak by cały osad pozostał w garnku) i zalać nią kaszę. Dodać masło. Uzupełnić wodą do poziomu 2 cm powyżej kaszy. Posolić do smaku.

Gotować na małym ogniu, aż kasza wchłonie cały płyn (ok. 20 minut). Uważać, by się nie przypaliła. W razie potrzeby dobrać wodę.

Podawać z wiórkami chłodnego masła.

Ewa Wachowicz jest niezależną producentką telewizyjną. Jej firma Ewa Wachowicz PRO-MISS od lat realizuje różne programy, m.in.: *Poradnik imieninowy*, *Domową kawiarenkę*, *Podróże kulinarne Roberta Makłowicza* (1998–2008) w TVP2. Od 2007 gotuje sama na wizji w swojej prywatnej kuchni i prowadzi program *Ewa gotuje w Polsce*. Występuje w różnych stacjach telewizyjnych,

została jurorką programu kulinarnego *Top Chef*. Wydała dziewięć książek kulinarnych ze swoimi przepisami, według których gotowane specjały podaje w Zalipiankach, znanej restauracji w Krakowie. Jest mamą Oli, córki ze związku małżeńskiego z Przemysławem Osuchowskim, dziennikarzem. Uprawia wspinaczkę wysokogórską, narciarstwo, jeździ na rowerze.

Przeszkodą w pracy sekretarza prasowego rządu nie było to, że jestem kobietą, ale to, że byłam miss. Wszyscy myśleli, że mnie jest łatwiej w życiu, a było trudniej. Myślano tak: co ona tu będzie robić? Konferencję prasową? Ma być ładna i się nie odzywać... Jeśli się odezwie, nie powinna mieć własnego zdania! Tu był problem. Odzywałam się i wtedy zaczęło się udowadnianie, że nie jestem wielbłądem...

A jak byłaś postrzegana w świecie?

To była absolutnie inna reakcja. Kiedy zostałam sekretarzem prasowym od razu Jacques Chirac, wówczas mer Paryża, zaprosił mnie do stolicy Francji, abym przyjrzała się, jak wygląda praca ich biura prasowego. Václav Havel i inni zagraniczni politycy, z którymi miałam przyjemność się spotkać, traktowali mnie z pełną estymą. Od Chile po Australię, a dostawałam prasę z placówek dyplomatycznych, w zagranicznych gazetach znajdowałam entuzjastyczne artykuły w stylu: jak to w Polsce rodzi się demokracja, z prężnym premierem i młodą sekretarzem prasową... W wywiadach, których udzielałam najważniejszym brytyjskim i francuskim gazetom, nie byłam dociskana do ściany: jakim cudem miss dostała się na rządową posadę, tylko cieszą się z mojego zaangażowania w politykę. Dla mnie samej było to ogromnie ciekawe wyzwanie, zobaczyć, jak buduje się w Polsce demokrację. Przecież pamiętałam dobrze komunę, stan wojenny, brak prądu. Przed oczyma miałam ojca, który wyciągał akumulator z ciągnika, aby podłączyć radio i słuchać Wolnej Europy. Mój pierwszy wyjazd za granicę to był wyjazd na wybory miss!

Dlatego, kiedy miałam okazję tego dotknąć, pomyślałam – wchodzę w to! Może mogę dla Polski coś dobrego zrobić? Spędziłam w polityce 472 dni. Premier złożył dymisję i tego samego dnia odeszłam z funkcji urzędniczej. Nigdy nie związałam się z żadną partią. I dotąd tak jest. Uważam, że w administracji państwowej pracować powinni ludzie dobrze wykształceni, ale niezwiązani z żadną partią.

Obalenie mitu blondynki zajęło ci trochę czasu. Kiedy epizod w polityce się skończył, wiedziałas, co dalej?

W tym czasie telewizje prywatne dynamicznie się rozwijały i dostawały koncesje, pomyślałam więc, żeby powrócić do Polsatu. Najpierw prowadziłam tam program *Sto procent dla stu*, potem założyłam własną firmę PROMISS i zrobiłam swój pierwszy program autorski *Poradnik imieninowy*, który prowadziłam z Aloszą Awdiejewem. W tym programie pojawił się Robert Makłowicz, z którym później realizowaliśmy *Podróże kulinarne Roberta Makłowicza dla TVP2*. Wiedziałam już, że nie tylko chcę występować, ale kreować to, co ludzie mają oglądać. Schowałam się za kamerą celowo, ponieważ chciałam skończyć studia (tym razem Akademię Ekonomiczną) i wyciszyć swoją popularność. Rozpoczęłam pracę producentki, w czym wspierała mnie Nina Terentiew, która

została dyrektorką programową Polsatu. Znając moją pasję do gotowania, zaproponowała mi, abym zrealizowała swój autorski program kulinarny *Ewa gotuje* i w nim wystąpiła. Tak się stało. Program *Ewa gotuje* istnieje już 22 sezon, emitowany jest dwanaście lat! Wszystkie przepisy przedstawiane w programach umieszczałam w cyklu książek, który rozpoczął *Słodki świat Ewy Wachowicz*. Jeździłam do Cannes na Targi Telewizyjne i chciałam ściągnąć do Polski duży format telewizyjny. Potem Polsat kupił *Top Chefa*, w którym przez pięć lat w jury oceniałam najlepszych zawodowych kucharzy! **Ewa, jak to jest? Dajesz przepis na przykład na pyszne ciasto orzechowe czy na kaszę ze śliwkami, ale jeden to robi i jest smaczne, a drugiemu nie wychodzi. Czy masz również przepis na sukces?**

Zwykle jest tak, że nawet jeśli mamy dobry przepis, to nie doczytujemy go do końca albo nieuważnie czytamy i możemy coś pominąć. A w przepisie na sukces nie można pominąć, że mając talent i urodę, trzeba dużo pracować. Samo się nie robi! Samo to się tylko grzmi i błyska. Ważne, aby wyznaczyć sobie cel. Nina Terentiew powiedziała: zrób program kulinarny *Ewa gotuje*. A potem sama musiałam wymyślić wszystko od początku do końca: jak ten program ma wyglądać, co i jak będę robić, gdzie... I to zrealizować! Owszem, mam talent do gotowania, ale robię to od dziecka. **Nadchodzą święta. Pamiętaj, co robiłaś jako dziewczynka w domu rodzinnym przed świętami?**

Gdy dorastałam, mama z roku na rok dodawała mi obowiązków. Na mojej głowie było sprzątnięcie całego domu, razem z bratem ubieraliśmy choinkę, zwykle 2,5 metrową, którą ojciec ścinał w lesie. Teraz też mamy dużą choinkę, ale zamawiam ją dwa miesiące wcześniej w szkółce i dostaję posadzoną w donicy. Potem przesadzam ją do ogrodu koło domu. Tutaj w Krakowie albo w Zawoi, dawniej sadziłam w Kłęczanach u rodziców. Co robiłam z mamą na święta? Ponieważ u nas jadało się łązanki z makiem, mama zagniała ciasto, ja je wałkowałam. Ważnym zadaniem było mielenie sera i maku do ciasta. Najbardziej nie lubiłam mielić maku po raz drugi, ponieważ ziarenka maku trudno się wydłubywało z maszynki, a wtedy mak był trudno dostępny i drogi. Więc szanowało się każde ziarenko. Mama robiła też andruty z masą kajmakową, którą to ja gotowałam na bazie prawdziwego mleka od naszej krowy. Piekliśmy chleb z czarnuszką, więc żmudnie wydłubywałam czarnuszkę z maleńkich makówek.

Jak teraz wyglądają u Ciebie przygotowania do świąt, same święta i czy nie uważasz, że jesteście pokrzywdzone, ponieważ mamy w wigilię imieniny?

Tak, czuję się pokrzywdzona, bo dostaję tylko jeden prezent – pod choinkę, a gdzie jest specjalny, imieninowy? W dzieciństwie dziadzio dawał mi zawsze dwie pomarańcze



Zalipianki

Są restauracją tuż przy Plantach Krakowskich, powstałą z pasji do gotowania Ewy Wachowicz, która przyrządzając potrawy, opiera się na produktach lokalnych, pochodzących z Małopolski, i na rodzinnych, własnych przepisach.

Wnętrze restauracji to efekt pracy wyjątkowych artystów – plastyka Roberta Piątka oraz Sebastiana Gomułki i Andrzeja Górnisiewicza, autorów wielu scenografii filmowych i dekoracji wnętrz, między innymi w filmie *Wołyń* Wojciecha Smarzowskiego

Tylko tutaj można zamówić małdrzyki krakowskie i maczankę po krakowsku według Ewy Wachowicz. Podaje się także szarlotkę z lodami śmietankowymi i sosem cynamonowym, a owsiany chleb wypiekany jest na miejscu według receptury Ewy.

Zalipianki Ewa Wachowicz

ul. Szewska 24

31-009 Kraków

Tel.: +48 502 845 579

E-mail: kontakt@zalipianki.pl

www.Zalipianki.pl

i mówił, że jedna jest na imieniny, a druga na święta. Teraz dostaję kwiaty, ale cały dzień wigilijny spędzam pracowicie w kuchni... w słuchawkach na uszach, ponieważ przyjaciele i znajomi dzwonią z życzeniami, a ja mam ręce w cieście! Jestem w największym ferworze prac przed kolacją wigilijną, do której tradycyjnie zasiadamy całą rodziną o czwartej po południu.

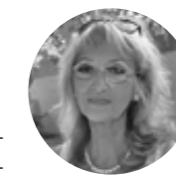
Sama mi mówiłaś, żeby sobie wszystko przygotować wcześniej. I co?

Potwierdzam to, nawet publicznie podałam kalendarium czynności, które można wykonać wcześniej. Dwa lub trzy tygodnie przed wigilią lepimy z moją córką Olą pierogi. Są cztery rodzaje: z kapustą i grzybami, ruskie, z serem na słodko i ze śliwką suską sechlońską oraz migdałem w środku. Tych pierogów lepimy ponad 200. No i uszka. Wszystko zamrażam. Także placki na ciasto. Już w październiku nastawiam ciasto na pierniczki, w listopadzie piekę je, by w grudniu pierniki po odleżeniu były smaczniejsze. Oprócz potraw, które muszą być obowiązkowo, jak karp z patelni czy barszczyk, który przyrządzam tuż przed wigilią, w menu świątecznym mam dania charakterystyczne według przepisów rodzinnych: to kasza jęczmienna z grzybami i groch ze śliwkami. Podejmuje nimi gości w drugi dzień świąt, kiedy

przychodzą na kolędowanie. Tę tradycję przyniosłam z rodzinnych stron.

Zawsze spędzasz święta w domu?

Zawsze, choć chcę opowiedzieć o pewnym eksperymencie. Któregoś roku z moim bratem Arturem postanowiliśmy, że wigilii wyjątkowo nie spędzimy razem. Nagle podniosło się w rodzinie ogromne larum! I to zrobiły nasze dorosłe dzieci, takie światowe i samodzielne! Byliśmy tym zaskoczeni. Udało nam się wpoić, że tradycja i rodzina są ważne. Pilnujemy, aby tego dnia być razem – to bezcenne chwile.



Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”,

kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, była kuratorką wystaw fotograficznych.

Pisana życiem i emocjami
najnowsza książka
ROMY LIGOCKIEJ



fot. Andrzej Banaś

Chciałabym Wam zadedykować tę książkę, w której jest trochę smutku, ale chyba więcej nadziei, wiary i oczywiście miłości.

ROMA LIGOCKA



Trup w wieży Mariackiej

Tekst: Dominik Jedliński Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

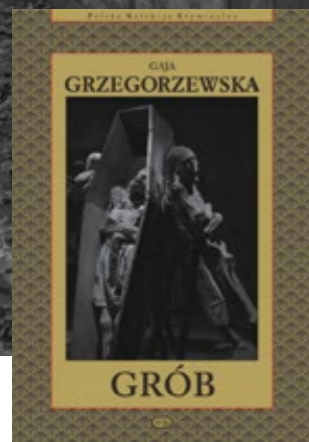
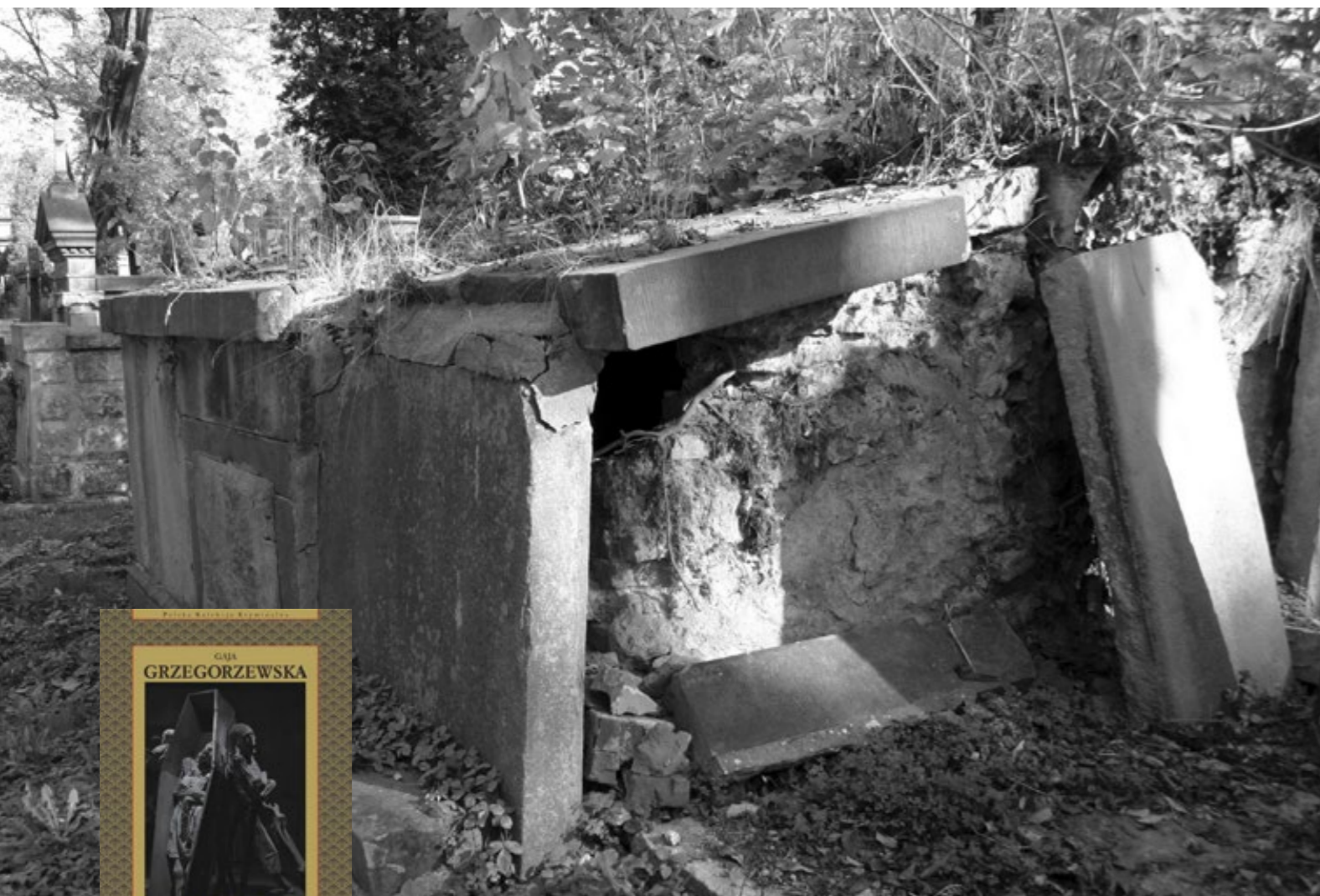
Kraków. Miasto hejnału, lajkonika, obwarzanka, wawelskiego smoka i bożonarodzeniowych szopek. Ale też miasto skrywające mroczne tajemnice. Ojczyzna Karola Kota, osławionego wampira z Krakowa, miejsce zbrodniczej działalności „Pięknego Władzia”, czyli Władysława Mazurkiewicza. I to właśnie z tego plugawego oblicza chętnie korzystają autorzy kryminałów.

Do łask powieści kryminalne wróciły w głównej mierze dzięki autorom skandynawskim. Surowe powieści Jo Nesbø, Camilla Lackberg, Henninga Mankella czy Stiega Larssona udowodniły, że choć to literatura popularna, nie należy jej lekceważyć. Nesbø powiedział kiedyś, że w Skandynawii kryminał stał się „społecznie i politycznie zaangażowaną poważną literaturą obnażającą mechanizmy działania państwa”. Książki jego i jego kolegów po fachu opowiadają o nieporadno-

ści systemu czy problemach marginesu społecznego. To już nie tylko podrzędne czytadła, przy których co bardziej wprawny czytelnik przewraca oczami, ale historie, z pomocą których da się opowiedzieć coś więcej.

Kryminalna mapa Polski

Niemal każde większe miasto w Polsce ma swoje opowieści kryminalne. Warszawa ma *Uwikłanie* Zygmunta Miłoszewskiego, Wrocław – kryminały Marka Krajewskie-



go. Dzieje rodzinnego Lublina zgłębia Marcin Wroński, w książkach Ryszarda Ćwirleja w tle mamy Poznań, w powieściach Czubaja i Krajewskiego – Trójmiasto, a w *Lampionach* Katarzyny Bondy – mroczne zaułki Łodzi.

Nie brakuje też autorów, którzy zanurzyli się w „nieprzysiadalne” odmęty Krakowa. Więcej! W ostatnich latach na równi ze smogiem królewskie miasto spowiła duchota miejsca zbrodni. Pisarze popełnili przestępstwa niemal w każdym jego zakątku, bez pardonowo wypruli z niego podszewkę i pokazali cały brud zalegający pod jej powierzchnią.

Mały mistrz na tropie

Wspomnianego ducha Karola Kota przy fałszywych dźwiękach hejnału z wieży Mariackiej tropił w pierwszej książce prozatorskiej wydanej pod własnym imieniem i nazwiskiem Marcin Świetlicki.

Głównym bohaterem wydanych w 2006 roku *Dwunastu* (oraz kontynuacji: *Trzyście*

i *Jedenaście*) był dawny gwiazdor, nazywany mistrzem od tytułowej roli, którą zagrał jako dziecko w popularnym serialu *Mały mistrz na tropie*. Po jego dawnej sławie niewiele już zostało, gość „utył, spuchł i posiwiął”, snuje się niczym włóczyki od baru do baru (najłatwiej spotkać go w Zwisie, ale chętnie pojawia się w Dymie, Pięknym Psie czy fikcyjnym Biurze). Zupełnie przez przypadek wplątuje się w intrygę kryminalną.

Debiutancka powieść Świetlickiego *stricte* kryminałem nie była, z gatunkowego sztafetu korzystała do nakreślenia przewrotnego, kpiarskiego komentarza na temat otaczającej nas rzeczywistości tak w skali Krakowa, jak i ogólnopolskiej. A w tle mieliśmy poetycki Kraków, miasto trudne do uchwycenia, fantazmat rozrzedzony w wódce i skąpany w gęstym dymie z papierosów.

Dominikanin na tropie

Mistrz Świetlickiego nie był typowym bohaterem z kart powieści kryminalnych. Daleko

było mu do Herkulesa Poirot czy Sherlocka Holmesa. W przeblaskach świadomości był raczej biernym obserwatorem wydarzeń aniżeli czynnym detektywem, korzystającym ze swojego sprytu czy intelektu.

Zresztą, rodzimi autorzy nie boją się bawić gatunkiem. Na przykład Ireneusz Grin, jeden z ojców założycieli Stowarzyszenia Miłośników Kryminału i Powieści Sensacyjnej „Trup w szafie” (wraz z m.in. Witoldem Beresiem czy właśnie Świetlickim), opowiadaniem *Bezpański pies* (2005) rozpoczął cykl książek o Józefie Marii Dyduchu – byłym dominikaninie, obecnie prywatnym detektywie, który specjalizuje się w... sprawach rozwodowych.

Jego bohater, przystojny, dobrze wychowany, błyskotliwy, acz fajłapowaty w sprawach damsko-męskich, powraca w powieści *Pan Szatan* (2007), a następnie trafia na karty parodii kryminału *Orchidea* (2009), której Grin napisał wraz z Gają Grzegorzewską i Marcinem Świetlickim w *Mleczarni*

przy ul. Meiselsa. Oto pod mostem Dębnickim odnaleziono powieszoną kobietę, przy której znajdowała się karteczka z napisem „Co ma wisieć, nie utonie”. Józef Maria Dyduch, Julia Dobrowolska oraz mistrz – niczym w rozbuchanym blockbusterze Marvela – łączą siły, by wspólnie odkryć tożsamość mordercy.

Warto dodać, że prowadzone przez trio śledztwo jest bardziej niż absurdałne, a do tego podlane szczegółami życia (znanych) krakusów. – Robiliśmy sobie jaja z każdego z bohaterów. To nie są do końca te same postaci, one się zachowują troszeczkę inaczej niż zazwyczaj. Jakby zarzucili sobie grzyba – żartował Świetlicki po premierze książki.

Siła jest kobietą

Jeśli już jesteśmy przy Grzegorzewskiej, warto wspomnieć kilka słów właśnie o prywatnej detektyw Julii Dobrowolskiej, zabójczej blond piękności z tajemniczą blizną na twarzy. Kobieta jest rzeczowa, konsekwentna, zde-



nocy, będącej powieściową wersją scenariusza serialu *Belle époque* z Pawłem Małuszynskim i Magdaleną Cielecką, początkujący pisarze zabierają nas do Krakowa z początku XX wieku. A w jego zakamarkach czai się zło, którego owocem jest znaleziona na Plantach martwa kobieta z ziejącymi pustką oczodołami zamiast oczu. Tak rozpoczyna się seria makabrycznych zbrodni, a rozwiązania zagadki podejmuje się syn marnotrawny, powracający z dalekiego Madagaskaru. Powieść wyróżnia to, że panowie nie ograniczają się wyłącznie do snucia kryminalnej intrygi, ale też wiarygodnie ukazują narodziny nowej epoki, w której raczkuje kryminalistyka.

Nieco inny kurs obierają Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński. Jako Maryla Szymiczkowa odpowiadają za serię o profesorowej Zofii Szczupaczyńskiej, która pomiędzy domowymi obowiązkami rozwiązuje zagadki tajemniczych zgonów w XIX-wiecznym grodzie Kraka. Już samo przyjęcie przez autorów pseudonimu, który jakże wnikliwie dookreślają (Szymiczkowa jest wdową, korektorką „Tygodnika Powszechnego” oraz stałą bywalczynią kawiarni Noworolski), sugeruje, że książek nie ma co brać śmiertelnie poważnie. Ich *Tajemnica domu Helclów* (2015), *Rozdarta zasłona* (2016) oraz *Seans w Domu Egipskim* (2018) to powieści utrzymane w duchu twórczości i Zapolskiej, i Christie, ale też ujmująca satyra na minioną epokę.

Miasto jest w tych kryminałach bohaterem równie ważnym jak profesorowa. Autorzy pieczołowicie odtworzyli topografię, zakamarki, zwyczaje i przekrój krakowskiego społeczeństwa. – Staramy się, by wszystkie smaczki, anegdoty i szczególiki miały oparcie w faktach. Jeśli przepis na powidła, to autentyczny. Jeśli skandal, to potwierdzony w źródłach. W ówczesnym Krakowie działo się tyle ciekawych rzeczy, że rzeczywistość naprawdę nierzadko przerastała fikcję – mówili w rozmowie z „Dziennikiem Polskim”.

Kroke, to znaczy Kraków

Z kolei inny duet – Małgorzata oraz Michał Kuźmiński – zabiera czytelników do Krakowa w przeddzień wybuchu II wojny światowej. Pisarskie małżeństwo zafascynowane jest kulturą żydowską, a szczególnym uczuciem darzy krakowski Kazimierz. To właśnie tam rozgrywa się akcja ich *Sekretów Kroke* (2009).

Tajemnicze Kroke to nic innego jak Kraków w języku jidysz. W swoim kryminale Kuźmiński z awanturycznym błyskiem w oku, z plastycznością, niemalże namacalnością oddali klimat i koloryt społeczności żydowskiej. Zresztą para lubi budować swoje opowieści na konfliktach na tle etnicznym. Lęk, niezrozumienie i wrogość powrócą też w *Kamieniu* (2017), kiedy w romskiej osadzie na Sądecczyźnie odnaleziony zostanie martwy chłopczyk o jasnej karnacji i włosach koloru pszenicy. Ale zanim to nastąpi, para wyda

cydowana. Ma też słabość do wysokoprocentowych trunków i drogich ubrań. W swoich powieściach Grzegorzewska zabiera też w podróż po nieznanym labiryncie krakowskiego piekła, gdzie unosi się niemal fizycznie odczuwalne zło.

– Nie potrafię żyć nigdzie indziej. Najdłużej poza Krakowem byłam miesiąc. Lubię moje

miasto, a jego ciemna strona mnie nie przeraża, wręcz przeciwnie, od zawsze fascynuje – mówiła autorka kilka lat temu.

Do kryminału trzeba dwojga

„Co dwie głowy to nie jedna” – mówi stare polskie porzekadło. Do serca wzięli sobie je także pisarze, którzy chętnie łączą siły

w celu dostarczenia czytelnikom fascynującej rozrywki.

W 2017 roku przywoitym retro kryminałem *Najdłuższa noc* uraczył nas duet Maciej Dancewicz i Marek Bukowski. Pierwszy to historyk, ale też scenarzysta i reżyser, drugi to popularny aktor, odtwórca roli Piotra Gawryły w serialu *Na dobre i na złe*. W *Najdłuższej*



kontynuację debiutu – *Kłątwe Konstancy* (2011) – w której powrócą do bohaterów, ale już po wojennej zawierusze.

Do okupowanego Krakowa akcję przenosi też Agnieszka Krawczyk w *Nocy zimowego przesilenia*. Na Wawelu powiewają hitlerowskie flagi, nocami ulice spowija mrok, a w tajemniczych okolicznościach znika słynny jaśnowidz. Wtedy do akcji wkracza detektyw Artur Załuski. W powieści Krawczyk mieszają się wątki sensacyjne i kryminalne, a w sprawę zamieszane są obce wywiady i tajne stowarzyszenia okultystyczne.

Dekadencki Kraków

W tony retro uderza też Krzysztof Maćkowski. W jego *Raporcie Baden* trafiamy do Krakowa roku 1900, w którym od dwóch lat Stanisław Przybyszewski zapija „ból istnienia”. Tymczasem na Błoniach, gdzie latem wciąż pasą się krowy, ktoś odnajduje ciało warszawskiej studentki. Sprawą zajmuje się inspektor Gustaw Mahler, człowiek ironiczny,

aczkolwiek rzetelnie wykonujący swoje obowiązki. Maćkowski językiem oszczędnym, wyciągniętym niemal z policyjnym kartotek, kreśli pejzaż wykoślawionych młodopolskich obyczajów, całość ubarwiając odtworzoną miłą korespondencją czy dygresjami o początkach futbolu.

Dekadencki nastrój Krakowa z przełomu XIX i XX wieku upatrzyła sobie także Małgorzata Kochanowicz, która osadziła w nim akcję swojej trylogii o Witoldzie Korczyńskim, człowieku o skomplikowanej przeszłości i wybitnych zdolnościach detektywistycznych.

Lenin, piec martenowski, blokowisko

Niektóre książki poświęcono też miastu w okresie PRL-u. Atmosferę końca lat 50. XX wieku wiarygodnie udało się oddać Agnieszce Krawczyk w *Dziewczynnie z aniołem*. Kraków odwilży gomułkowskiej żyje tajemniczym morderstwem pięknej maturzystki, a historię poznajemy oczyma nieszczęśli-

wie zakochanego w dziewczynie szkolnego kolegi Filipa Dobrowskiego.

Z kolei Nową Hutę lat 70. odnajdziemy w *Kosie, czyli balladzie kryminalnej o Nowej Hucie* (2012) Hanny Sokołowskiej. Narrację tworzą tutaj listy, artykuły z gazet, podania, a nawet wpisy z księgi zażaleń. Z tej układanki wyłania się motyw kryminalny, czyli morderstwa młodych dziewczyn. Trzy lata później autorka powróciła powieścią *Koty, czyli złap mnie w Nowej Hucie*. Tym razem akcja toczyła się w 1988 roku. – Ta dzielnica zawsze miała swoją tożsamość. Pisząc kryminały, chcę wyrwać Hutę z zakłętą kręgu wspomnień pod nazwą „Lenin, piec martenowski, blokowisko” – mówiła po premierze.

Królewski inwestygator

Renesansowy Kraków upodobał sobie natomiast Mariusz Wollny. Akcja jego na poły poważnego, na poły żartobliwego cyklu o przygodach królewskiego inwestygatora Kacpra Ryksa toczy się za panowania Zygmunta Augusta. XVI-wieczny Kraków odtworzony został z pietyzmem i topograficzną wiernością. To miasto tyleż urokliwe, co przerażające. Czuć w książkach echa opowieści łotrzykowskich, a na kartach przewijają się postaci zarówno fikcyjne, jak i historyczne. Mamy i Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, i Jana Kochanowskiego, i burmistrza Erazma Czeczotkę. Aż chce się ruszyć w miasto śladami bohaterów. A gdy już się ruszycie z kanapy, nie zapomnijcie zahaczyć o „ławeczkę literacką” samego Wollnego na krakowskich Plantach, tuż obok Bramy Floriańskiej.

Powrót do współczesności

Pora wrócić do czasów współczesnych. Tutaj o uwagę czytelnika walczy Bartłomiej Basiura, który ma zaledwie 28 wiosen na karku, a na koncie już sześć książek. Jego *Reset* i *Waga* to powieści krakowskie, a wszystkie wątki łączy areszt przy ulicy Montelupich.

W Krakowie akcje swoich powieści umieszcili też Marek Harny (*Pismak*), Zofia Małopolska (*Morderstwo tuż za rogiem*) czy Krzysztof Mazurek (*Osiem kroków tanga*). Ale wyróżnia się na ich tle Krzysztof A. Zajas, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który udaje się w zdecydowanie mroczniejsze rejony, oscylujące wokół zbrodni na tle religijnym. Kierowany mottem Stephena Kinga, że książki mają być do czytania, pisze powieści sensacyjne i kryminalne, w których często narracja zbacza w stronę nadnaturalności rodem z horrorów. Jest autorem znakomitej „trylogii grobiańskiej” (*Ludzie w nienawiści*, *Mroczny krąg*, *Z otchłani*), a także powieści *Oszpicyn* (2017) o rozlewie polskiej i żydowskiej krwi (Oszpicyn to w jidysz Oświęcim). Obecnie przeniósł się na północ i pracuje nad tak zwaną trylogią pomorską.

Demonów z czasów minionych szuka też Łukasz Orbitowski. W *Tracę ciepło* (2018),

opowieści o dwóch kumplach z podstawówki na Kazimierzu, próbujących rozwiązać zagadkę śmierci szkolnego woźnego, kryminalna intryga unosi się w oparach grozy i mistycyzmu. Dodajmy, że wcześniej Kraków – brudny, odstręczający – był w tle wydarzeń jego *Horror Show* (2006).

Z przymrużeniem oka

Nie tylko Szymczkowska czy trio Grin-Świelicki-Grzegorzewska wyśmiali prawdę gatunku. Z konwencji kryminału jawnie zakpił sobie też Paweł Oksanowicz. W *Kra Kra. Krakowskim kryminale* pokazał, że tego gatunku nie trzeba brać na serio, a przy okazji bawił się wątkiem odwiecznej i stereotypowej rywalizacji między Krakowem a Warszawą.

Nie należy też traktować poważnie *Kogo Kocham, kogo lubię* Marty Mizuro oraz Roberta Ostaszewskiego. Para krytyków literackich śmieje się nam w twarz już na wstępie – główny bohater nie jest – jak zazwyczaj – cierpiącym na depresję mężczyzną z mroczną przeszłością, a dziarskim mężem i ojcem. Książka tętni humorem i kipi od ironii, a wszystko zanurzone jest w charakterystycznym krakowskim sosie.

Śladami zbrodni

Kraków stał się w ostatnich latach prawdziwym zagłębiem literackiej zbrodni. Co ciekawe, w ramach projektu Literacka Małopolska powstał nawet Szlak Kryminalny*. Rynek i Kazimierz, poznane z nieco innej perspektywy, zaskakują i intrygują, a kolejne nieodkryte zakamarki miasta czekają na wielbicieli przygód i długich spacerów.

Liza Marklund, szwedzka dziennikarka i autorka powieści kryminalnych, powiedziała kiedyś, że kryminały są szczególnie popularne w krajach dobrze rozwiniętych. Chodzi o kontrast pomiędzy wygodnym, spełnionym życiem a brutalnym morderstwem. Lista wartych lektury autorów kryminałów piszących o Krakowie jest długa i nieustannie pojawiają się na niej nowe nazwiska. Więc może i nam żyje się lepiej?

*Mapę można znaleźć na stronie reading-malopolska.pl



Dominik Jedliński – absolwent Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Autor bloga filmowego Filmbuk (filmbuk.weebly.com), na którym można znaleźć m.in. pierwszą w języku polskim analizę filmografii amerykańskiego re-

żysera Scotta Coopera. Miłośnik kina prawniczego. Tworzył działy prasowe największych krakowskich festiwali filmowych: Off Camera oraz Etiuda&Anima. Pisał o kulturze dla wielu mediów.

Prof. Richtera 10 sposobów na chirurgię

Tekst: Iwona Sitnik-Kornecka Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

W medycynie nie ma rozwiązań zero-jedynkowych – mówi prof. Piotr Richter, szef Oddziału Klinicznego Chirurgii Ogólnej, Onkologicznej i Gastroenterologicznej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. – Wykorzystujemy wiedzę, ale decyzje są często oparte na intuicji. Organizm człowieka nie jest bowiem zaprojektowaną ludzką ręką maszyną i w każdej sytuacji może się zachować w sposób absolutnie nieprzewidywalny.

Zawsze pije Pan zimną kawę? – pytam, gdy bierze do ręki przygotowaną kilkanaście minut wcześniej filiżankę. Obok, na biurku stoi druga. Z herbatą. Też pełna. Patrzy na mnie badawczo i lekko wzdycha. Właśnie zszedł z bloku operacyjnego. Ma jeszcze na sobie specjalne niebieskie ubranie ochronne.

Spieszył się. Wiedział, że czekam na umówione wcześniej spotkanie. Zabieg się jednak przeciągnął. – No cóż, musimy żyć szybko. Jest dużo spraw, które trzeba załatwiać równolegle.

Rzeczywiście. Zanim zadam pierwsze pytanie, wychodzi do rodziny jednego z pacjentów. – Martwią się – mówi przepaszająco i znika w drzwiach. – Muszę z nimi porozmawiać.

Trudno się dziwić. Do prof. Richtera trafiają z reguły trudne przypadki. Z całej Polski. Pacjenci, których leczenia nie chce się już nikt podjąć. A on mówi: spróbujmy. I nie odpuszcza.

– My nie odpuszczamy. My, tutaj na Białej – poprawia mnie spokojnie.

Sposób 1. Praca zespołowa

– Chirurg nie jest samotnym, białym żaglem. Bez dobrego teamu nic nie robi. To jak z F-16. Pamięta pani, jak kupiliśmy amerykańskie myśliwce? I żaden nie wystartował? Bo nie było zaplecza, infrastruktury, dobrze wyszkolonych ludzi... Pilot oczywiście jest ważny. Ale jeszcze ważniejsza jest grupa ludzi, która pracuje, by jego lot w ogóle się odbył.

Prof. Piotr Richter. Roczniak 1960. Krakus z urodzenia i sentymentu. Tu się uczył (szkoła podstawowa nr 106, II LO, Akademia Medyczna). Tu pracuje (CMUJ). Zaczynał jako młodszy asystent. Dziś jest profesorem (Co nie znaczy, że własną edukację już zakończył. Do specjalizacji z chirurgii ogólnej, klinicznej i onkologicznej dokłada właśnie transplantologię

Taka jest też chirurgia. – Liczy się zespół. – W czasie naszego spotkania powtórzy to zdanie kilka razy. W gabinecie, na szpitalnym korytarzu i na bloku operacyjnym.

– Także tutaj, podobnie jak w innych dziedzinach życia, często pomija się osoby, które tworzą zespół, a eksponuje tylko te nazwiska, które są na szczycie.

Tymczasem bez zgranego zespołu nie istnieje żaden lider, żaden kierownik. Wszyscy pracują na wspólną wartość, jaką jest klinika – nie na nazwisko szefa, który zresztą, jego zdaniem, powinien być osobą skromną i pokorną. Przynajmniej jeżeli chodzi o eksponowanie swoich zasług.

Sposób 2. Dobry wybór

Zawsze chciał być lekarzem. Doskonale pamięta jak u dziadków, na ulicy Mazowieckiej, na dużym stole pod pięknym wiązem ciął nożem dżdżownicę na kilkanaście części.

– Mama nie była przerażona? – pytam ze śmiechem.

– Nie. Ale rodzice zauważyli wtedy, że moim przeznaczeniem jest medycyna.

Sami nie byli lekarzami. Mama profesora jest architektem, tata inżynierem. Pozwolili, żeby wybrał własną drogę, chociaż patrząc na historię rodziny, to był zupełnie dziewiczy kierunek. A skoro medycyna, było jasne (przynajmniej dla niego), że chirurgia.

– Jak mężczyzna decyduje się na medycynę, to musi być chirurgiem. To fajne wyzwanie, zawód, który nie jest statyczny, jest zmienny, różnorodny, niepowtarzalny. Taki, w którym

kliniczną. Przed nim jeden z ostatnich egzaminów). Pełnomocnik rektora UJ ds. ogólnych w Collegium Medicum. Jeden z najskuteczniejszych, nie tylko w Krakowie, lekarzy zajmujących się leczeniem raka przewodu pokarmowego. Zdobywca przyznawanego przez czytelników „Gazety Krakowskiej” tytułu Chirurg Roku 2018.



trzeba cały czas podejmować decyzje i walczyć.

- Kobiety nie potrafią walczyć? - pytam prowokacyjnie. - Chirurgia jest zdominowana przez mężczyzn, a ja znam znakomite chirurżki.

- Kobiety są nawet lepsze w tej walce - odpowiada bez wahania - i w moim zespole jest ich sporo. Ale o kobietach nie rozmawiam. - Bezbłędnie wyczuwa mój bojowy nastrój. - To piękny, trudny i słabo rozwiązywalny temat. Choć konieczny.

Sposób 3. Emocje w ryzach

Chłodny profesjonalista, słyszę, gdy pytam o prof. Richtera.

- Chłodny? Do każdej decyzji podchodzę bardzo ciepło. - Jest wyraźnie zaskoczony opinią.

- Nie okazuje pan emocji. - To moja definicja spornego określenia. - Pacjent widzi lekarza, który wie, co robi, i to mu daje poczucie bezpieczeństwa.

- No tak, emocji nie widać, bo potrafię nadać twarzy wyraz zdystansowania. Ale to tylko maska.

- Da się tak po prostu wyłączyć emocje? - Też bym tak chciała. - Nawet jeżeli to obcy człowiek?

- Emocje trzeba trzymać w ryzach. - Waży słowa. - Emocje trzeba chować. Nie można ich eksponować. Przychodzą oczywiście później i trzeba sobie z nimi radzić, ale w końcu nie każda decyzja, którą podejmujemy, jest życiowa, wielka, straszna... Życie w większości nie składa się z trudnych sytuacji - tłumaczy spokojnie.

- Ale decyzję podjąć trzeba. I wziąć za nią odpowiedzialność. Co, biorąc pod uwagę nowelizację kodeksu karnego i brak możliwości zawieszenia kary za nieumyślne spowodowanie śmierci, może być trudne. - Nie wiem, co bym zrobiła na miejscu lekarzy. - Kto teraz będzie chciał podjąć ryzyko?

Sposób 4. Robić swoje

- Tam gdzie medycyna pozostawia możliwość zareagowania lub nie, każda decyzja może być trafna lub nietrafna...

- No właśnie! - przerywam niecierpliwie.

- Ja w takiej sytuacji staram się raczej stać po stronie reagowania i działania, aniżeli ryzykowania nietrafności poprzez brak działania - tłumaczy dalej spokojnie. - Oczywiście

mamy w tej chwili niesprzyjające okoliczności...

- To chyba mało powiedziane!

- ... czy też niedobrą atmosferę wokół lekarzy, bo systemowo wytwarza się wytyczne czy zalecenia, które mogą działać w obie strony. Podjęte działanie, które nie mieści się w pewnych granicach, może się okazać nietrafne. A ponieważ każde może potem zostać zakwalifikowane jako błąd medyczny, lekarze mogą zacząć się uciekać do rozwiązań, które nie są ryzykowne.

- Pan też?

- Nie. Zrobię wszystko, by ten argument karno-prawny nie wpływał na moje decyzje.

- Ale straszenie lekarzy więzieniem nie sprawi, że będą lepszymi lekarzami!

- W medycynie nie ma rozwiązań zero-jedynkowych. Nie ma książki jakości opisującej punkt po punkcie, jak w samolocie, co robić i w jakim przypadku. Większość naszych działań, choć oczywiście opieramy się na wiedzy, jest jednak intuicyjna. Mamy bowiem do czynienia z żywym organizmem, który zawsze może się zachować w sposób nieprzewidywalny.

Sposób 5. Leśna Góra to fikcja

Każdy przychodzi do szpitala z przekonaniem, że wyjdzie zdrowy - analizuję w głowie reakcje przyjaciół. Przecież medycyna pozwala na coraz więcej. I chociaż jesteśmy czytelnymi (dr Google), temat choroby mamy przedyskutowany (wszystkowiedzący znajomi) i teoretycznie wiemy, że życie bywa zaskakująco niezależne od naszych chęci (ale tyle planów przed nami), uważamy, że wszystko będzie dobrze. Kto z nas myśli o tym, że medycyna w wielu przypadkach to odwracanie natury? Z drugiej strony lekarze mają mało czasu na rozmowę z pacjentem, a oczekiwaniami - tłumaczy prof. Richter - rodem z najlepszych wzorców telewizyjnych, serialowych czy publicystycznych coraz częściej mają się nijak do realiów dnia codziennego.

- Czyli jeżeli jednemu pacjentowi poświęci Pan więcej czasu, dla drugiego będzie go miał Pan mniej?

- Nie, wybór jest inny. Wynika z prostej matematyki. Jeżeli będziemy poświęcać więcej czasu pacjentom, będziemy ich leczyć mniej. Mogę przygotować idealny wzorzec takiej rozmowy medycznej, potem wystarczy zmniejszyć czas wizyty i przemnożyć przez liczbę

godzin, jakie w danym dniu można poświęcić pacjentom. Okazuje się, że z 200 osób czekających w poczekalni trzeba odesłać 150. Każda jakość wymaga nakładów i środków. Tylko w serialach wygląda to inaczej.

- Nie lubi pan seriali medycznych?

- Brałem nawet udział w tworzeniu kilku scenariuszy, ale szybko zrezygnowano z moich usług (śmiech).

-?

- Pokazywałem, jakie głupoty są eksponowane w grze aktorów, ile rzeczy jest nierealnych i niespójnych z rzeczywistością.

- Widzowie tego oczekują?

- Widzowie może tak. Ale ja nie lecę w Leśnej Górze.

Sposób 6. Zawsze na dyżurze

- To ile godzin dziennie Pan pracuje? - Już rozumiem, dlaczego umawianie się na wywiad trochę trwało.

- Pracujemy zgodnie z zakontraktowanym czasem pracy - zaczyna dyplomatycznie. - Ale nie istnieją sztywne ramy i ważna jest pewna elastyczność.

- Czyli? 10, 12, 14...

-... 16 - rzuca jakby mimochodem.

Do tego trzeba dodać telefony w nocy. Każdy członek jego zespołu wie, że może zadzwonić w każdej chwili. Profesor ma wtedy około 10 minut, żeby dotrzeć na salę operacyjną. Wprawdzie takie sytuacje zdarzają się kilka razy w roku ale trzeba być na nie przygotowanym 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, 12 miesięcy w roku. To dlatego lekarze są czasami postrzegani jako osoby nieumiejące się zachować w pewnych sytuacjach towarzyskich.

- Zjadam posiłek czterema ruchami łyżki czy noża i widelca. Po prostu wiem, że za chwilę mogę go już nie skończyć.

Styl życia i pracy chirurgów dobrze oddaje anegdota o znanym transplantologu wątroby z Warszawy, zaprzyjaźnionym z prof. Richterem, który przyjechał do domu na wigilię, usiadł przy stole i... zasnął z barszczem w kubeczku nad talerzem. A cała rodzina czekała ponad godzinę, aż się obudził.

Sposób 7. Muzyka

Nigdy nie żałował wyboru. Ale jest przekonany, że ciekawą alternatywą dla chirurgii byłby zawód ulicznego grajka. Bo muzyka to najpiękniejsza ze sztuk. - Bez muzyki, i bez psów

Życie w większości nie składa się z trudnych decyzji.

(ma cocker-spaniela angielskiego), nie da się żyć - mówi z przekonaniem.

Ale na sali operacyjnej muzyki nie słucha. W samochodzie zresztą też nie.

- Muzyka powinna mieć swój aksamit, swoje ciepło, harmonię, nastrój... Dlatego powinna być słuchana w odpowiednich warunkach. - Jest audiofilem, stąd takie przywiązanie do jakości tego, co słucha. - Dźwięk musi być przenoszony w odpowiednich pasmach. Inaczej mamy do czynienia z hałasem, a nie słuchaniem muzyki. A on z tym walczy (odtworząc, który zauważyłam na sali operacyjnej, rzeczywiście milczał jak zakłęty).

- To na czym Pan gra? - Próbuję sobie wyobrazić prof. Richtera na Rynku Głównym.

- Moje próby aktywnego muzykowania skończyły się klęską. - Nie ma dla siebie liwości.

- Naprawdę było tak źle?

- Dojrzywałem, słuchając wspaniałej muzyki. Mój ojciec był znakomitym, wybitnym jazzmanem. Widziałem, a właściwie słyszałem, jak rodził się jazz w Krakowie. - Uśmiecha się na samo wspomnienie tamtych lat. - Próbowałem grać na perkusji, na fortepianie... Ale to były tylko nędzne próby, które nie przełożyły się na rzeczywistość. - Lekko wzdycha.

- Czyli słucha Pan głównie jazzu?

- Nie. Słucham wszystkiego (choć na FB Profesora rzuca się w oczy zdjęcie Billa Evansa, o którym zwykł mawiać: „największy romantyk fortepianu”), nawet bardziej różnorodnej muzyki niż w przeszłości. Zmądrzałem i przestałem oceniać, klasyfikować i szufladkować. - Zaczynam lubić jego uśmiech i podajcie do życia.

Sposób 8. Moto Guzzi

Jaką rolę odgrywają w nim motocykle? To świat na wyciągnięcie dłoni. Czekając na spotkanie, miałam czas, by spokojnie rozglądnać się po gabinecie. Trudno ich nie zauważyć. Modele motocykli są wszędzie. W gablocie, przy opasłych medycznych tomach po angielsku, na biurku, przy kluczykach...

- Jeździła Pani kiedyś na pierwszym polskim motorowerze? Dwupedałowy komar... - rozmarza się. - Dostałem go od dziadka.

Każdy ma artystyczną duszę, zabitą przez czas i obowiązki.

Miał 6 albo 7 lat. Mógł jeździć tylko po polnej drodze koło domu. Ale świat i tak stał przed nim otworem. Miał własny pojazd i mógł ruszyć w świat.

– Marzył Pan o wolności jako 6-latek?
– Motocykl zawsze daje poczucie wolności. Ale to także walka ze strachem. Jak ktoś ma wyobraźnię. Trzeba być cały czas skupionym. W przeciwnym razie jazda kończy się wypadkiem.

– To na czym dziś rusza Pan w świat? – Obstawiam Harleya Davidsona. Ale nie. Harley to także przeszłość.

– To dosyć ciężki, mechaniczny motocykl. Powodował duże zmęczenie rąk. Nie mogłem operować z oczekiwaną od chirurga precyzją. W moim życiu pojawiła się piękna Moto Guzzi Brevia.

– A teraz?
– Teraz będę musiał naprawić życiowy błąd (kto ich nie popełnia?). – Sprzedał motocykl kilka miesięcy temu. Ma już na oku dwie fantastyczne, klasyczne maszyny ze stajni Moto Guzzi. Kolejna wyprawa jest więc tylko kwestią czasu.

Sposób 9. Zatrzymywanie czasu

Czy na tych wyprawach robi zdjęcia? Sporo słyszałam o kolejnej pasji profesora, jaką jest fotografia, ale w gabinecie jego zdjęć nie widzę. Chirurg z artystyczną duszą?

– Każdy ma artystyczną duszę, zabitą przez czas i obowiązki. Nie wiem oczywiście, czy moja na pewno taka jest... – Śmieje się, a ja po raz kolejny myślę, że dystans do siebie to spora zaleta w każdym zawodzie i miejscu. – Ale wiem, że muzyka i fotografia są dla mnie ważne.

Tylko o poezję mam chyba raczej nie pytać. Wiersz popełnił profesor jeden. Jak był zakochany. W trzeciej klasie podstawówki. Wybranka serca go jednak nie przeczytała.

– Mój wewnętrzny cenzor powiedział mi, że to nie był dobry pomysł – mówi z rozbijającą szczerością.

– A swoje fotografie Pan lubi?
– Lubię zatrzymywać czas. Dlatego naciskam migawkę aparatu.
– Co ma Pan przed obiektywem?
– Najczęściej? Drzewa. Czasem barwy kwiatów, różne kontrasty, rozmycia tła.

Nie poluje z aparatem na sytuacje czy ludzi. Taką fotografię lubi oglądać w wykonaniu innych. Ale na pewne rzeczy musi sam patrzeć przez obiektyw. To rodzaj nieodpartej potrzeby, nawet pewnego głodu. Przy czym pociąga go nie sam obraz, ale radość, że z tysiąca detali wyłapuje jakiś szczegół, który zatrzymany w kadrze staje się piękny.

Sposób 10. Tylko w Krakowie

Pierwsza operacja? Oczywiście w Krakowie. Ale pamięta głównie to, że uciekł z sali operacyjnej po tym, jak pewien znany profesor, któremu niechcący zabrał buty do przebrania, rzucił w niego skalpelem. Potem było mniej dramatycznie. Ale emocje wcale nie były mniejsze.

– Chirurg wchodząc na salę operacyjną, musi się bać, musi stać na miękkich nogach i czuć pokorę. Niezależnie od tego, czy czeka go drobny zabieg czy skomplikowana operacja. Tylko to może go uratować przed fałszywym przekonaniem o własnej nieomyślności.

– W Krakowie o tę pokorę łatwiej?
– Kiedyś myślałem, że to problem, że całe życie, od pokoleń mieszkam w Krakowie. Dziś wiem, że to szczęście. To najpiękniejsze miejsce na świecie. Miasto, które ma wszystko, co jest potrzebne do życia takiemu człowiekowi jak ja. Nie za duże, nie za małe. Świetnie skomunikowane zarówno wewnątrz, jak z całym światem. Z niepowtarzalną atmosferą miasta uniwersyteckiego (fakt, że został profesorem właśnie Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest dla niego największą wartością). Z energią młodych ludzi i ich świeżymi pomysłami, ale także z wieloma osobami starszymi, będącymi wzorami zachowań, które tu w Krakowie są ważne: że nie liczy się pogoń za karierą czy błyskotkami, a praca i szacunek do każdego człowieka.



Iwona Sitnik-Kornecka – przez 25 lat dziennikarka TVP Kraków. Potem naczelna portalu For Her. Dziś freelancerka. I restauratorka. Z przyjaciółmi otworzyła bar tapas Mañana.



Joanna Karpowicz
Anubis w P (Chorwacja), z cyklu *Anubis w podróży*, 65 x 81 cm, akryl na płótnie



Miedziany Anioł

Rozmawiała Katarzyna T. Nowak Zdjęcia: Łukasz Filak

Piotr Skrzynecki powiedział o niej podczas 40-lecia Piwnicy pod Baranami: „Nasza najmłodsza, znaleziona w pudełku na Plantach – Dorota Ślęzak!”.

Katarzyna T. Nowak: Pochodzi Pani z Kędzierzyna-Koźla. Przyjechała Pani do Krakowa, by studiować anglistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wybrała Pani Kraków ze względu na UJ czy na atmosferę, czy może z jeszcze innego powodu?
Dorota Ślęzak: Bardzo chciałam znaleźć się na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zawsze byłam ambitna. Wysłano mnie też z eliminacji w Opolu na Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie, mimo że byłam licealistką. Najpierw na giełdę piosenki odrzuconej i zakwalifikowałam się dalej. Mieszkałam wtedy w Krakowie trzy dni, zwiedzałam miasto i to już całkiem mnie przekonało, by tu studiować i zamieszkać. Kraków był dla mnie miastem bajkowym. **Debiutowała Pani w 1996 roku na Studenckim Festiwalu Piosenki, który Pani wygrała.**

Zaśpiewałam dwie piosenki: jedną z tekstem Agnieszki Osieckiej *Muszę coś zrobić (z włosami)* i *Historio-histerię* z tekstem Roberta Kasprzyckiego. To był zwyczajny dzień tygodnia. Rano poszłam na zajęcia, potem szybko przebrałam się w sukienkę, pobiegłam do Rotundy, bo tam były przesłuchania, pobiegłam na następne zajęcia, które trwały do wieczora. Przez kilka dni była cisza, a potem, wieczorem, zadzwonił do mnie dziennikarz z „Dziennika Polskiego” z pytaniem, czy wiem, że wygrałam festiwal? Pojęcia o tym nie miałam, bo jeszcze nie ogłoszono wyników. Wieczorem, kiedy ogłoszono wyniki, oblegali mnie dziennikarze. Byłam wtedy na drugim roku studiów. Studencki Festiwal Piosenki był w tamtym czasie imprezą o ogromnej randze. Wywiady ze mną ukazały się na pierwszych stronach gazet. Nawet w sklepie spożywczym ludzie mnie rozpoznawali.

W tym samym roku, trochę wcześniej, zadebiutowała Pani w Piwnicy Pod Baranami. Pamięta Pani ten debiut?

Dorota Ślęzak – kompozytorka i pieśniarka, od 1996 artystka Piwnicy pod Baranami, absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Sienkiewicza w Kędzierzynie-Koźlu. Ukończyła Państwową Szkołę Muzyczną I stopnia (klasa skrzypiec i fortepianu) oraz anglistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Na festiwalach piosenki miałam kontakt z Grzegorzem Turnauem, który był jurorem. Ośmieliłam się zapytać go, czy mogłabym kiedyś wystąpić w Piwnicy. Powiedział, że nie widzi problemu, bo można na własną odpowiedzialność wystąpić przed kabaretem, ale muszę porozmawiać o tym z Piotrem Skrzyneckim. Powiedział mi, że Piotr codziennie o czternastej siedzi w kawiarni Vis à Vis. Poszłam tam. W potworzonej zadymionej salce siedział Piotr. Pytał, czy mam z kim wystąpić. Miałam muzyków z Kędzierzyna. Powiedział, że bym przyszła w sobotę z nimi do Piwnicy. Kiedy przyszłam, okazało się, że Piotr jest w szpitalu. Kabaret prowadził Leszek Wójtowicz. Powiedział, że on nic nie wie, ale że mogę wystąpić. Wystąpiłam i dostałam ogromną owację!

„Nasza najmłodsza, znaleziona w pudełku na Plantach” – tak przedstawił panią Piotr Skrzynecki podczas 40-lecia Piwnicy pod Baranami w Teatrze im. Słowackiego.

Do dziś nie wiem, czy to był żart czy poetycka metafora? Młodzi ludzie, którzy debiutowali w Piwnicy, często byli poddawani terminowaniu: pozwalało im się na przykład zaśpiewać, ale nie podawało się ich nazwiska. Nie wiem, czy Piotr celowo mnie tak przedstawił, by nie podać mojego nazwiska? Czy raczej po to, by ludzie mnie zapamiętali? To określenie przyłgnęło do mnie na lata.

To był chyba jeden z najważniejszych koncertów dla Pani, mimo że zjeżdżała Pani z Piwnicą niemal cały świat?

Byłam zachwycona, że mogę wystąpić na tym jubileuszu. Piotr zaprosił mnie po tym, jak wygrałam Studencki Festiwal Piosenki. Ten koncert z okazji 40-lecia był dla mnie przełomowy. Zostałam przedstawiona bardzo szerokiej widowni. Koncert był emitowany przez telewizję, a ja zostałam wprowadzona na scenę jako artystka Piwnicy pod Baranami.

Śpiewa piosenki z muzyką własnego autorstwa lub skomponowaną przez m.in. Grzegorza Turnaua, Jana Kantego Pawлуśkiewicza, Andrzeja Zaryckiego, Stanisława Radwana, a w swoich utworach wykorzystywała m.in. teksty Agnieszki Osieckiej, Michała Zabłockiego, Leszka Wójtowicza, Roberta Kasprzyckiego, Wiesława Dymnego i Jonasza Kofty.



Są trzy piwniczne anioły: czarny, czyli Ewa Demarczyk, biały, czyli Anna Szałapak, i rudy – Pani woli „miedziany” – czyli Pani.

W 2000 roku przygotowałam w Piwnicy program o aniołach. Przyjaźniłam się z Janiną Garycką. Konsultowałam z nią pomysły. Miałam mnóstwo różnych. Chciałam przygotować program o czarownicach, ale Janina powiedziała, że Piwnica jest już wystarczająco magiczna. Janina miała w mieszkaniu wymalowane na suficie anioły i sporo rzeźb aniołków siedzących na szafach. I nimi zainspirowana znalazłam wiersze o aniołach i wspólnie z Janem Nowickim, Grzegorzem Turnauem oraz Janem Kantym Pawluśkiewiczem wymyśliłam anielski recital. Jan Nowicki czytał wiersze. W czasie programu Nowicki powiedział: „W Krakowie był już czarny anioł – Ewa Demarczyk, biały – Anna Szałapak, a teraz objawił nam się rudy anioł”. Miedzianym lub miedzianowłosym aniołem nazywa mnie Leszek Wójtowicz.

Jaką rolę odegrał w Pani życiu Piotr Skrzynecki? Piotr był dla mnie w Piwnicy najważniejszy, bo dzięki niemu zostałam przyjęta do zespołu. Każdy artysta, który dołączał do zespołu, potrzebował także akceptacji towarzyskiej grupy, ale najważniejsze było zdanie Piotra. Każdą osobę, którą przyjął do zespołu, obdarzał dużą dozą zaufania. Ja miałam całkowitą artystyczną autonomię. Nie dawał mi żadnych wskazówek, niczego nie narzucał. Raz tylko zasugerował, bym na koncercie 40-lecia Piwnicy wystąpiła w długiej sukience. Piotrowi albo się ktoś w całości podobał albo nie.

Pierwszą solową płytę *Nie wiedziałam* wydała Pani czternaście lat po debiucie. Czemu tak późno? Jednym z powodów były pieniądze. Nagranie i wydanie płyty jest kosztowne. Polskie Radio, które we współpracy z Bankiem PKO wydało płyty między innymi Tamary Kalinowskiej, Haliny Wyrodek czy Oli Maurer, miało wydać też moją płytę w cyklu „Artyści Piwnicy pod Baranami”. Ale to się nie udało, bo jako najmłodsza byłam ostatnia w kolejności, a projekt w którymś momencie przerwano. Potem mieszkowałam w Niemczech i przymierzałam się do emigracji. Po powrocie zdecydowałam się jednak nagrać i wydać płytę za własne pieniądze.

W 2014 roku – *Tańczę*. Powtarza Pani, że bardziej liczy się dla Pani słowo niż muzyka. Czyje teksty najchętniej Pani śpiewa?

Tekst jest dla mnie inspiracją, to do niego komponuję muzykę. Nie mam jednego, ulubionego poety. Sięgam po teksty wielu osób, między innymi Agnieszki Osieckiej, Ewy Lipskiej, Michała Zabłockiego, Roberta Kasprzyckiego, Leszka Wójtowicza, Diany Ozgi... Poznałam Agnieszkę Osiecką. Bywała w Piwnicy i była świadkiem, jak śpiewałam piosenkę do jej wiersza *Muszę coś zrobić (z włosami)*. Rzucała mi się na szyję. Była pod wrażeniem. Obiecała, że napisze coś dla mnie ale, niestety, nie zdążyła, bo rok później zmarła.

Jest Pani autorką muzyki większości piosenek na swoich płytach. Czuję się Pani bardziej kompozytorką czy wokalistką? Gra Pani także na fortepianie i skrzypcach.

Staram się łączyć te rzeczy. Mam zaprzyjaźnionych kompozytorów, ale lubię sobie sama napisać muzy-

kę. Znacznie prościej jest, kiedy potrafi się to zrobić samemu. Na fortepianie i skrzypcach gram coraz mniej, bo są muzycy, którzy robią to lepiej, więc skupiam się na śpiewaniu.

Współpracowała pani ze Stanisławem Radwanem, Janem Kantym Pawluśkiewiczem, Grzegorzem Turnauem, Zbigniewem Preisnerem. Na płycie *Requiem dla mojego przyjaciela* Preisnera śpiewa Pani dwa utwory. Gdy płyta sprzedała się w ponad dziesięć tysięcy egzemplarzy, otrzymała Pani Złotą Płytę i występowała w wielu miejscach na świecie.

Współpraca ze Zbigniewem Preisnerem była zupełnie oderwana od Piwnicy. On wyjechał ze swoją muzyką w wielki świat. Przy okazji pracy nad *Requiem dla mojego przyjaciela* reżyserem koncertu był Edoardo Ponti, syn Pontiego i Sophii Loren, pracowali nad tym ludzie z całego świata. Akompaniowała mi orkiestra symfoniczna, o czym zawsze marzyłam. Byłam tam solistką i wokalistką, a nie artystką kabaretową. To było dla mnie wielkie przeżycie. Pamiętam, jak Zbigniew Preisner zadzwonił do mnie i spytał, czy mogę się z nim spotkać. Nie miałam wtedy czasu i powiedziałam, że jestem zajęta na uczelni, a on: „To niemożliwe! Jakies studia są ważniejsze ode mnie?”. Odparłam, że są dla mnie bardzo ważne. Ustaliliśmy jednak termin tego spotkania w ośrodku kultury, gdzie stało pianino. On zagrał i kazał mi tę melodię powtórzyć, po czym powiedział: „Idealnie. Jedźcie pani ze mną w świat z moją nową płytą”. Był to powiew wielkiego świata.

Czy jest jakaś kompozycja, muzyka, która Panią szczególnie fascynuje?

Są niesamowici artyści. Na przykład Pat Metheny. Byłam na jego koncercie w Kolonii i był to najlepszy koncert, na jakim byłam. Drugi to Jewgienij Kissin. Pianista. Byłam na jego koncercie w Bonn. Obaj grają bez najmniejszego wysiłku. Po prostu siadają i grają, ot tak, jak gdyby to, co robią, to była bagatelka, a są muzykami najwyższej klasy. I to mnie fascynuje.

Zjeżdżała Pani z Piwnicą pod Baranami, a także ze Zbigniewem Preisnerem cały świat. Który koncert i gdzie najmilej Pani wspomina?

Koncert w Nowym Jorku z Piwnicą. W Piwnicy mamy takie odczucie, że nasza najlepsza publiczność jest w Warszawie i właśnie w Nowym Jorku. Widownia w teatrze w Nowym Jorku była niezwykła i niezapomniana. Przybyło artystyczne środowisko Nowego Jorku. Niesamowicie reagowali. Wiwatowali. A po koncercie rozmowy towarzyskie z artystami.



Katarzyna T. Nowak – dziennikarka i pisarka. Autorka pięciu książek, m.in. *Moja mama czarownica. Opowieści o Dorocie Terakowskiej*. W pierwszym kwartale 2020 wydanie jej najnowsza książka *Nienasycona*. Współpracowała z „Przekrojem” i „Twoim Stylem”. Mieszka w Krakowie.



Joanna Karpowicz
Anubis na fali, z cyklu *Anubis w podróży*, 65 x 92 cm, akryl na płótnie



... książki poleca Witold Bereś

Ewa Lipska doskonale gra słowem. To wiemy wszyscy, a czytelnicy „Krakowa” wiedzą o tym choćby z jej felietonów. Ale niezwykłość jej poezji to przecież nie zabawa słowem. Nie – precyzja słowa Lipskiej budzi emocje, przywołuje łezkę i pozwala uwierzyć, że nic się nie kończy, chociaż wszystko mija. Tegoroczny jej tomik to wiersze-wspomnienia walczące z galopującym czasem.



„Byliśmy objawieniem.
Zjawiskiem zorzy polarnej.
Rozrzucaliśmy ciuchy
po całej adrenalinie.
Cytowaliśmy nasze ciała
bez biograficznych przypisów.
Zwolniliśmy ze służby rozum.
I chociaż nic się nie kończyło
to już zęgnęło na krzyż”.

Skromna, niewielka książeczka (26 wierszy) porusza. I nie styty kończy się, gdy naprawdę chcemy dalej czytać. To rzadkość w czasach, gdy trzeba mieć chwilę na to, by pomyśleć – nie mówiąc już o współodczuwaniu.

Warto znaleźć chwilę, aby zanurzyć się w tę poezję. A może – w tę sferę emocji. Bo można myśleć, ale ważniejsze, by odczuwać. Przeżywać.

Koniecznie przeczytajcie.

Ewa Lipska, *Miłość w trybie awaryjnym*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

*

„– Zaiste – rzekła Pani E. – roztropność, inteligencja i wiedza jako taka czynią sprawiedliwość cnotą piękniejszą niż wschód słońca i zorza wieczorna razem wzięte. Czy pouilly-fumé jest dobrze schłodzone?”

Najnowsza książka Michała Komara (scenarzysta i krytyk filmowy, autor sztuk teatralnych, wydawca i publicysta, syn generała Wacława Komara), wielopiętrowa, nawiązująca do tradycji powiastek filozoficznych powieść-esej, jest jak zaproszenie na wykwinną ucztę, podczas której smakujemy mistrzowsko skonstruowane wspomnienia, anegdota i dygresje – odniesienia do ważnych tekstów kultury i do przywołanych przez sędziwą Panią E. ludzkich losów. Ale tak naprawdę to *Wtajemniczenia* oznacza tu pożegnanie, koniec i zrozumienie śmierci. To pikantny przewodnik po kulturze dla czytelników wyrafinowanych lub taką postawę imitujących (stopień wyrafinowania mierzymy liczbą szczyrych wybuchów śmiechu, parsknięć i uśmiechów). To napisana z perspektywy służącego relacja perwersyjna (bo o kulturze),



dowcipna (bo wartościach) i smakowita (bo o kulinariach). Coś między Boccaccio a Montaigne'em.

Erudycja autora i jego fraza dobrze znana jest widzom programu *Xiegarnia*, ale tu ma więcej i smaczniej. I wiem, wiem, nic bardziej zabójczego niż przykładanie roli bohatera do postaci autora, ale z zachwytem czytam służącego deklarującego: „Niech śniadanie będzie skromne, acz krzepiące. Stosowny wydał mi się omelet z ostrygami”.

I nieodparcie widzę tu Michała K.
Rzecz przesmaczna.

Michał Komar, *Wtajemniczenia*, Czuły Barbarzyńca, Warszawa 2019.

*

Jest listopad 1918 roku. Lwów. Kiedy zgromadzeni na Rynku Polacy świętują zwycięstwo nad wojskami ukraińskimi, które wycofały się w nocy z miasta, w powietrzu już wisi nienawiść. Zło.

W czasie zakończonych niedawno walk mniejszość żydowska, nieustannie zagrożona represjami zarówno ze strony polskiej, jak i ukraińskiej, ogłosiła na wszelki wypadek neutralność w tej bitwie.

To wystarczyło, aby karmiona od lat antysemicką, endecką propagandą ludność polska ochoczo zaczęła kolportować stugębną plotkę o rzekomym zaangażowaniu Żydów po stronie ukraińskiej. Zaczyna się wszystko o ósmej rano 22 listopada, na rogu Rynku i Szewskiej, od rozbicia granatem żaluzji w drzwiach sklepu jubilerskiego. To sygnał do ataku na Żydów. Wyłamywanie bram kamienic, mordowanie mieszkańców na oczach dzieci i żon. Podpalenie synagogi. Zbezczeszczenie świętych ksiąg. I rabunek, rabunek, rabunek.

Całe trzy dni.

Dzieje się to po wkroczeniu regularnych polskich oddziałów, choć główną siłą sprawczą są miejscowi bojówkarze.

Jest tak strasznie, że kpt. Ludwik de Laveaux, piłsudczyk i dowódca lwowskiej POW, ważny uczestnik walk o Lwów, nerwowo jeździ po mieście, aby skompletować oddział regularnego, niezdemoralizowanego wojska dla – jak to określa – „uśmierzenia tej dziczy”.

Rannych jest kilkuset, a zabitych między 60 a 150.

To jedna z najważniejszych książek ostatnich lat – pokazując historię mało znaną, tłumaczy, skąd zło dzisiaj w tak wielu Polakach. A jeśli dodać do tego niezwykły styl narracji, umiłowanie dramatycznego szczegółu (tu opis umuzykalnionego bandyty w ceratowej kurtce mordującego Żydów wraz z piękną grą na fortepianie), to już jasne jest, że to książka warta nie tylko czasu, ale i nagród wszelakich.

Grzegorz Gauden, *Lwów. Kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918*, Universitas, Kraków.



Joanna Karpowicz
Anubis w porcie (6 lat później), z cyklu *Anubis w podróży*, 81 x 100 cm, akryl na płótnie



Podróżując z Anubisem

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Komiks to dla Joanny Karpowicz film z nieograniczonym budżetem. Wyświetla się on też w jej obrazach, budując ich uniwersalną przestrzeń.

Nie wiadomo, kto i kiedy zrobił to zdjęcie. Na pewno powstało przed wojną. Widać na nim trzy osoby, najprawdopodobniej żydowskie małżeństwo z małą córeczką. Siedzą w łódce, która płynie po rzece. Mężczyzna wiosłuje. Ale nie jest rozluźniony, uszczęśliwiony niedzielną wycieczką. Joanna Karpowicz chciała przenieść na płótno portret tej rodziny. Jednak im dłużej przypatrywała się fotografii, odczuwała coraz większy niepokój. Zastanawiała ją twarz mężczyzny, przez którą przebiegał dziwny skurcz. Jakby przeczuwał, że wojna, która nadciągnie, zniszczy kruchą egzystencję jego bliskich. Malarka odnosiła wrażenie, że człowiek ten przewozi swoją rodzinę na drugą stronę życia, niczym mityczny Anubis, egipski bóg o twarzy szakala. Domalowała mu więc czarne, stojące uszy. I się uspokoiła.

Od tego czasu Anubis zaczął pojawiać się na obrazach Joanny. Przysiadła na nich przy kawiarnianym stoliku w jednej z chorwackich miejscowości czy przed pralnią w New Jersey City. Chowa się przed deszczem na ulicy Nowego Jorku i za drzwiami sklepu z kapeluszami, przed którym stoi kobieta w czerni, wpatrując się w czerwone nakrycie głowy. – Może jest ona w żałobie i tęskni za kimś, kogo przypomina jej ten kapelusz? Może był zupełnie inny powód, że przystanęła, a schowany za drzwiami Anubis zwrócił na nią uwagę. Chciałabym, żeby ludzie patrząc na moje obrazy, tworzyli własne historie – mówi Joanna, nie kryjąc, że najbardziej w twórczości interesuje ją granica pomiędzy światem żywych i martwych, granica pomiędzy hooperowskim światłem, symbolizującym bezpieczeństwo, i cieniem, jaki roztacza się na zewnątrz.

– Anubis pojawił się w mojej sztuce wraz ze śmiercią taty i dziadków. Potrzebowałam czegoś, co wypełni poczucie straty, pustki – dodaje Joanna, która od dziecka skazana była na życie sztuką. Jej tatą był profesor Akademii Sztuk Pięknych Sławomir Karpowicz. Mama Anna też jest malarką, podobnie jak siostra Katarzyna. Na dodatek całe dzieciństwo spędziła w tak magicznym miejscu, jak pracownia Olgi Boznańskiej, gdzie tworzyli jej rodzice i gdzie z siostrą podkrały im farby, by malować swoje pierwsze obrazy. – Kiedy oglądałyśmy wystawę dzieł Olgi Boznańskiej w Muzeum Narodowym, nie mogłyśmy wyjść ze zdziwienia, dostrzegając na jej płótnach choćby widok z naszej kuchni – śmieje się malarka.

Jako nastolatka Joanna przechodziła fascynację komiksem. Nie mogła oderwać się od historii obrazkowych Papcio Chmiela i rysowanych opowieści o Gastonie, które przywiózł jej tato z Francji. Dlatego już w liceum plastycznym zaczęła tworzyć komiksy i nie zaprzestała tego robić, gdy znalazła się na Wydziale Malarstwa ASP. – Prof. Leszek Misiak rozumiał moje zainteresowania. Ale już w pracowni rysunku miałam kłopoty, chciano, żebym trzymała się obowiązujących kanonów.

Ona jednak została przy swoim nawet wtedy, kiedy trafiła do agencji reklamowej. Nie chciała żyć tak jak jej rodzice, szukała stabilizacji, pracy w określonych godzinach, przynoszącej dochód. Lecz po 12 latach zrozumiała, że dłużej tak nie może, nie da się poświęcić życia na coś, co ją kompletnie nie interesuje. – I wtedy uratował mnie komiks. Mogłam sprzedawać odłożone do szuflady, oryginalne planse i poczułam, że jestem wreszcie sobą – opowiada.

Najpierw były powstające jeszcze na studiach komiksy, takie między innymi jak *Szminka* do tekstu Jakuba Szylaka i *Jutro będzie futro*, a później dwie części *Anastazji* tworzonej z Magdaleną Lankosz. Teraz przymierza się do rysunków ilustrujących scenariusz Mateusza Wiśniewskiego o przedwojennych środowiskach spirytystycznych i komiksu tworzonego z amerykańską artystką Amy Chu, dotyczącego uchodźców, których symbolizować będą koty.

Bo świat malarstwa i komiksu przenika się wzajemnie w twórczości Joanny. – Rysowanie komiksu to jak robienie filmu o nieograniczonym budżecie. Podobnie jest z malarstwem, tylko że w obrazach buduje się bardziej uniwersalną przestrzeń – mówi artystka, która na razie nie zamierza porzucać Anubisa. Będzie się pojawiał na jej obrazach aż do czasu, kiedy poczuje, że powinien już definitywnie przepłynąć na drugą stronę życia.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Joanna Karpowicz urodziła się w Krakowie. Jest autorką komiksów realizowanych w technice malarzkiej i figuratywnych obrazów, opierających się na

tradycyjnych technikach, w których niebagatelną rolę odgrywa mocny, soczysty kolor. Jej prace można oglądać m.in. w galerii Artemis i Artkomiks.

**KWESTIO-
NARIUSZ
PROUSTA**
PO KRAKOWSKU

Proust by zapytał, Joanna Karpowicz odpowiada:

O czym w tym momencie marzysz?
O nieśmiertelności.

Jak określiłabyś obecny stan swojego ducha?
Sympatyzuję ze słowami Jeppa Gambardelliego, bohatera filmu *Wielkie piękno*: „Najważniejszą rzeczą, jaką odkryłem, gdy skończyłem 65 lat, jest to, że nie mogę tracić więcej czasu na robienie rzeczy, których nie chcę robić”.

Co jest dla ciebie pełnią szczęścia?
Przekraczanie barier własnych słabości. I proste rzeczy, jak kasza gryczana z kefirem.

Co jest dla ciebie pełnią nieszczęścia?
Weltschmerz. Ale nie ten romantyczny, tylko oparty na faktach. Mamy czym się martwić.

Co jest twoją największą ekstrawagancją?
Przebranie się za elegancką kobietę.

Gdybyś mogła zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?
Chciałabym umieć odpoczywać.

W jakich okolicznościach kłamiesz?
W rzadkich momentach, kiedy grzeczność wygrywa ze szczerością.

Jaki inny talent najbardziej chciałabyś mieć?
Pociąga mnie gra na jakimś małym gabarytowym instrumencie.

Co cię pobudza?
Gniew. Sukces. Cukier.

Co cię przygasza, hamuje?
Kłopoty ze zdrowiem.

Przesąd, któremu się poddajesz choćby żartem.
Żaden. Przesady są dla przesądnych.

Najprzyjemniejsze smaki dzieciństwa?
Placek z powidłami babci Stasi. Rosół mojej mamy.

Miejsca z czasów młodości, o których nigdy nie zapomnisz?
Szczepieszyn i Miejski Szpital Specjalistyczny im. dr Anki.

Gdybyś po śmierci miała odrodzić się jako zwierzę, jak sądzisz, kim ono by było?
Orłem z głową niedźwiedzia.

Jeśli niebo istnieje, co chciałabyś usłyszeć, docierając do jego bram?
Obawiam się, że usłyszałabym *Heaven Talking Heads*. Cała prawda o niebie.

Jeśli piekło istnieje, kogo byś tam chciała spotkać?
Grono dobrych znajomych, mam nadzieję.



Elegance is an attitude

Simon Baker
Simon Baker

LONGINES®



STRONJNY

ZEGARMISTRZ
SŁAWKOWSKA 11

www.e-zegarki.com
www.longines.com

Conquest V.H.P.



... książki poleca Krzysztof Burnetko

Aż trzy tytuły ogłosił w mijającym roku Jerzy Pilch, zaprzeczając tym samym dobitnie – jak sam by pewnie z właściwą sobie autoironią napisał – szerzonym przez zawistników pogłoskom, że jako pisarz to on się już skończył.

Na dodatek owe trzy tytuły prezentują Pilcha we wszystkich właściwych dla niego formach.

Pierwszą jest dziennik. Tym razem – bo jest to już trzecia partia takich zapisków – obejmuje okres od maja 2017 do lipca 2018. Od poprzednich dwóch tomów różni się tym, że składa się z tekstów niepublikowanych na bieżąco w prasie, lecz pisanych, by tak rzec, w ukryciu i być może potem jeszcze doszlifowywanych. Efekt jest przedni – prócz charakterystycznych dla Autora opowieści rodzinnych dostajemy też komentarze do rozmaitych ówczesnych – różnej wagi i rozmaitej natury – wydarzeń. Utrzymane czasem w felietonowej niemalże, więc dowcipnej manierze, lecz zawsze równocześnie głębokie i dowodzące znajomości życia oraz ludzi. Znamienne skądinąd, że w ostatnim zdaniu *Trzeciego dziennika* Pilch nazywa własną starość – a więc i miesiące objęte tymi właśnie notatkami – najświetniejszym czasem, jaki był mu dany.

Formą drugą są klasyczne już felietony – i to pochodzące głównie z bodaj najlepszego pod tym względem dla Pilcha etapu, czyli pracy w „Tygodniku Powszechnym”. Jak zauważa Marian Stala, „etap krakowski wciąż pozostaje najdłuższym (i najwyraźniej zróżnicowanym) fragmentem artystyczno-egzystencjalnych doświadczeń” Pilcha, który „pewnym, bogatym, natychmiast rozpoznawalnym głosem zaczął mówić w niezwykle ważnym momencie historycznym i w równie niezwykłym miejscu”. Tym momentem była „ostatnia dekada poprzedniego wieku (będąca,

co istotniejsze, pierwszą dekadą odzyskanej wolności)”, a miejscem – środowisko „Tygodnika” właśnie.

Gdy dodać do tego zakres poruszanych tematów – od samego „Tygodnika”, wówczas nader ważnego pisma w kraju, przez portrety istotnych dla jego kręgu, a więc i Polski, ludzi, po życie literackie przełomu wieków – ranga wyboru stanie się oczywista.

Mnie szczególnie zaś bliskie jest takie zdanie: „Kasiu, jak Wolka, to mnie nie ma, jak Kaspusta, to jestem! – ryczy wychylony ze swej kanciapy kędzierzawy Dziki o pałającym spojrzeniu”.

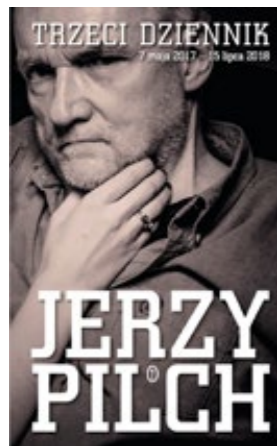
Wreszcie forma trzecia, czyli klasyczna proza. *Żółte światło* to dziewięć opowiadań, najczęściej mocno autobiograficznych, a w każdym przypadku do bólu egzystencjalnych. I znowu dowodzących bezlitosnej znajomości życia i ludzi.

I ta charakterystyczna fraza! Dla zachęty zacytujmy taki choćby fragment: „Ja byłem za stary, ona była za młoda. W naszym słynącym z wielowiekowej tolerancji kraju to wystarczający powód, żeby pozbawić nas obywatelstwa i przegnać, gdzie raki zimują. Ach, niezniszczalna nadzieja na męczeństwo! Ja folgowałem starczym popędem i wprawnie uwodziłem, ona, choć dzieckiem już nie była, naiwnie wierzyła w moje szyto grubo zaloty – tyle w naszym słynącym z Konstytucji 3 maja kraju wystarcza, żeby skazać i zabić”.

Jerzy Pilch, *Trzeci dziennik*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

Jerzy Pilch, *Widok z mojego boksu*, Znak, Kraków 2019.

Jerzy Pilch, *Żółte światło*, Wielka Litera, Warszawa 2019.



Edward Hartwig, *bez tytułu*, l. 60. XX w., materiały Muzeum Historii Fotografii

Fotograficzne obrazy Hartwiga

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Był czas, że nazywano go „mglarzem”. Może dlatego, że Edward Hartwig wychodził z aparatem na łów wczesnym rankiem, kiedy słońce jeszcze nie zdążyło wstać. Dzięki temu powstawały nastrojowe, tajemnicze zdjęcia, niepokojące w swojej treści i formie.

Niektóre z nich, takie jak słynne fotografie wierzb, możemy oglądać na wystawie poświęconej artyście, którą otwarto w Muzeum Historii Fotografii.

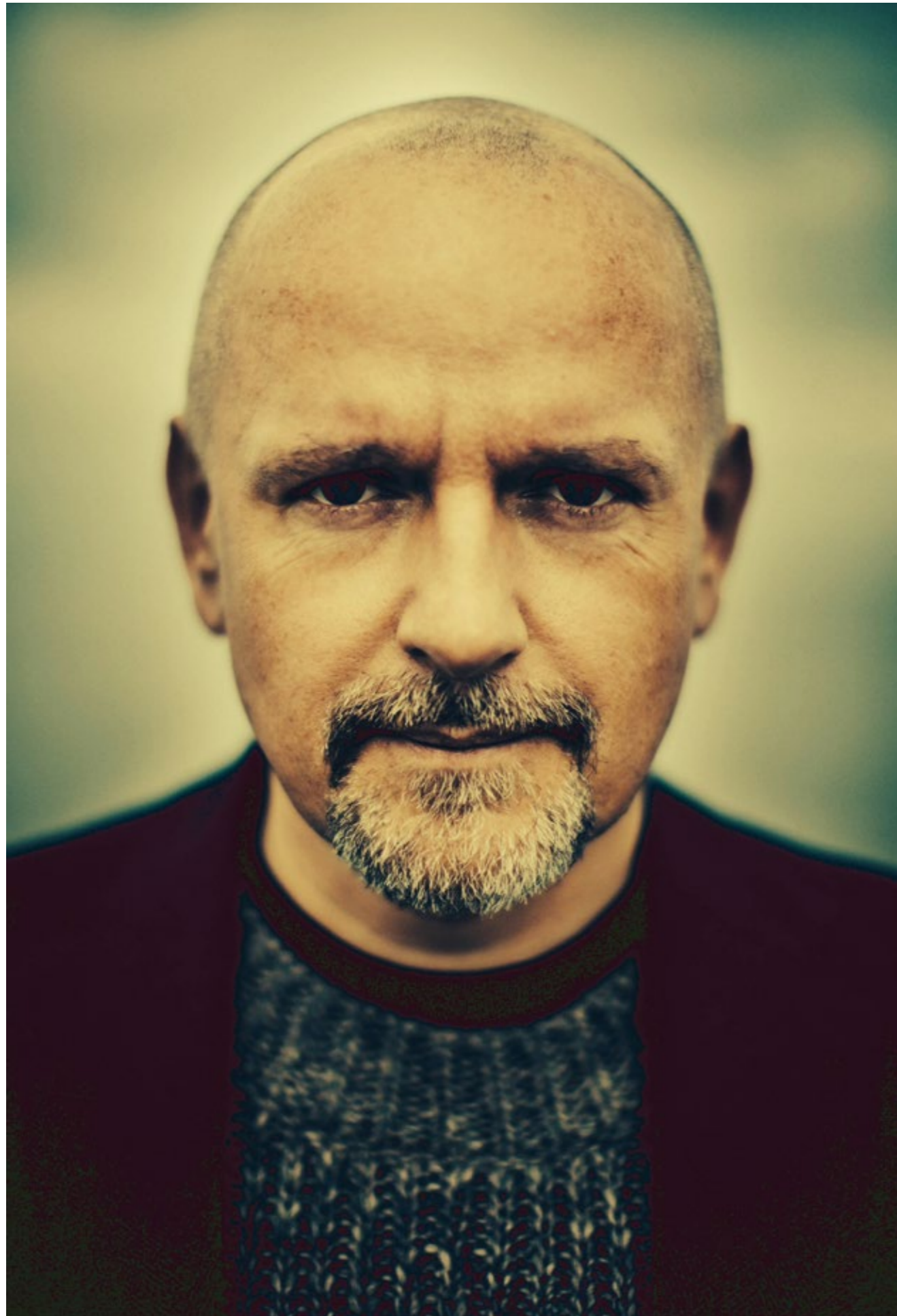
– Nie chcieliśmy się jednak skupiać tylko na tych znanych i lubianych wierszach. Zależało nam, by pokazać Edwarda Hartwiga jako artystę eksperymentatora. Dlatego prezentowane zdjęcia pochodzą z różnych okresów jego twórczości, sprzed wojny, jak i z lat 60. oraz 70. Jest tu też kilka prac, które powstały tuż przed śmiercią fotografa – mówi kurator ekspozycji dr Marika Kuźmicz.

Krakowska prezentacja twórczości Edwarda Hartwiga nawiązuje do projektu wystawy pokazywanej w warszawskiej Zachęcie w 1971 roku. Podobnie jak tam, poszczególne odbitki będą układać się w kompozycje, tworząc pewnego rodzaju instalację. Taki sposób myślenia był bliski artyście, ponieważ patrzył on na zdjęcia, jak i na tworzone z nich kompozycje, niczym na niezależne byty plastyczne. Próbował przy tym wyjść poza schematycz-

ne fotografowanie odwzorowujące rzeczywistość i przekazujące określone treści. Jednym słowem, fotografia nie była dla niego dokumentem, ale raczej obrazem fotograficznym.

Interesowała go przede wszystkim jej strona formalna. Dlatego przez lata zawzięcie eksperymentował, łącząc na przykład elementy graficzne z realistycznymi, abstrakcję kompozycji z dokumentalną funkcją fotografii, stosował też przetworzenia i multiplikacje. Eksperymentował z aparatem w ręku, komponując poszczególne kadry, ale także w ciemni, przy obróbce odbitek. Klatki poddawał najrozmaitszym zabiegom, prześwietlając ich fragmenty czy nakładając filtry własnego pomysłu. – Na wystawie przekonamy się o tym, jak Edward Hartwig bardzo współcześnie myślał o fotografii – twierdzi dr Kuźmicz.

Ekspozycję możemy oglądać do 20 stycznia 2020 roku w Strzelnicy, oddziale Muzeum Historii Fotografii przy ul. Królowej Jadwigi. Towarzyszy jej publikacja *Edward Hartwig*, wydana przez fundację imienia artysty.



W jazzie nie ma granic

(Jazz Juniors, 27–30 listopada)

Rozmawiał Mateusz Borkowski Zdjęcia: Ignacy Matuszewski (portret), Andrzej Banaś (koncert Pierończyk, Avishai Cohen, Jeff Tain Watts)

Adam Pierończyk: Dobrą muzykę porównuję do rozmowy, ale można też ją porównać do dobrej kuchni. Najlepszym dowodem na to, że ktoś coś dobrego nam ugotował, jest to, że ta osoba siedzi z nami przy stole i sama chętnie je to, co dla nas przygotowała.

Mateusz Borkowski: Od jakiegoś czasu Kraków jest dla Pana nowym domem...

Adam Pierończyk: Oprócz tego, że dużo jeżdżę i koncertuję, to rzeczywiście pomieszkuję tu już od wielu lat. W kontekście jazzu w Krakowie zawsze najważniejszy był dla mnie Janusz Muniak, z którym się przyjaźniłem. Jego klub i właśnie jego osoba były dla mnie takim magnesem, jeśli chodzi o jazz. Jeszcze za jego życia mówiłem kolegom, że jak Munia (tak na niego mówiliśmy) zabraknie, to nie pozostanie po nim dziura, ale krater. Tak się trochę stało, niestety. Co do samego miasta, Kraków przyciągał mnie zawsze swoją atmosferą, architekturą. To jedyne tej wielkości miasto w Polsce, które, jak wiemy, nie zostało zbombardowane podczas II wojny światowej. I właśnie ta oryginalna, historyczna zabudowa bardzo pozytywnie wpływa na samopoczucie człowieka. **W tym roku objął Pan dyрекcję artystyczną Festiwalu Jazz Juniors. Zachęcałby Pan młodych muzyków do udziału w konkursach?**

Nie chciałbym zachęcać ani też odradzać. Zawsze uważałem, że to indywidualna decyzja. Ja sam nie nadaję się do konkursów i nigdy nie brałem w czymś takim udziału. Jeżeli ktoś uważa, że to jest dobra dla niego rzecz i startuje po to, żeby się pokazać, a w zależności od konkursu również może wygrać pieniądze, które zainwestuje w swoją działalność, na przykład nagrania płytowe, to myślę, że jest to dobra okazja, którą można wykorzystać. Jeśli jednak ktoś uważa, że stawanie do konkursów nie ma sensu, to też taką decyzję szanuję. Z założenia w każdym konkursie, zwłaszcza artystycznym, jest coś niesprawiedliwego, zwłaszcza w sytuacji, kiedy muzyków grających na świetnym poziomie jest wielu, a trzeba wybrać spośród nich na przykład tylko trzy osoby czy zespoły. Siłą rzeczy ci pominięci mogą być nieusatysfakcjonowani tym, że nie dostali się na podium. Co do Jazz Juniors, to zarazem festiwal i konkurs. Jako dyrektor artystyczny jestem tak naprawdę kuratorem programu festiwalu, dlatego właśnie

na rozwijaniu tej części festiwalowej najbardziej mi zależy. Za część konkursową odpowiada Tomek Handzlik, który jest dyrektorem całego wydarzenia. **Ma Pan doświadczenia w kierowaniu festiwalami w Maroku i Sopocie. Jestem ciekaw, w jakim kierunku chce Pan poprowadzić Jazz Juniors, czy będzie Pan prezentować młode, nieodkryte jeszcze zespoły?**

W kontekście części festiwalowej nazwa może być trochę myląca, bo oczywiście nie będą to tylko młode zespoły. Jak przy każdym festiwalu, który prowadziłem, będę chciał dołożyć swoją cegiełkę i do Jazz Juniors. Tak było, kiedy przez dwa lata kierowałem festiwalami Jazz aux Oudayas i Jazz Au Chellah w Rabacie w Maroku i później, kiedy przez pięć lat budowałem markę festiwalu Sopot Jazz (2011–2015). Tak naprawdę moja koncepcja na festiwal jazzowy jest bardzo prosta. Polega ona na tym, by przedstawić publiczności artystów na bardzo wysokim poziomie. Żyjemy w takich czasach, kiedy równocześnie popularni są muzycy, którzy są naprawdę znakomici, posiadają doskonały warsztat i mają artystycznie coś do powiedzenia, z drugiej zaś strony jesteśmy otoczeni sporą grupą wypromowanych tak zwanych „produktów”. Nie mam nic przeciwko sprowadzaniu gwiazd do Krakowa, ale nie znaczy to, że nie będę chciał przedstawiać publiczności zespołów, które nie zawsze mają szansę tutaj dotrzeć. Są offowe w sensie komercyjnym, ale za to bardzo ciekawe.

Obecnie o wiele więcej młodych ludzi trafia na studia jazzowe. Czy to dobry kierunek?

Sam również jestem absolwentem studiów jazzowych na Akademii Muzycznej w Essen, gdzie studiowałem cztery lata. Wszystko zależy od danego człowieka, jego osobowości i tego, co dla niego oznacza muzyka i bycie artystą. Od początku mojej przygody z muzyką myślałem naiwnie, że wszyscy, którzy zajmują się graniem na instrumencie w sposób profesjonalny, w dodatku zajmując się muzyką tak wymagającą, głęboką i tak nieograniczoną co do możli-

Adam Pierończyk (ur. 1970 w Elblągu) – saksofonista jazzowy. Absolwent Akademii Muzycznej w Essen. Dwukrotny laureat nagrody Fryderyka, 18-krotnie nominowany do tej nagrody. Komponuje muzykę do spektakli teatralnych, współpracował m.in. z takimi muzykami jak Sam Rivers, Gary Thomas, Greg Osby, Bobby McFerrin, Trilok Gurtu, Tomasz Stańko, Ted Curson, Avishai Cohen, Joe Martin, Jean-Paul Bourelly, Joey Calderazzo, Leszek Możdżer.



wości, jaką jest muzyka jazzowa czy improwizowana, w pełni poświęcają się temu, co robią. Dobrze się określa specyfikę tej muzyki po angielsku: *Sky is the limit*, gdyż brak w niej ograniczeń. Tak naprawdę, jeżeli komuś pozwala zdrowie, można w wieku 80 czy 90 lat ćwiczyć i rozwijać się na instrumencie, w jazzie nie ma po prostu granic.

Warto studiować jazz?

Studiowanie muzyki jazzowej na akademii muzycznej może być bardzo pomocne i stanowić szansę na rozwój. Takie studia są w pewnym sensie fabryką nowych muzyków, ale to nie znaczy, że fabryką artystów. Jeżeli ktoś sam nie będzie miał w sobie duszy artysty, to samo studiowanie nic mu w tym względzie nie pomoże. Jest wielu muzyków jazzowych, którzy studiowali w Berklee College of Music w Bostonie, najsłynniejszej szkole jazzowej na świecie, i nie zawsze oznacza to, że taką artystyczną duszę posiadają. Tak naprawdę w muzyce improwi-

zowanej najważniejszym dyplomem jest to, że ktoś zdoła się przebić, zostanie zauważony i doceniony przez kompetentnych kolegów, którzy będą zabiegać o to, żeby z tym kimś współpracować. Traktowałem swoje studia muzyczne jako taki spokojny, dodatkowy czas, który dostałem na ćwiczenie. Studiując, cały czas oczywiście koncertowałem i koncertowałem się na prowadzeniu własnych zespołów, co jest moim zdaniem najlepszym warsztatem. Wszystko zależy więc od tego, jak dany student wykorzysta otrzymany czas i możliwości.

Jazz Juniors skupia się na odkrywaniu i prezentowaniu zespołów. W graniu w zespole najważniejsza jest współpraca. Z kim współpracę najbardziej Pan wspomina na swojej drodze artystycznej? Wspomnił Pan Janusza Muniaka...

Janusz Muniak był dla mnie bardziej kolegą, który mi imponował, muzykiem ze starszej generacji, którego znałem z płyt, tak jak Tomka Stańkę czy Janusza

Stefańskiego. Z nimi trzema zresztą miałem całkiem inny rodzaj zażyłej relacji. Z Januszem Muniakiem na scenie staliśmy razem zaledwie parę razy i były to przypadkowe okazje, była to relacja bardziej towarzyska. Z kolei z Tomkiem Stańką miałem przyjemność wiele razy pograć i uczestniczyć w różnych jego projektach, podobnie z Januszem Stefańskim. Każde spotkanie z drugim artystą jest ważne i pozostawia po sobie ślad, tak samo jak ważna książka, sztuka teatralna czy film.

Miał Pan jakąś listę artystów, z którymi chciał wystąpić?

Nie miałem takiej osobistej listy muzycznych marzeń. Bardzo się cieszę, że mogłem spotkać na swojej drodze Tomka Stańkę. Cenię go nie tylko za to, że był świetnym trębaczem, ale za to, że zawsze starał się być sobie wierny i takim pozostał do samego końca. Bardzo nam wszystkim go brakuje. Uważam, że przy całym tym nieszczęściu, szczęśliwie się stało, że do samego końca udało mu się grać, ponieważ długo nic nie wiedział o swojej ciężkiej chorobie. Do samego końca był artystą – koncertował, podróżował po świecie i nagrywał płyty. To zawsze w nim podziwiałem. Ważne było też młodzieńcze spotkanie z Leszkiem Możdżerem, kiedy byliśmy jeszcze takimi młodymi kotami. Leszek zaprosił mnie do swojego sekstetu, nagraliśmy płytę, później stworzyliśmy duet, który funkcjonował dość intensywnie, zjeździliśmy sporą część świata, dając razem kilkaset koncertów. Potem zdarzały się różne inne współprace, między innymi z Garym Thomasem, moim idolem przez wiele lat, z którym nagraliśmy dwie płyty. Jednak tej listy marzeń szczerze mówiąc nigdy nie miałem. Zawsze zależało mi po prostu na graniu z muzykami prezentującymi wysoki poziom, z prawdziwymi artystami, którzy potrafią stworzyć jakąś metafizyczną atmosferę, również na scenie.

Czego możemy się spodziewać po tegorocznym festiwalu?

Na pewno słuchacze mogą spodziewać się bardzo dobrych muzyków. Nawet jeżeli wielu z nich nie będą kojarzyć, to zależy mi na tym, żeby poznali tę muzykę. Uważam, że przedstawianie publiczności w kółko tych samych ogranych nazwisk jest zachowaniem niezbyt *fair*. To tak jakbyśmy chodzili do ulubionej restauracji, w której serwowano by nam ciągle naleśniki z serem, których po tygodniu nie chcielibyśmy już jeść. Tak niestety funkcjonuje wiele festiwali, które żonglują listą znanych artystów tylko po to, by zadbać o stronę komercyjną, czyli o dobrą sprzedaż biletów, a strona artystyczna schodzi na drugi plan. Chciałbym więc ukłonić się krakowskiej publiczności, proponując coś nowego, i przekonać słuchaczy, że nie tylko to, co jest wypromowane, jest jedyne, dobre i warte posłuchania. A zapewniam, że w naszych czasach jest wielu artystów, którzy jeszcze do nas nie dotarli, bo nie mieli takiej okazji.

Jakich artystów usłyszymy?

Wystąpią przedstawiciele sceny nowojorskiej, polskiej i brytyjskiej. Z Nowego Jorku będzie Will Vinson, moim zdaniem jeden z najciekawszych saksofonistów altowych na świecie. Usłyszymy go w kwartecie między innymi z pianistą Piotrem Wyłożem. Wystąpi Soweto Kinch z Wielkiej Brytanii,

czarnoskóry raper i saksofonista altowy, który jest dla mnie zjawiskiem od wielu już lat. Nie znam tak dobrego rapera, który tak świetnie grałby na saksofonie i tak dobrego saksofonisty, który tak dobrze by rapował. Do tego jest intelektualistą i aktywistą, udziela się na wielu polach. Kraków odwiedzi wybitny niemiecki trębacz Markus Stockhausen, dość mocno związany z wytwórnią ECM. To syn słynnego ojca – Karlheinz Stockhausena, wybitnego kompozytora XX wieku. Co ciekawe, jako młody chłopak, już wirtuoz trąbki klasycznej, Markus wziął udział w dużej liczbie nagrań swojego ojca. Na festiwalu zaprezentuje projekt pod nazwą *Intuitive Music Orchestra*, w premierowym, zaproponowanym przeze mnie składzie. Będzie to jego koncepcja na „dyrygowaną” improwizację. A *propos* sceny nowojorskiej będzie również Mark Turner w duecie z Ethanem Iversonem, artysta mający duży wpływ na dzisiejszą scenę improwizowaną. Bardzo ciekawa postać i jeden z najczęściej kopiowanych saksofonistów tenorowych. Usłyszymy duet młodego krakowskiego gitarzysty Szymona Miki, który wystąpi z Yumi Ito, szwajcarską wokalistką o polsko-japońskich korzeniach. Nowoczesnym akcentem będzie projekt utrzymany między improwizacją, jazzem a elektroniką, który zaprezentuje młody perkusista Gniewomir Tomczyk. Na ostatni, bardziej akustyczny dzień udało mi się ściągnąć holenderskiego wiolonczelistę Ernsta Reijsegera, wybitnego improwizatora, od lat wykonującego muzykę do filmów słynnego niemieckiego reżysera Wernera Herzoga, którego dzieła fascynują mnie od dziecka.

W finałowym koncercie usłyszymy również Pana...

Po raz pierwszy w życiu złamię swoją zasadę. Polegała ona na tym, że w kontekście pełnienia funkcji dyrektora artystycznego danego festiwalu pielegnowałem postawę, aby samemu nigdy nie wychodzić na scenę, chyba że formuła danego festiwalu będzie z góry zakładać udział dyrektora w tymże festiwalu. No i w Krakowie właśnie tak się stało, taka była od początku prośba organizatorów, aby dyrektor artystyczny był równocześnie tak zwanym rezydującym artystą, czyli przygotowywał coś premierowego co roku. Ogromnie się cieszę, że zagram w tym roku z gigantem kontrabas Mirosławem Vitousem, którego nazwisko należy do z najważniejszych w historii jazzu. Występujemy w duecie już prawie pięć lat i równocześnie z Festiwalem Jazz Juniors ukaże się nasza trzecia płyta, tym razem koncertowa, będąca rejestracją naszego koncertu w NOSPR w Katowicach.



Mateusz Borkowski – muzykolog, krytyk, publicysta muzyczny i pedagog. Absolwent Instytutu Muzykologii UJ. Współpracownik „Ruchu Muzycznego” i Radia Kraków. Autor wywiadu rzeki z Michałem Znanieckim *Złota klatka* (PWN 2017). Za książkę *Organy na krańcach świata – rozmowy z Markiem Stefańskim* (Petrus 2019) nagrodzony Krakowską Książką Miesiąca.

Grudzień 1919 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 grudnia.** „Odnosząc do notatki »Plaga wróżbitów« zamieszczonej w kronice »Nowej Reformy« z 24 listopada, proszę na podstawie par. 19 ustawy prasowej o zamieszczenie następującego sprostowania: Nie jest prawdą jakoby podpisany Jan Banaś, mieszkający przy ul. Felicjanek 7, był karany sądownie z powodu uprawiania w sposób karygodny chiromancji, natomiast jest prawdą, że podpisany nigdy sądownie karany nie był, w szczególności w odnośnym postępowaniu przed sądem okręgowym w Krakowie został od winy i kary w zupełności uwolniony. Z poważaniem Jan Banaś”.

✂ **2 grudnia.** „W nocy z soboty na niedzielę w wesołym przybytku przy ul. Wawrzyńca, w czasie sprzeczki z jedną z dziewcząt Leon Grzegorzewski, 33-letni cukiernik z Warszawy, otrzymał z tyłu cios nożem przeszywający mu klatkę piersiową, a zadany przez jakiegoś przyjaciela wesołej córy Koryntu. Rannego, po opatrzeniu przez pogotowie, przewieziono do szpitala. Kiedyż doczekamy się zapowiadanych zamknięcia podejrzanych domów, w myśl rozporządzeń wydanych przez władze warszawskie?” – pytał retorycznie reporter „IKC”.

Chodzi tu o jeden z czterech działających jeszcze wówczas w Krakowie domów nierządu, przy ul. Wawrzyńca 30.

✂ **2 grudnia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj po południu do Adama Książka, 14-letniego ucznia mieszkającego przy ul. Księcia Józefa 85, przybyli dwaj koledzy i zabrawszy go do ogrodu, pokazywali mu świeżo nabyty browning. Na nieszczęście broń była nabita i przy manipulowaniu padł strzał, a kula po przejściu przez rękę jednego z chłopców, ugodziła Książka w pierś, przebijając aortę. Nieszczęśliwy chłopiec padł trupem na miejscu”.

✂ **3 grudnia.** „Podczas niedzielnego popołudniowego przedstawienia w Teatrze Żydowskim przy ul. Bocheńskiej na Kazimierzu wtargnęła na salę grupa inwalidów żydów, z głośnym żądaniem, że im inwalidom należy się koncesja na ten teatr. Zaczęli demolować urządzenia sali i okradać publiczność z zegarków, papierosnic itp. Dopiero wzmocniony patrol policji uspokoił zgraję i kilku aresztował” – relacjonował reporter „Czasu”.

✂ **3 grudnia.** „Magistrat przypomina, że wozy ciężarowe bez względu na to, czy są załadowane czy nie, mają w obrębie miasta jechać tylko stępa (powoli); szybkość jazdy samochodów ma wynosić najwyżej 6 km na godzinę.

Niestosujący się do powyższych przepisów będą surowo karani” – przestrzegali „IKC”.

Te 6 km/h to nie pomyłka, choć już wówczas nie brakowało aut osiągających 80–100 km/h. Dopiero mocą Rozporządzenia Ministra Robót Publicznych z lipca 1922 roku podniesiono prędkość dla aut osobowych w terenie zabudowanym do 25 km/h (dla aut ciężarowych 15 km/h).

✂ **3 grudnia.** Komunikat z „Nowej Reformy”: „Dyrekcja Skarbu we Lwowie donosi: Na wypadek, gdyby z chwilowego braku koron wypłata poborów służbowych oraz pensji i zaopatrzeń za grudzień br. musiała nastąpić w markach polskich, należności te będą wypłacane wedle relacji 100 koron = 62 marki, 75 fenigów”.

✂ **5 grudnia.** Dzienniki donosiły o aresztowaniu właścicieli czterech kawiarni za zawyżanie cen, zamykanie lokali przed wyznaczoną godziną policyjną oraz podburzanie do strajku kawiarzy. Represje dotknęły: Fryderyka Bańskiego (kawiarnia Secesja u zbiegu ulic Wiślniej i św. Anny), Bolesława Górskiego (kawiarnia Centralna przy ul. Dunajewskiego 1), Leona Piątkowskiego (Grota Fantastyczna przy ul. Floriańskiej 24) i Romana Madejskiego (Jama Michalika).

✂ **7 grudnia.** Z działu ogłoszeń „IKC”: „Poszukuje się kapeli damskiej złożonej z czterech pań. Pisemne zgłoszenia do biura dzienników Blochowej, ul. św. Gertrudy 23”.

✂ **12 grudnia.** „W sobotę odbyło się posiedzenie Komisji administracyjnej pod przewodnictwem wiceprezydenta miasta Sarego. Komisja rozpatrywała szkice na powiększenie gmachu administracji akcyzy przy ul. Kopernika, przez dobudowę skrzydła od ul. Zyblikiewicza, w którym mają się znaleźć pomieszczenie biura nowych przedsiębiorstw miejskich, magazyny oraz mieszkania funkcjonariuszy akcyzowych” – relacjonował reporter „Nowej Reformy”.

Gmach akcyzy stanął przy ul. Kolejowej (dziś Westerplatte), pomiędzy ulicami Kopernika i Zyblikiewicza, w 1898 roku. Rozebrano go w 1958 roku, aby zrobić miejsce pod Dom Turysty (dziś Hotel Wyspiański).

✂ **14 grudnia.** „Ministerstwo Zdrowia Publicznego odbywa obecnie konferencję celem zwalczania chorób wenerycznych. W projekcie przygotowywanej ustawy ma się znaleźć postanowienie, że przed ślubem kandydaci będą musieli składać świadectwo lekarskie, iż są wolni od chorób wenerycznych. Postanowienie to na razie do kobiet się nie odnosi. Inne postanowienie wprowadza przymus le-



JEDYNA TAKA KSIĘGARNIA W KRAKOWIE

Ponad 70 wydarzeń literackich w ciągu roku
Kilkaset ważnych tytułów

Kraków, ul. Paulińska 28
(wysokie I piętro)
od poniedziałku do soboty
od 17.00 do 22.00

#mamyidee
#przyjdźposiedzieć

patronite.pl/ogniwo | fb/ogniwokrakow | ogniwo.org



Rozległy, choć jednopiętrowy gmach mieszczący biura akcyzy stał w latach 1898–1958 pomiędzy ulicami Kopernika i Zyblikiewicza. Po likwidacji sieci akcyzy (1936), pełnił funkcje mieszkalne. Fot., NAC, 1928



Szczególna celebra przy zakupie świątecznego drzewka trwa mimo upływu lat. W tle, po prawej, nieistniejący odwach przy wieży Ratusza. Fot., NAC, 1934

czenia się na choroby weneryczne” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✂ **16 grudnia.** Z kroniki „IKC”: „Zbiórka na budowę przytuliska dla przyjezdnych i miejscowych biednych Żydów odbędzie się we wtorek 16 bm. wyłącznie na ulicach i placach położonych w dzielnicach Stradom i Kazimierz”.

✂ **16 grudnia.** „Głos Narodu” alarmował: „Donoszą nam, że w nocy panuje w mieście ogromny brak straży policyjnej. Na przykład między ul. Grodzką a mostem Podgórskim, od godz. 12 w nocy do 3 nad ranem nie spotka się ani jednego policjanta, natomiast kręca się tam często gromady apaszów i podejrzanych indywiduów. Rzecz prosta, że w tym stanie rzeczy w dzielnicach tonących w ciemnościach i zdanych na łaskę losu, ustawicznie powtarzają się włamania i kradzieże oraz napady na ludzi pracujących w nocy i zmuszonych o późnej godzinie wracać do domu”.

✂ **18 grudnia.** „Uniemożliwienie rozmów telefonicznych doprowadza do tego, że w najważniejszych momentach politycznych Kraków jest pozbawiony zupełnie informacji z Warszawy. Ponieważ od kilku tygodni redakcje krakowskie nie mogą uzyskać połączeń z Warszawą, postaraliśmy się zbadać powody. Okazało się, że linie zajęte są przeważnie przez prywatne rozmowy osób wojskowych, które prowadzone są na rachunek skarbu państwa. W tej sprawie zapowiedziany był w ubiegłym tygodniu ostry rozkaz ze sztabu generalnego z Warszawy. Do dziś jednak rozkaz ten nie nadszedł i dzięki tej opieszałości nienormalne stosunki trwają dalej” – pisał „Głos Narodu”.

✂ **23 grudnia.** Z kroniki „IKC”: „W dniu wczorajszym przybył do Krakowa na stały pobyt nowo mianowany konsul rządu węgierskiego Arpad Guillaume”.

✂ **24 grudnia.** „Wobec dostatecznej liczby herbaciarni miejskich i kuchni ludowych, w których ludność mniej zamożna może ogrzać się i otrzymać gorącą herbatę i posiłek po bardzo umiarkowanych cenach, uchwalono zaniechać w bieżącej porze zimowej urządzania ogrzewań publicznych, a także z braku węgla zaniechać zakładania ognisk w miejscach publicznych” – zapowiadał „IKC”.

✂ **24 grudnia.** Jak pisał „Czas”: „W sobotę wieczorem we własnym mieszkaniu przy ul. Grabowskiego 4 odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru skierowanego w serce Ada Bayer-Zawiejska, artystka dramatyczna Teatru Bagatela. Powodem samobójstwa był rozstrój nerwowy”.

✂ **24 grudnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Podczas wczorajszych zakupów drzewek na Rynku Głównym, wobec wygórowanych żądań za odniesienie ze strony kręcących się przy drzewkach wyrostków, publiczność jęła się samopomocy. Wszyscy prawie z kupujących, czy to elegancka panna, czy mężczyźni ze sfer inteligencji, brali sami drzewka i nie-

śli do domów. Najlepszy to sposób na wyzyskiwaczy”.

✂ **25 grudnia.** „Czas” przedrukował komunikat magistratu: „Począwszy od 1 stycznia zakazuje się przemysłowego wyrobu i sprzedaży artykułów cukierniczych wszelkiego rodzaju, jak ciast deserowych, francuskich i drożdżowych, ciastek, tortów, mazurków itp. Pozostaje dozwolona jedynie sprzedaż w cukierniach, kawiarniach, restauracjach i jadalniach bułek słodkich”.

Ministerstwo Zdrowia Publicznego odbywa obecnie konferencje celem zwalczania chorób wenerycznych. W projekcie przygotowywanej ustawy ma się znaleźć postanowienie, że przed ślubem kandydaci będą musieli składać świadectwo lekarskie, iż są wolni od chorób wenerycznych.

✂ **25 grudnia.** Z działu ogłoszeń „IKC”: „Ordinatorium sexuologicum – poradnia dra S. Kurkiewicza w Krakowie, ul. Batorego 20. Mężczyzn płciowo osłabłych uzdolniamy do małżeńskiego pożycia metodą wypróbowaną, okresową i energicznie opanowującą”.

✂ **31 grudnia.** „Wczoraj rano wyjechał dyr. gazowni miejskiej p. Seifert do Cieszyna w sprawie poczynienia zabiegów o dostateczne zaopatrzenie gazowni w węgiel. O ile by starania jego nie odniosły skutku, dyrektora gazowni będzie zmuszona 1 lub 2 stycznia zamknąć dopływ gazu do miasta, dla oświetlenia i dla zakładów przemysłowych” – odnotował „Czas”.

✂ **31 grudnia.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Wieczorek sylwestrowy urządza Kongregacja Aniołów Stróżów w lokalu sodalicyjnym przy Rynku Głównym 44 II p. Początek o godz. 4 po południu. Zarząd kongregacji zaprasza wszystkie sodalacje, składka dowolna. Czysty dochód na wykupno kościoła św. Agnieszki.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Architekt od Słowackiego

Tekst: Ewa Danowska

Jan Zawiejski to najbardziej znany krakowski architekt przełomu XIX i XX wieku, kojarzony przede wszystkim z gmachem Teatru Miejskiego, obecnie im. Juliusza Słowackiego. Jego spuścizna to kilkaset zrealizowanych i pozostałych na papierze projektów w Krakowie i innych miastach Galicji.

Protoplastą rodu był Marcin Feintuch, właściciel firmy spedycyjnej i kantoru wymiany walut, mieszkający przy ul. Stradom 27. Feintuchowie byli jedną z najznaczniejszych i najbogatszych rodzin na Kazimierzu, a przyjęcie chrztu w ewangelickim kościele św. Marcina, w 1846 roku, korzystnie wpłynęło na ich interesy.

Synowie Marcina po latach odrzucili rodowe nazwisko. Leon August zmienił je w 1882 roku na Zawiejski, decyzję motywując głębokim przywiązaniem do polskości, a jego brat Stanisław od 1894 roku nazwał się Szarski.

Jan Baptysta Feintuch, późniejszy Zawiejski, urodził się w Krakowie w 1854 roku przy ul. Wiślniej jako syn właściciela mieszczącego się przy Rynku Głównym 14 sklepu „Najnowszych towarów galanteryjnych i norymberskich”.

Mając 10 lat, Jan został uczniem Gimnazjum św. Anny w Krakowie, uczęszczając do jednej klasy z Władysławem Ekielskim, późniejszym znanym architektem, swoim wielkim konkurentem. Po zdaniu matury, jesienią 1872 roku rozpoczął studia na Politechnice Monachijskiej jako słuchacz wydziału inżynierii. Jednak po niespełna dwóch latach, mimo dobrych wyników, opuścił Monachium, podejmując studia architektoniczne w c.k. Politechnicznej Szkole w Wiedniu. Po otrzymaniu dyplomu w lipcu 1878 roku odbywał podróże, praktykując u renomowanych architektów. W tym czasie ożenił się ze starszą o trzy lata Małgorzatą Massman Niesen z bogatej rodziny pochodzącej z Lubeki.

Jan podjął pracę w atelier znakomitego architekta, barona Heinricha von Ferstela w Wiedniu, pod jego kierunkiem wykonując pierwsze projekty.

Na polskie ziemie wrócił pod koniec 1884 roku, rozpoczynając samodzielną działalność w zawodzie architekta. Karierę rozpoczął od sukcesu, jakim było wygranie, wspólnie z Julianem Niedzielskim, konkursu na budowę Domu Zdrowego w Krynicy. Pracował również we Lwowie, gdzie poza drobnymi prywatnymi zamówieniami wykonał fasadę Pałacu Sprawiedliwości. Był też autorem zwycięskiego projektu siedziby Galicyjskiej Kasy Oszczędności.

Dzięki wyróżnieniu w konkursie na projekt schroniska dla chłopców fundacji im. ks. Aleksandra Lubomirskiego w Krakowie zaprezentował swój talent w rodzinnym mieście.

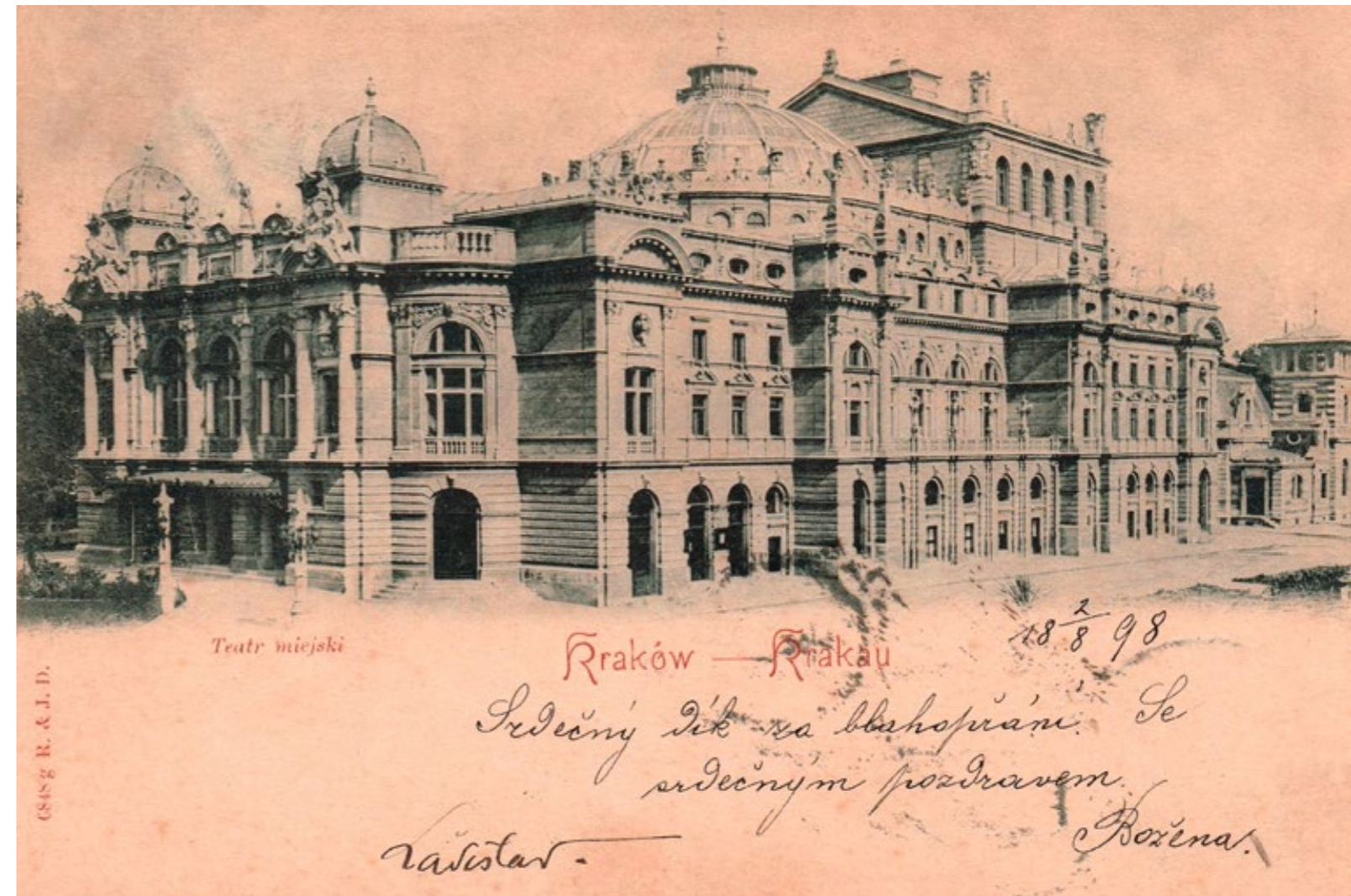
Powstający w latach 1891–1893 Teatr Miejski w Krakowie był jego najpoważniejszym dziełem. W 1886 roku radny Walery Rzewuski wystąpił z koncepcją wyburzenia dawnych zabudowań klasztoru, kościoła i zespołu szpitalnego Duchaków i wzniesienia na tym miejscu gmachu teatru miejskiego, wobec której to inicjatywy gorąco protestował Jan Matejko. Do rozpisanego konkursu stanęli architekci z całej Europy. Nieoczekiwanie wygrał – ku zazdrości starszych i o większej renomie kolegów – trzydziestosiedmioletni wówczas Jan Zawiejski. Oponenci utrzymywali, że jest za młody, zbyt niedoświadczony, no a przy tym... Feintuch!

Zawiejski prace kamienniarzkie, rzeźbiarskie i dekoratorskie zlecał liczным artystom i rzemieślnikom, przede wszystkim krakowskim, ale i zamiejscowym, stwarzając okazję do godziwego zarobku. Prace malarskie wykonywał przeważnie wiedeńczyk Anton Tuch, a sztukatorskie Adolf Putz z Warszawy, z czego wywiązali się znakomicie.

Budowa przebiegała sprawnie, mimo to krążyły plotki o wadliwych fundamentach i grożącej teatrowi katastrofie budowlanej, co martwiło i irytowało Zawiejskiego. Jeden z pamiętnikarzy odnotował sytuację, jak pewien przyjezdny podążając z walizeczką od strony dworca, dopytywał Zawiejskiego, czy to prawda, że tu się wali. Otrzymał odpowiedź, że owszem, wali się, ale w mordę!

Gmach teatru, którego pierwowzorem była opera paryska, zaprojektował Zawiejski jako eklektyczną budowlę z elementami neorenesansowymi. Na frontonie ozdobionej alegorycznymi figurami fasady wryto napis „Kraków narodowej sztuce”, przypominając, że teatr powstał dzięki publicznym składkom. Słowa te stały się okazją do żartów, bowiem krakowianie mawiali: „Feintuchy, Tuchy i Puce polskiej, narodowej sztuce”.

Doświadczenie w prowadzeniu tak poważnej budowy zdecydowało o powierzeniu mu stanowiska profesora c.k. Wyższej Szkoły



Zaprojektowany przez Jana Zawiejskiego Teatr Miejski (w 1909 roku, z okazji setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego, nazwany imieniem wieszczka), widokówka 1898

Przemysłowej w Krakowie, którą to funkcję objął w 1890 roku. Po pięciu latach z niej zrezygnował, z bliżej nieokreślonych przyczyn, zapewne rodzinnych, udając się do Wiednia, potem północnych Niemiec.

W czerwcu 1900 roku Rada Miasta Krakowa mianowała go stałym budowniczym miejskim, na jego prośbę dodając mu tytuł „architekta miejskiego”. Funkcja ta pełniona przez niego do 1914 roku nakładała pewne ograniczenia w realizacji własnych projektów, między innymi bez pozwolenia rady

nie mógł przyjmować zleceń od prywatnych inwestorów. Taki był wymóg formalny, pilnowany przez krakowskich architektów, walczących o rynek zamówień. Zawiejski uczestniczył jednakże w licznych konkursach architektonicznych.

Opracował bardzo oryginalną koncepcję Pałacu Wodnego, który to projekt zaprezentował na Wystawie Światowej w Paryżu w 1900 roku. Główną ideą było wykorzystanie jako elementu architektonicznego spadającej kaskadą wody.



W Paryżu opatentował swój pomysł i wykonał kosztorys. Zdobył znaczący rozgłos i sławę.

W trakcie swej działalności w Krakowie był autorem licznych budynków szkolnych, między innymi przy Rynku Kleparskim 18, przy ul. Topolowej 20/22, czy Szlak 5-7. Na rogu ul. Kapucyńskiej i Straszewskiego wzniósł w latach 1904-1906 reprezentacyjny gmach Szkoły Handlowej, potem budynek Szkoły Przemysłowej Żeńskiej przy ul. Syrokomli.

Ponadto zaprojektował trzypiętrowy gmach przy ul. Wąskiej (róg św. Wawrzyńca 14), tuż obok, na sąsiedniej parceli (ul. Wąska 3/5) wzniósł bliźniaczą budowlę, a oba te budynki służą do tej pory celom edukacyjnym.

Warto zwrócić uwagę na inną jego pracę – projekt secesyjnej restauracji dla Romana Drobnera, popularnego „Drobnerionu” przy Plantach. Spośród budowli jego autorstwa można wymienić elegancką kamienicę czynszową dla rodziny Turnauów przy ul. Siemradzkiego 2, i ul. Łobzowskiej 28. Wykonał

też projekt pałacyku miejskiego dla Juliusza Judkiewicza, obecnie przy ul. Westerplatte 9. W latach 1911-1913 Zawiejski wzniósł na zlecenie Mojżesza Leiba Ohrensteina wielki „Dom Ohrensteina” u zbiegu ulic Stradom i Józefa Dietla, na placu pozostałym po wyburzeniu domu należącego ongiś do działka Zawiejskiego – Marcina Feintucha. Była to wówczas największa kamienica czynszowa w Krakowie.

W latach 1909-1910 wybudował własną kamienicę na rogu ul. Biskupiej i Łobzowskiej „Jasny Dom”, zaprojektowaną z rozmachem i elegancją. Wzbudzała zachwyt, a zamówienia na projekty napływały szeroko.

W 1911 roku na zlecenie gminy ewangelickiej zaprojektował dom przy ul. Grodzkiej 58, a w kolejnych latach – budynek Zakładu Sanitarnego przy ul. Prądnickiej (obecnie szpital im. Jana Pawła II). Podjął się też konserwacji budynków probostwa kościoła św. Krzyża, przywracając im dawny, średniowieczny wygląd. Na zlecenie Rady Miejskiej kierował przebudową pałacu Wielopolskich, który jest obecnie siedzibą krakowskiego magistratu.

W sierpniu 1913 roku zmarła żona Zawiejskiego, Małgorzata, a jedyna ich córka Wanda wyszła za mąż i opuściła Kraków. Wybudowany z pietyzmem „Jasny Dom” opustoszał. Podczas wojny, mimo konieczności ewakuacji ludności cywilnej, Zawiejski prawdopodobnie został w Krakowie, pracując w magistracie. Powojenne ubogie lata nie sprzyjały zamawianiu architektonicznych projektów i budowlanemu ożywieniu, chociaż Zawiejski nadal pracował, biorąc udział w konkursach, a niektóre jego koncepcje zrealizowano, na przykład w Warszawie.

W okresie powojennym zaszły zmiany w jego życiu prywatnym, bowiem w sierpniu 1920 roku, mając 66 lat, ożenił się ponownie, z nauczycielką Anną Krauze, zmieniając wyznanie na rzymskokatolickie.

W Krakowie znana była jego postać, nie tylko z racji architektonicznych osiągnięć. Stanisław Broniewski we wspomnieniach *Kraków wczorajszy w anegdocie* zanotował, że Zawiejski przeważnie był widywany w czarnym żakiecie, spodniach „pepita” i białych getrach. W kłapie miał białą tuberozę, nosił kanarkowe rękawiczki, czarną laskę zakończoną kościaną gałką i cylinder, spod którego widać było jego duży nos i zawiesziste wąsy. Był doskonałym gawędziarzem oraz twórcą licznych kalamburów i anegdot, również o sobie. Opowiadał między innymi, że niegdyś na Plantach pewna dama pozdrowiła go, używając nazwiska Feintuch, na co odparł, iż nie nazywa się Feintuch, tylko Zawiejski, ale to nie dzięki temu, że się ożenił, ale że tak mu dano na bierzmowaniu. Znane było też jego powiedzenie, powtarzane podczas spotkań towarzyskich, że herbata ma być jak kobieta: gorąca, wonna, w miarę słodka i nie powinna za dużo naciągać.

Zawiejski, już jako znany architekt, wydał własnym kosztem pod pseudonimem van Drobnersholm poemat *Moja architektura od-rodzenia*, w którym opisał kobiece ciało za pomocą terminologii budowlanej.

Zawiejski spotykał się z przyjaciółmi, do których zaliczał się też inny oryginał, adwokat dr Klemens Bąkowski, przy stałym stole w restauracji Wenzla na Rynku. W 1905 roku panowie hucznie obchodzili pięćdziesięciolecie pracy architektonicznej Zawiejskiego, nieco przyspieszając ten termin przypadający na rok 1928. Znany architekt przy różnych okazjach tworzył dowcipne rymowanki, własnym kosztem wydał pod pseudonimem van Drobnersholm poemat *Moja architektura od-rodzenia*, opisujący kobiece ciało za pomocą terminologii budowlanej. Inne swoje prace rymowane, ujawniające miłość do Krakowa, wydał pod pseudonimem „Architektus Transruranus”.

Pracował mimo licznych dolegliwości powodowanych chorobą. Do końca nie opuszczała go pogoda ducha, gdyż przyjaciel karcił za smutne miny, twierdząc, że gdyby im powiedział, że zamiast raka w żołądku ma żabę, to wszyscy by się śmiali.

Zmarł 12 września 1922 roku. Kraków uczcił go uroczystą ceremonią pogrzebową, w której uczestniczył tłum żałobników z prezydentem miasta Janem Kantym Fedorowiczem na czele. Kondukt pogrzebowy udający się na cmentarz Rakowicki wyruszył z „Jasnego Domu”, przystając na chwilę przy Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Jan Zawiejski spoczął w grobowcu rodzinnym własnego projektu.

Profesor Jacek Purchla uznał go za jedną z najwybitniejszych indywidualności europejskiego formatu w historii architektury przełomu XIX i XX wieku. W porównaniu z działającymi wówczas krakowskimi architektami, jego twórczość odznacza się różnorodnością oraz nadaniem budynkom indywidualnej formy i cech malowniczości. Działał w epoce późnego historyzmu (polegającemu na naśladownictwie stylistyki minionych epok), secesji i modernizmu, podążał też za zmianami w sztuce. Zaprojektowane przez niego budynki wpisały się na stałe w pejzaż miasta.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Pomarańczowa marynarka

Tekst: Paweł Głowacki

Czwartek

Pamiętam. Śmieszna marynarka w ciemną kratkę, zapięta pod szyję biała koszula, spodnie kuse, czarne i takiej barwy buty za kostki, i do tego miękkie, smoliste kapelusz, wciśnięty na czoło. Pamiętam? Tak? Nie, nie pamiętam tego starego widoku. Jak uczył ociemniały klasyk – mam jedynie słowa, którymi ostatni raz przypomniałem sobie stary widok, nie mając cienia pewności, że nie oszukuję, nie zwodzę. I mam garść nowych słów, co dziś zabrzącały przy słowach ostatniego przypomnienia. Śmieszna marynarka jest już oto pomarańczowa i lśnią na niej groteskowo ogromne, wypukłe guziki, jak te przy fałtaszkach cyrkowych klaunów, koszula zaś to lita prząsność rustykalna, len najsurowszy. Buty są potwornie zmęczone, ot, dwa trupki, pomarszczone i spękane, okraszzone białymi sznurówkami. Kapelusz zyskał szykowną karmazynową wstążkę, a gdyby tak dmuchnąć pod falujące rondo – twarz właściciela kapelusza sypnęłaby mąką. Owszem, jest bardziej detalicznie niż w ostatnim przypomnieniu. Dzięki świeżym słowom nowego przypomnienia stary widok stał się wyraźniejszy. Tak. Lecz skąd brać spokój, że i one

Gdyby go zapytano, ile jest dwa plus dwa, a on odpowiedziałby, że cztery – świat byłby przez miesiąc oszołomiony tą rewelacją! Tak, często, a właściwie zawsze bywa, że świeży Nobel staje się prologiem kuriozalnej groteski.

nie zwodzą? Dlaczego „śmieszna pomarańczowa marynarka” miałaby prawdziwsza być od „marynarki” tylko „śmiesznej”? A reszta cząstek widoku?

Piątek

Ja – Kaspar? Ja w czwartek – nim byłem przez chwilę? To dość zabawne jest, śmieszne, ale i nieuchronne, dotkliwie nieuchronne, że Peter Handke dostaje Literacką Nagrodę Nobla – a ja w czwartek staję się na chwilę tytułowym bohaterem jego najdotkliwszej opowieści te-

atralnej. Próbuje słowami wrócić do *Kaspara*, seansu w roku 1987, wyreżyserowanego przez Andreasa Wirtha na Scenie Kameralnej Starego Teatru – przez pół godziny zgadzam się na bycie igraszką dla słów, treningowym manekinem gramatyki, zwierzęciem tresowanym przez przymiotniki, rzeczowniki i czasowniki, zgadzam się na to, bo inaczej nie będzie przypomnienia, nie zdarzy się powrót starego spektaklu. W czwartek tedy jestem jak Kaspar, u Handkego szkolony sunącymi z głośników zdaniami Podpowiadaczy, którzy może wcale nie są ludźmi, lecz językiem samym, nieogarnionym, lodowatym, bezwzględny. Jestem jak Krzysztof Globisz, który 32 lata temu grał u Wirtha Kaspara, był tą niemotą idealną, doskonałą ciszą, albo doskonałą samotnością, którą cywilizacja bez litości uczy cywilizacji, czyli mówienia, bez czego nie ma pamięci, ale też pewności, że słowa nie zwodzą, nie kłamią... Za daleko idę?

Niedziela

Zostawmy lingwistykę, semantykę, semiotykę oraz inne filozofie języka. To za daleko. Aby jako tako ogarnąć *Kaspara* Handkego, a także jeszcze dwie fundamentalne jego partytury sceniczne – *Publiczność zwymyślana*, która igra z iluzją teatru klasycznego, oraz *Godzinę*, w której nie wiedzieliśmy nic o sobie nawzajem, gdzie nie wyrzmięwa na scenie ani jedna litera, gdyż cała opowieść jest w istocie wieloma opowieściami, które snują widzowie (każdy sobie opowieść własną), patrząc na wędrujące przez scenę obrazy – aby tercet ten ogarnąć, trzeba by zacząć, dajmy na to, od językowych przepaści Wittgensteina, a skończyć, na przykład, na gramatycznych labiryntach Chomsky'ego. Zostawmy ten ocean. To za dużo, a i nie do końca konieczne, gdyż opowieści Handkego są sztuką – sprawiają ból. Zostawiają dotkliwe ślady na żyłach. Nie dają tanich pocieszeń. Choćby tego starego pocieszenia iluzji, która uczy tłumaczyć sensy sztuki wszelkiej – rzeczywistością za oknem, a nie tylko sobą.

Wtorek

„Nie gap się na boki!” – z grubsza tak karci widza Handke. „Nie rozglądaj się! Nie łyp pod nogi, szukając tam wytłumaczenia scenicznych krajobrazów! Nie pocieszaj się trywial-

nymi analogiami, sklejającymi widok z okna twojej kuchni z widokiem na proscenium! Wymaż z pamięci twą ulicę – ta tutaj jest tylko i wyłącznie tutaj, w teatrze, nie poza teatrem! Nie mieszaj tej jawnie sztucznej gry z realnymi gierkami świata, nie mieszaj, bo zgubisz się! Jak już jesteś tu – bądź tu, nie gdzie indziej! Tu, w teatrze nie ma okien, a drzwi małe i szczelnie zamknięte! Jedynym stąd wyjściem są słowa, które słyszysz ze sceny, albo twoje, w twojej głowie przez ciebie snute na kanwie tych, które słyszysz, albo na kanwie widoków, które się przez scenę przesuwają! To wszystko! Nie ma nic więcej!”... Przypomina się teraz stara, piękna bezsilność Samuela Becketta: „Cóż pan chcesz? Słowa to jest wszystko, co mamy”.

Środa

Ta lekcja Handkego cierpki finał znalazła chwilę po Noblu. Tłumy dziennikarzy przed jego domem, prasowe samochody, anteny satelitarne, mikrofony, słuchawki, stado filmowych kamer – i z tego lasu setki pytań wystrzeliwuje. Milion słów, którymi Podpowiadacze katowali Kaspara, milion słów o wszystkim – od polityki, po socjologię, od wyborów, po loty na Marsa, od futbolu, po sytuację społeczną w Austrii, tudzież na Bałkanach. Milion słów po prostu od Sasa do Lasa, ale ani jedno słowo nie dotyczy napisanych słów Handkego. Ani me, ani be, ani kukuryku o jego sztuce, jego opowieściach dotkliwych, sprawiających chłodny ból. Przecież gdyby go zapytano, ile jest dwa plus dwa, a on odpowiedziałby, że cztery – świat byłby przez miesiąc oszołomiony tą rewelacją! Tak, często, a właściwie zawsze bywa, że świeży Nobel staje się prologiem kuriozalnej groteski. Dlatego Handke zmilczał wszystkie zagajenia. Rzekł tylko: „Jestem pisarzem, wywodzę się z Tołstoja, z Homera, z Cervantesa. Zostawcie mnie w spokoju”. Odwrócił się i zniknął za drzwiami swego domu. Dobrze wiedział, że nie będzie spokoju.

Piątek

Im dalej z tresurą języka, im Kaspar lepiej mówi, tym dotkliwszą ma pewność, że już nigdy nie będzie spokoju takiego, jak wtedy, gdy zjawił się tutaj pierwszy raz, jedną frazę bełkocząc niby ciemną mantrę: „Chciałbym zostać takim, jakim był kiedyś ktoś inny”. Handke dopowiada w didaskaliach: „Wymawia zdanie w sposób słyszalny, nie mając pojęcia o zdaniu, nie wyraża nic ponad to, że jeszcze o zdaniu nie ma pojęcia”. Pojmie zdanie, kiedy nauczy się mówić, lecz wtedy będzie za późno. Kaspar, już w czarnym eleganckim garniturze, będzie już jak wszyscy, wytresowany. Będzie jak każdy z tych pięciu osobników w czarnych eleganckich garniturach i z maskami twarzy Globisza na swych twarzach, którzy w epilogu seansu Wirtha stanęli wokół Globisza, już eleganckiego, już bezbłędnie

elokwentnego. O ile tylko słowa „garnitur”, „elegancja” i „maska” nie zwiódły mnie teraz, jak być może zwiódły mnie wcześniej inne słowa wspomnień.

Globisz od lat, dzień po dniu, odgrywa sobie cierpliwie pierwsze takty *Kaspara*, ten ciemny, pełen mozołu początek, kiedy słowa zrodzone w głowie gubią się uparcie na ścieżkach wiodących do strun głosowych, a dalej – w stronę ust.

Niedziela

Słowa przychodzą, jakie przychodzą, niech więc tamta marynarka Kaspara będzie dziś pomarańczowa. I reszta też – wedle słów. Wpada więc pomarańczowy Globisz na scenę, która jest tylko sceną, nie lustrem dla świata. On – zdumienie. Zaraz powie, nie wiedząc, że mówi: „Chciałbym zostać takim, jakim był kiedyś ktoś inny”. Zaraz zacznie się jego bezwolne znikanie w słowach. Zaraz Globisz – w roku 1987 zaledwie trzydziestoletni – rozkręci swą najdotkliwszą rolę, może największą. Rozkręci kwaśną bajkę o powolnym traceniu siebie w ulu języka, o nieuchronnym przejściu od „Kaspara” do „K”, które znaczyć może „Ty”, „On”, „Ona” lub „Oni”, lecz najmniej – „Ja”.

Handke rzekł tylko: „Jestem pisarzem, wywodzę się z Tołstoja, z Homera, z Cervantesa. Zostawcie mnie w spokoju”.

Poniedziałek

Wiele, wiele lat później, po zagranu może stu pamiętnych ról, w książce *Notatki o skubaniu roli* Globisz wyzna: „Na pewno chciałbym wrócić do jednej roli. Do Kaspara”. I powie jeszcze jakoś tak: „W niej się mieszczę”. U Wirtha zagrał – Los. To czas przeszły dokonany? Globisz od lat, dzień po dniu, odgrywa sobie cierpliwie pierwsze takty *Kaspara*, ten ciemny, pełen mozołu początek, kiedy słowa zrodzone w głowie gubią się uparcie na ścieżkach wiodących do strun głosowych, a dalej – w stronę ust. Taki kilim uprzedły Parki. Taki zdumiewający suplement starej opowieści Handkego.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



... książki poleca Anna Woźniakowska

Muzyka zwana poważną (złe, bo to odstrasza) lub klasyczną (też niedobrze, bo klasycyzm to pewien styl w sztuce) nie jest dla wybranych. Zajmujący się nią ludzie także są tacy jak wszyscy. Może tylko trochę więcej słyszą, ale i z nimi można się zaprzyjaźnić. Trzeba tylko się nie bać.

Oswajaniem dzieci z muzyką i muzykami zajmuje się „Małe PWM”, czyli serie książeczek przeznaczonych dla dzieci różnych przedziałów wiekowych, od najmłodszych po nastolatki.

W serii *Gama i pasażerowie* młodzi czytelnicy poznają wybitnych polskich muzyków, między innymi skrzypaczkę Wandę Wiłkomirską, dyrygentkę Agnieszkę Duczmal, kompozytora Pawła Mykiety, dyrygenta Jerzego Maksymiuka. Najnowsza pozycja z tej serii nosi tytuł *Najdzielniejszy z dziadków*. To aluzja do tytułu dziecięcej opery napisanej przed laty przez Krzysztofa Pendereckiego. *Najdzielniejszym z rycerzy* był strach na wróble walczący w obronie kwiatów na łące.



Bohaterem książeczki Kalina Cyz jest mały Krzys, który opowiada o sobie i swojej rodzinie, w której pierwsze skrzypce gra dziadek. Ale co to znaczy „grać pierwsze skrzypce” i skąd się wzięło takie określenie? Dziadek Krzysia pochodzi z Dębicy, w której urodził się także Krzysztof Penderecki, ba, chodził z przyszłym kompozytorem do jednej klasy i pamięta jego dziadka opiekującego się wnukiem.

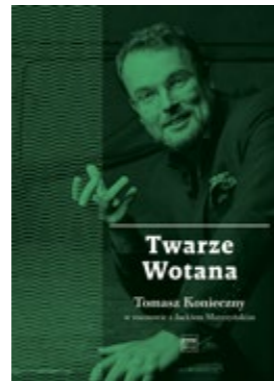
Na kartach książeczki zabawnie i kolorowo ilustrowanej przez Jagodę Charkiewicz losy małego Krzysia, jego dziadka i wielkiego kompozytora dziwnie się splatają i w końcu nie bardzo wiemy, o kim właściwie jest ta opowieść. A przy okazji dowiadujemy co nieco o sadzeniu drzew i o malowaniu obrazów oboma rękami naraz, o tym że C-dur jest wesołe, a bemol obniża dźwięk (lub nastrój), co to jest klaster, a co to gama. Jeśli czegoś nie zrozumiemy, możemy zajrzeć do załączonego słowniczka. Możemy też przeczytać krótki życiorys Krzysztofa Pendereckiego. A gdy w pogodny wieczór spojrzymy w niebo, możemy poszukać planetoidy 21059. W 2019 roku numer zmieniono na „Penderecki”.

Kalina Cyz, *Najdzielniejszy z dziadków*, PWM, Kraków, 2019.

Wstęp do książki napisała Krystyna Janda, bo to ona w pewien sposób nazaczyła Tomasz Koniecznego, angażując przed laty studenta łódzkiej Filmówki do roli Tristana w przygotowywanym dla Teatru Telewizji spektaklu Ernesta Brylla. Czy mogła przypuszczać, że młody aktor, który „miał siłę, niezależność, talent i obezwładniający wygląd, biła od niego łuna”, będzie w przyszłości kreował mroczne postaci z dramatów muzycznych Wagnera? Że zabiegać o niego będą wszystkie wielkie sceny operowe świata z nowojorską Metropolitan i festiwalem w Bayreuth na czele? Że w 2019 roku uhonorowany zostanie tytułem Österreichischer Kammersänger, czyli najważniejszym w niemieckojęzycznym środowisku operowym odznaczeniem zawodowym? Kiedy on sam, absolwent klasy fizycznej łódzkiego liceum, który studia aktorskie podjął tylko dlatego, że był za młody, by studiować interesującą go reżyserię, zrozumiał, że jego światem jest śpiew?

Nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego ukazała się rozmowa, jaką z Tomaszem Koniecznym przeprowadził Jacek Marczyński, krytyk i publicysta muzyczny zajmujący się operą. Podobnych rozmów wydano wiele, ta jednak wyróżnia się wśród nich, choć dotyczy tej samej tematyki: drogi życiowej artysty i jego pracy nad poszczególnymi rolami. Rzecz w tym, że Tomasz Konieczny ma dużo do powiedzenia, bo jest artystą bardzo świadomym swoich poczynań. Fizyka i matematyka nauczyły go logicznego myślenia i przenikliwości, aktorstwo dało warsztat sceniczny, wrodzony zmysł analityczny pozwala mu wciąż odkrywać w kreowanych postaciach coś nowego, pogłębić, nadać im inne niż dotąd rysy. A że Jacek Marczyński umie słuchoać i zadawać pytania, książkę czyta się z prawdziwym zainteresowaniem. Poznajemy nie tylko wybitnego artystę, ale i ciepłego, rodzinnego człowieka, który swoim trzem synom wpaja zasadę: jak coś robicie, doprowadźcie to do końca. A przecież sam nie zwięźczył dyplomem swoich wokalnych studiów ani w Warszawie, ani w Dreźnie. Weryfikują go sceniczne sukcesy.

Twarze Wotana. Tomasz Konieczny w rozmowie z Jackiem Marczyńskim, PWM, Kraków, 2019.



... książki poleca Magdalena Oberc



„Przekrój” Eilego. *Biografia całego tego zamieszania z uwzględnieniem psa Fafika* to nie tyle książka biograficzna, ile raczej portret Krakowa z jego środowiskiem artystycznym, anegdotami z kawiarnianego życia i niezwykle poczytnym periodykiem w tle. Marianowi Eile udało się bowiem stworzyć – w czasach, gdy linia politycznej poprawności była jasno wyznaczona przez władze – pismo opiniotwórcze i na wskroś inteligentne, w którym pojawiały się artykuły o muzyce jazzowej, modzie, kulturze i obyczajowości. W latach 70. ubiegłego wieku „Przekrój” ukazywał się w nakładzie 700 tys. egzemplarzy i był towarem deficytowym! Zjawisko trudne do zrozumienia w czasach fake newsów i portali internetowych, które ścigają się na pierwszeństwo, a nie jakość informacji.



Marian Eile – urodzony we Lwowie warszawiak, tuż po wojnie otrzymał zadanie stworzenia w Krakowie ambitnego tygodnika. Redagował pismo nieprzerwanie do 1969 roku. Miał niezwykłą intuicję i potrafił namówić do współpracy wielu młodych, dobrze zapowiadających się autorów: Tyrmanda, Kerna, Mrożka oraz tych całkiem sławnych jak Gałczyński, Nałkowska, Szaniawski. Eile, który w czasie wojny pracował w teatrze jako scenograf, miał też świetne oko do sztuk plastycznych i fotografii, dlatego dużą wagę przykładął do strony wizualnej pisma. Na okładkach pojawiały się zatem piękne aktorki, a „przekrojowi” graficy Daniel Mróz czy Zbigniew Lengren już zawsze będą kojarzyć się z Profesorem Filutkiem i psem Fafikiem.

W szaroburych czasach komunistycznej nudy „Przekrój” stał się symbolem dobrego smaku, wyrocznią modową i głównym źródłem informacji o sztuce i kulturze. Tomasz Potkaj doskonale uchwycił fenomen pisma i jego pierwszego redaktora naczelnego, który – chociaż w 1945 roku zupełnie nie znał Krakowa – szybko wrósł w to miasto, rozpoczynając flirt z Piwnicą Pod Baranami, teatrem Tadeusza Kantora i środowiskiem wybitnych artystów Akademii Sztuk Pięknych. Drobiazgowo odmalowane realia przenoszą nas niepostrzeżenie i gładko w intrygujący świat pełen sławnych aktorów, pięknych modelek i znakomitych pisarzy, chociaż autor nie pomija też trudnych tematów donosów i kontaktów z SB.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, jak Fafik trafił do „Przekroju”, gdzie odbywały się zakazane koncerty jazzowe, i kim był Jan Kamyczek, koniecznie sięgnijcie po tę książkę! Obowiązkowa lektura zarówno dla tych, którzy pamiętają czasy świetności „Przekroju”, jak i dla młodszych, którzy kochają książki, teatr, marlarstwo i... wyścigi samochodowe.

Tomasz Potkaj, *Przekrój Eilego. Biografia całego tego zamieszania z uwzględnieniem psa Fafika*, Wydawnictwo Mando, Kraków 2019.

Zaczyna się niepozornie. Tak jak niepozorna jest cała ta książeczka: niewielka w rozmiarze, zbudowana z pourywanych myśli, poprutykana czarno-białymi zdjęciami. Jednak Roma Ligocka od uniwersalnych rozważań o życiu i miłości konsekwentnie prowadzi nas ku sprawom ostatecznym: do kwestii odchodzenia. Nie śmierci, ale procesu umierania właśnie. To śmiertelna choroba przyjaciela, życie z wyrokiem śmierci jest epicentrum tej książki. Ligocka subtelnie i obrazowo opisuje ten proces z całym jego fizycznym bólem, rozpaczą i nieuchronnością. Świat widziany z okna szpitala, człowiek, który przestaje być sobą i staje się bezimiennym pacjentem, elementem w systemie ochrony zdrowia. I ta druga, zdrowa osoba, która jest towarzyszem codziennych niepewności, która musi być oparciem i dawać nadzieję. Choroba wszystko zmienia: relacje z przyjaciółmi, postrzeganie samego siebie, planowanie tylko na jeden dzień do przodu. Nie sposób przygotować się na rozstanie. Ani na to, co przychodzi później: samotność.



Bardzo osobista i pełna emocji książka. Roma Ligocka z właściwą sobie wrażliwością pokazuje świat chorego w mikroskali, poprzez pozornie błahe rozmowy i wydarzenia, którym nadaje poetycki wymiar. Jak zawsze szczerza i wnikliwa, buduje z tych maleńkich obrazków pomnik pamięci swego przyjaciela. Robi to subtelnie i przejmująco, ale nie epatuje rozpaczą. Pomimo dominującego nastroju zadumy i smutku, daje nadzieję i może być pocieszeniem dla tych, którzy stracili kogoś bliskiego.

Roma Ligocka, *Jeden dobry dzień*, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 2019.

Profesor zabił poetę?

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Stanisław Stabro: Nie umiem myśleć w taki sposób, żeby się od rzeczywistości oderwać.

Elżbieta Wojnarowska: Co było punktem zwrotnym w Twoim życiu?

Stanisław Stabro: W liceum zacząłem pisać wiersze. Wysłałem te moje płody na konkurs poetycki i zupełnie o tym zapomniałem. Nagle przyszedł list, abym zjawił się na wręcz nie nagród. Okazało się, że dostałem pierwszą nagrodę, co dla chłopca z Makowa Podhalańskiego było czymś nieprawdopodobnym! Kiedy już ochłonąłem i odebrałem gratulacje, pojawiła się Beata Szymańska. Nawiązała ze mną kontakt, który polegał na tym, że co miesiąc przyjeżdżałem do mojej protektorki z nowymi wierszami. Od czasu do czasu dawała mi też jakieś książki do przeczytania, abym mógł swoją wiedzę poszerzyć. Okazała się w moim życiu człowiekiem opatrnościowym. Była drugą osobą po mojej mamie, która tak wpłynęła na moją osobowość.

Czy ten moment stał się początkiem Twojego rozwoju artystycznego?

Można tak powiedzieć, to się wszystko zbiegło ze sobą. Ważne w spotkaniu Beaty było to, że ona widząc, jakie mam predyspozycje, umiała pokierować mną tak, żeby to, co dostrzegła we mnie, rozwinęło się. Ważna też, jak wspominałem, była rola mojej mamy, która w tej prowincjonalnej Polsce potrafiła rozbudzić i podtrzymać moje zainteresowanie literaturą. Żyliśmy skromnie, ale na książki zawsze znalazły się pieniądze. Kolejną taką ważną dla mnie osobą był profesor Kazimierz Wyka. Gdy zdawałem egzamin końcowy na studiach, okazało się, że moją pracę o Baczyńskim będzie recenzował właśnie profesor Wyka. Długo mnie maglował, a potem zaproponował mi pracę na uniwersytecie...

Czy Nowa Fala oraz grupa „Teraz” miały istotny wpływ na Ciebie i Twoją twórczość?

W grupie „Teraz” każdy z nas się różnił od siebie, byliśmy z różnych środowisk. Adam Zagajewski wyszedł przecież z domu inteligentckiego, był to zupełnie inny świat niż mój. Każdy z nas miał też swój własny багаж życiowy i literacki. Nowa Fala była szerszym procesem, szerszym zjawiskiem, nie tylko w Krakowie. Nasza grupa była częścią tego zjawiska. Przynależność do nich dała mi bardzo wiele, była kwestią dalszego dojrzewania. Nikt z nas nie przyszedł tam przecież ostatecznie ukształtowany. Myśmy się tam cały czas uczyli i zdobywali doświadczenie,

nie tylko literackie, także polityczne. A to był trudny czas dla Polski.

Debiutowałeś już jako 19-latek, a za pierwszy tomik otrzymałeś nagrodę. Czy tak wysoko postawiona poprzeczka nie była zbyt dużym wyzwaniem?

Jakoś nie umiałem myśleć w tych kategoriach. Cieszyło mnie to, mobilizowało i niosło. Dzięki temu byłem typem debiutanta, który wierzy w siebie i myśli, że całe życie będzie się składało tylko z takich chwil. Tymczasem potem nie zawsze było tak miło (śmiej).

Właśnie. Pisziesz w jednym z wierszy, że profesor zabił poetę. Dlaczego więc zajmujesz się pracami krytycznoliterackimi? Czy to nie jest trudne – taka dwutorowość myślenia?

Napisałem to, ale raczej ironicznie, nie do końca wierząc w zabicie poety we mnie, przeze mnie – profesora (śmiej). Oczywiście, miałem zawsze świadomość, że jestem „dwujęzyczny”. Musiałem się z tym liczyć, że jeżeli chcę pracować na uczelni, to muszę tej uczelni coś z siebie dać. A z drugiej strony, inną częścią mojej osobowości była poezja, cała ta metaforyczna reszta. Jednak oba te nurty we mnie były przez cały czas ściśle sprzężone. Owszem, czasem więcej czasu poświęcałem poezji, a czasem pracy krytycznej. Na szczęście nie było to dla mnie trudne.

Wiersze z Twojego tomiku *Pożegnanie księcia* można zaliczyć do społecznych, a brzmia niezwykle aktualnie mimo upływu lat, co zwykle w przypadku podobnych wierszy u innych autorów się nie sprawdza. Jak sądzisz, co przesądziło o ich uniwersalizmie?

To był taki gniewny tomik, ale miał związek z moim podejściem do historii. Zawsze usiłowałem znaleźć takie momenty, w których historia, która się dzieła, była czymś więcej niż tylko daną sytuacją, mijającą, i po jakimś czasie nieaktualną. Starałem się znaleźć coś ponad to, co wynikało bezpośrednio z danego zdarzenia. I to jest główny nurt, który przewija się przez całą moją twórczość. Starałem się unikać doraźności, szukać szerszej perspektywy, gdzie wszystko wygląda inaczej. Nauczył mnie tego profesor Wyka. Lubiłem czytać jego książki, bo miał właśnie takie szczególne spojrzenie na historię. Dzięki niemu do dziś szukam czegoś jako punktu wyjścia do rozważań, kontekstów, refleksji.

Marek Hłasko, Krzysztof Kamil Baczyński, Rafał Wojaczek – to szeroki rozrzut, jeśli chodzi twórczość. Czy i co mają ze sobą wspólnego, że pisałeś właśnie o nich?

Baczyński był pierwszą moją fascynacją. Jego poezja bardzo na mnie wpływała i musiałem się pilnować, żeby nie myśleć Baczyńskim. Każdy z tych trzech autorów wszedł do mojego myślenia z trochę innych powodów. Wojaczek – tragedia człowieka, tragedia pokolenia. Podobnie zresztą jak Baczyński, choć trudno tu stawiać znak równości. Wiersze Wojaczka też do mnie przemawiały, bo on się kłócił do pewnego stopnia ze sobą i ze światem. A mnie zawsze interesowały takie osoby, które próbowały odnaleźć w trudnych czasach własną ścieżkę. Jeśli chodzi o Hłaskę, to na początku go nie lubiłem. Wydawał mi się pozerem. Napisałem nawet na jego temat książeczkę, w której nie zostawiłem na nim suchej nitki. Wydawało mi się, że opowiada historię nie do końca prawdziwą. Moje podejście do niego zmieniło się dopiero, gdy okazało się, że Hłasko nie może wrócić do Polski. Zobaczyłem tragedię człowieka, który nagle został osaczony przez życie. Wtedy zacząłem czytać go na nowo. I rozumieć. To się nazywa dojrzałość. Szczególnie zafascynowały mnie jego książki z Izraela. Ja też mam przecież mnóstwo wierszy dotyczących Izraela, nawet te same motywy u nas się przewijają, dlatego jego twórczość stała mi się bliska. **Ale dzisiejsza twórczość, tak poetów, jak prozaików, wydaje się bardziej oderwana od rzeczywistości, od współczesnych nam problemów politycznych czy społecznych. Zauważasz taki trend i jeśli tak, czy uważasz, że to dobry kierunek we współczesnej literaturze?**

Nie umiem myśleć w taki sposób, żeby się od rzeczywistości oderwać. Ale ja jestem, jak mówiłem, z tamtego pokolenia, dla którego historia była czymś bardzo ważnym. Mam wrażenie, że młodzi dziś zbyt często się nad tym nie zastanawiają, uciekają wręcz od wypowiedzenia się jako pokolenie. Nie chcą być żadnym pokoleniem, tylko sami sobą. Jest to chyba wynik tego, że nie przeszli takiej drogi jak my. Widzę to po moich studentach, którzy wartościują zupełnie inaczej. Jest między nami duża przepaść pokoleniowa. Tymczasem nie powinno się uciekać, bo do końca nie da się

uciec, od przemian społeczno-politycznych. Zresztą patrząc na klasykę, przecież właśnie ten trend przetrwał w najznakomitszej formie. Wydaje mi się, że w ludziach młodych jest pewnego rodzaju lęk przed światem. Że są słabsi niż my. Mają też często niestety inne priorytety, wolą kupić ciuch niż książkę, a kiedyś było, przynajmniej w moim przypadku, odwrotnie – zawsze wolałem książki. Pojęcie zła też się ostatnio mocno zdewaluowało. Każdy co innego pod tym pojęciem rozumie, nie ma dziś uniwersum, które byłoby jasne i jednoznaczne dla wszystkich.

Gdybyś zamierzał opisać literaturę polską przełomu XX i XXI wieku, na co zwróciłbyś szczególną uwagę?

Boli mnie ilość przemocy. Także w życiu, a życie to przecież nie literatura czy film... Nie lubię książek, w których nie ma przemian bohaterów, gdy na dnie opisanego zła nie leży nawet iskra piękna. Bo to wszystko prowadzi do jałowości. Brak głębi, myśli, stawiania pytań, wyciągania wniosków zawsze mnie raził, w przeciwieństwie do klasyki, w której opisane problemy są ponadczasowe. Wystarczy porównać *Zbrodnię i karę* z obecnymi „kryminałami” czy niektórymi fabułami kina akcji, a raczej z psychozą w nich zawartą, epatowaniem brutalnością i okrucieństwem, mimo że na końcu wygrywa dobro. Powiedziałbym, żeby jednak sięgać do klasyki, która przynosi ukojenie i przywraca wiarę w człowieka, pokazuje nieprzemijalne wartości w swojej najlepszej odsłonie.



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Stanisław Stabro

Góralskie dzieci

Góralskie dzieci
naznaczone przez świat
piją wódkę na Avenue Kleberg
i na rue Karmelicka
wędrują do Chicago
i do samego piekła
mają wszystkie dziewczęta
lecz nie mają
spokoju.
Bóg z przydrożnej kapliczki
umarł dla nich już dawno
nowy się nie narodził
jest tylko wspomnieniem
organów nad mokrą łąką
z wywyższonego
kościółka.
Góralskie dzieci
wracają ze świata
ani tu ani tam
i tylko we frazie ze skrzypiec
ostrej i obłąkanej
rozpoznają ten znak.

Przepraszam cię że byłem
rewolucyjnym gówniarzem
psem gończym
twojego sprawiedliwego życia
Pałacu Kultury i Nauki
ziem zachodnich
odbudowy
twoja wina
wasza wina
nasza wielka wielka wina.
Teraz moja wina
przywołuje hańbiący obraz
ciebie milczącej i nagle
spokorniałej
oraz kiepskiego Piłata
z wodą z miednicą
z ręcznikiem frazesów
z rewolucyjną czytanką
przed trybunałem
Historii.

To idzie młodość

To idzie młodość
w wysokich czapach plecaków
w chichotach szybkiej miłości
w coitus w kącie
wagonu.
To idzie młodość
Nie wiedząc
Że śpiewa tylko
Starą piosenkę
Na nową nutę.
Michael Jackson z partią
partia z Michaeliem Jacksonem
Madonna est finta.
W glanach skinach
i w MTV
idzie młodość wierząca
że uniknie
przeznaczenia.

Nie będę słuchał wykładów
mówi mi młodzieniec
przed nim długa droga
do złudzeń
i gwiazd
za mną Waterloo
o którym on nie chce słuchać
a ja nie umiem
mu tym
opowiedzieć
mijamy się
dwa konne zaprzęgi
pędzące w odwrotnym
kierunku
młodość
i śmierć.

Zapluty karzeł reakcji

Jerzemu Gizelli

Moje życie
zapluty karzeł reakcji
toczy się jak kula
od lustracji do lustracji
od przełomu do przełomu
od domu wariatów
do domu obłąkanych
od zwisu do alchemii
od alchemii do zwisu
w którym wszystko mi wisi
jak kilo
kitu
korona i tetetka
z Gomułką
w tle.

Po końcu świata

Po końcu świata
każdy może być Bogiem
sto kwiatów rozkwita
w szkole pisania
/szlam poety/
premier dosiada premiera
prezydent prezydenta
partia partią
pogania.
Po końcu świata
wszyscy są kochankami
młodość na zawsze młoda
starość i śmierć
dwie ostatnie Żydówki
szczęśliwie wyjechały
na Madagaskar.
Po końcu świata
fiesta goni festę
a festiwal festiwal
Gombrowicz wiecznie żywy
jeździ Intercity
pot krew i łzy
pojęcia zapomniane.



Stanisław Stabro (ur. 1948 w Świdnicy). Poeta, krytyk literacki, historyk literatury, profesor nauk humanistycznych UJ, jeden z założycieli grupy poetyckiej „Teraz”, współtwórca Nowej Fali. Współpracował m.in. z „Kultu-

ra”, „Literaturą”, „Odrą”, „Poezją”, „Twórczością” i działającą z pominięciem PRL-owskiej cenzury „Kulturą Niezależną”. Laureat wielu nagród poetyckich – za tomiki i poszczególne wiersze.

Taśmy prawdy, taśmy zachwytu

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Kino Świat

To ma być podsumowanie stanu polskiego kina. Jak zwykle. Jak co roku o tej porze. Ale tym razem sama sytuacja wymaga, żeby się przez chwilę zatrzymać i samemu sobie uświadomić, w którym miejscu jesteśmy i co się właściwie dzieje? Czemu nastroje są podłe, gdy filmy są znakomite?

Dlaczego, miast cieszyć się zwycięstwami, twórcy dyskutują nad bezpieczną formą prezentowania swojej twórczości? A więc też nad festiwalem, najważniejszym forum prezentacji. Tym gdyńskim, który zawsze, od czterdziestu czterech lat, niezależnie od sytuacji politycznej w kraju był miejscem rzetelnej oceny artystycznego dorobku.

Festiwal Polskich Filmów w Gdyni stanowi z natury swej czas spokojnej refleksji. A w tym roku był dosyć nerwowy. Byłam, widziałam. Filmy świetne – jak od kilkunastu przynajmniej lat, ale to, co wokół, było takie, jakby środowisko czekało na... cios.

On oczywiście nastąpił. Choć jeszcze delikatny. Bo partyjna władza bez wstępnej informacji i bez dania racji zaczęła zamykać filmowe ośrodki produkcyjne. Na kilka dni przed festiwalem zamknięto cztery studia produkcyjne i największą wytwórnię filmową. A na samym festiwalu struktura imprezy zaczęła się sama sypać. Nagle się okazało, że

W sztuce kina najważniejsza ma być teraz „nasza historia” (ściśle powybijana) i „patriotyzm” według plakatowego wydania.

ktoś, nie wiadomo kto, wymyślił podwójną komisję selekcyjną, by druga kontrolowała pierwszą, a pierwsza doszukując się „zdrady”, sama wyczuła, że zbliża się czas powolnego rozkładania polskiego kina. Kto? Co? Dlaczego? – Nie wiadomo. Pewnie pojawiły się „zielone ludziki”, jak za miedzą. Jak za czasów socjalizmu, gdy ważniejsze od swobody tematycznej było propagandowe zaspokojenie kolejnej *idée fixe*. Teraz też tak się zaczyna, nawet pojawia się „program”: bo w sztuce kina najważniejsza ma być teraz „nasza historia” (ściśle powybijana) i „patriotyzm” według plakatowego wydania. Nawet zamakając festiwal, stosowny wiceminister podziękował twórcom „zwłaszcza za dwa filmy, państwo wiedzą jakie”. Nikt wprawdzie nie

zapytał z widowni o tytuły. Ale pewnie dlatego, że wszyscy wiedzieli, iż takie wyróżnienie mogło dotyczyć tylko *Piłsudskiego* i *Legionów*. Jurorzy słusznie jednak tych filmów niemal nie zauważyli. Bo przecież nie każdemu udaje się taka sztuka, by robić dobre filmy na polityczne zamówienie! Zresztą nasi twórcy już chyba trochę od tego odwykli!

To jeszcze nie koniec zabaw władzy ze środowiskiem. Ponieważ w tym roku specjalne laury „za całokształt” twórczości, czyli Platynowe Lwy otrzymał od festiwalu Krzysztof Zanussi, więc władza przed samą imprezą zlikwidowała mu Studio TOR, które prowadził od 35 lat i sporo filmów tam powstało. To było tak, jakby mu powiedziała: fetowano pana i słusznie, ale teraz panu już dziękujemy, skończył pan 80 lat, to... już czas!

Sytuacja w kinematografii robi się trudna. „Władza jest na wojnie z kulturą”, skwitowała Agnieszka Holland. Inni mówili wprost o powrocie cenzury. Ale wiceminister kultury na zakończenie festiwalu oświadczył ze sceny, że na 19 konkursowych filmów, w 18 państwo partycypowało finansowo. Zapomniał widać, że mówi do środowiska filmowego, nie do przypadkowych ludzi! A środowisko wie, że to nie ministerstwo, a Polski Instytut Sztuki Filmowej partycypował w kosztach, zaś pieniądze Instytutu są naszymi pieniędzmi, bo fundusz powstaje od lat ze „złotówki” od każdego biletu kupowanego we wszystkich kinach w Polsce, a też z „procentu” każdego dystrybutora. Ale to ministerialne kłamstwo poszło w Polskę, a w Polsce, zwyczajni ludzie tego nie wiedzą. Wiedzieli tylko, że coś się w Gdyni dzieje: na żądanie państwowej telewizji z programu wycofuje się film, potem się go przywraca, ale telewizja, jako producent, wycofuje się z produkcji, żądając za gotowy film wielkiego, finansowego odszkodowania od drugiego współproducenta itd. itp.

Ale jest dobrze, bo po tych aferach zrobiło się tak głośno, że wszyscy zaczęli się interesować polską twórczością filmową. A twórcy i odbiorcy zrozumieli, że nadchodzi czas na zupełnie inną reakcję środowiska niż ta,

do której nawykliśmy od 30 lat. Nawykliśmy do radości dorocznego świętowania, do dyskusji otwartych i dzielenia się dobrymi pomysłami. Teraz zaś potrzeba już tylko solidarności środowiska i ogólnej mobilizacji... żeby się nie dać zaskoczyć. Czy taka nerwowa atmosfera wpłynie na artystyczny stan polskiego kina? Pewnie tak. Wszak według politycznego planu kolejne artystyczne dziedziny mają upadać metodycznie. Przy tej samej, łatwej argumentacji, która sprawdzi się w każdej dziedzinie, i w filmie i w teatrze, i w muzealnictwie, że wszelka nasza sztuka składa się z samych złogów komunistycznych, które trzeba zlikwidować. Ale na razie, w tym roku, kino polskie istnieje. Ba, cały świat widzi, że jest doskonałe. Jeszcze świetny film *Boże Ciało* jest polskim kandydatem do nominacji Oscarowych, jeszcze artyści są pełni nagród, także na światowych festiwalach (np. *Boże Ciało* w Wenecji), a widzowie jeszcze wciąż oblegają kina, które pokazują polskie filmy. Nawet trwa zdrowy snobizm na polskie filmy! Jeszcze jest, więc dobrze!

*

W tegorocznej polskiej twórczości filmowej można było zauważyć wyraźną zmianę pokoleniową. Najgłośniejsze filmy festiwalu zostały zrobione przez ludzi młodych. I gdy wchodzi one teraz na ekrany, to mają największe powodzenie. A więc chyba trafiają w jakieś społeczne zapotrzebowanie? Młodzi reżyserzy, młodzi aktorzy, świat budowany na nowo zarówno w aspekcie historycznym, jak i w kostiumie ostentacyjnie współczesnym. Ale i tak zwyciężczą tegorocznego filmowego poruszenia stała się Agnieszka Holland. Choć jest od 40 lat w kinematografii i zrobiła już 45 filmów oraz seriali. Nie ma w tym żadnego paradoksu. Przeszła wszakże przez tyle ważnych doświadczeń politycznych i artystycznych, że ma naturalną umiejętność budowania wielkiej syntezy oraz wycucia czasu, kiedy ta synteza jest potrzebna. Potrafi widzieć więcej. To wszystko się w tym roku sprawdziło.

Reżyserka zrobiła taki film, jakiego już dawno nie było w polskiej produkcji. Gigantyczny w rozmachu produkcyjnym i odważny w odkrywaniu tematu. To dlatego mógłby być na festiwalu i w obecnym naszym repertuarze. Po festiwalowym niemal osobną kategorią. Na dodatek jest to brawurowa międzynarodowa produkcja, pełna epickiego, hollywoodzkiego rozmachu, nagrodzona w Gdyni Złotymi Lwami. Ale nie mogłoby być inaczej. Obywatel Jones po pierwsze odkrywa temat. Historyczny i polityczny, świadomie przemilczany. To tak zwany Wielki Głód w latach 1932/33, który był świadomą polityką Stalina, by zlikwidować naród ukraiński. To zbrodnia polityczna, nigdy nieujawniona do końca, nierozliczona i nieodpokutowana, która nie istnieje w rosyjskiej świadomości do dziś. A reszta świata też nie ma w tej spr-

wie czystego sumienia. Zatajała przy pomocy swoich utytułowanych korespondentów prawdę. Aby nie przeszkadzać stosunkom gospodarczym z ZSRR, skazała nawet na zapomnienie młodego, walijskiego dziennikarza Garetha Jonesa, tytułowego Obywatela Jonesa, który odkrył ów głód na Ukrainie. Artykuły dziennikarza, relacjonujące jego tajną wyprawę na Ukrainę, nazwano kłamstwami i tłumaczono naiwnością. Tu objawia się drugi temat tego filmu, równie głęboki i mocny, tworzący uniwersalny aspekt opowieści: chodzi o prawdę medialnego przekazu, o niezgodę na manipulację informacją, o odwagę i odpowiedzialność. Przeciw propagandzie i tchórzostwu polityków.

Sytuacja w kinematografii robi się trudna. „Władza jest na wojnie z kulturą”, skwitowała Agnieszka Holland. Inni mówili wprost o powrocie cenzury.

To jedyny taki film w tegorocznym dorobku polskiej produkcji. Jedyny, który ma też niebywałą, produkcyjną rozmach: zrealizowany po angielsku, we współprodukcji polskiej, brytyjskiej i ukraińskiej, z udziałem aktorów brytyjskich, amerykańskich (i kilku polskich – na przykład Michaliny Olszańskiej i Krzysztofa Pieczyńskiego), z ekipą produkcyjną polską i międzynarodową – powinien zaspokajać i takie polskie ambicje. Nawet te oficjalnie mocarstwowe. Czyż nie powiedziano w nich, że dążyć musimy do tego, by mieć całkiem nowych twórców, którzy razem z hollywoodzkimi reżyserami będą opowiadać polską historię? Tu historia nie bardzo jest polska, ale sprawdzalna w Polsce choćby od momentu, gdy znaleźliśmy się w orbicie wiatru ze wschodu, a pomysły Stalina i zaborczość radziecka miały wpływ i na nasz byt historyczny i narodowy. A Agnieszka Holland? Czyż nie jest naszym jedynym hollywoodzkim reżyserem? Wśród owych 45 filmów i seriali, które do tychczas zrealizowała, przynajmniej jedna trzecia powstała w samym Hollywood! Więc może sobie na rozmach pozwolić. Na dodatek odkrycie takiego tematu stało się inspiracją dla badań reporterskich i naukowych. Powstała książka laureatki Pulitzera Anne Applebaum *Czerwony głód. Wojna Stalina przeciwko Ukrainie*. Powstała opowieść Mirosława Wleklego *Gareth Jones – człowiek, który wiedział za dużo*.

Ale to jedyny taki film. Tegoroczne produkcje były i są raczej kameralne. Interesują się jednostkowymi sytuacjami, bardziej niż „sprawa” interesuje je „człowiek”. A więc skupione są na wykreowaniu postaci, jej charakteru i tej gigantycznej gamy emocji, która

Bohaterowie tegorocznych filmów w małym stopniu bywają wymysłem twórców. Bywają często „znaleziskiem” prasowym lub literackim bądź są komentarzem do rodzinnych życiorysów.

tworzy bohatera każdej opowieści. Dzieje się tak zarówno w tle historycznym, jak i stricte współczesnym. A dbałość o wiarygodność każdego tła daje pełną możliwość skupienia się na postaci.

Jeśli postaci – to i aktorzy. To nie jest zdobywcza tegoroczna, bo pisuję o tym już od kilkunastu lat: mamy genialnych aktorów! Tak się składa, że najczęściej są oni po krakowskiej szkole teatralnej. W tym roku mogliśmy jeszcze raz zachwycić się talentem „naszego” Dawida Ogrodnika (Złote Lwy za najlepszą rolę w filmie *Ikar. Legenda Mietka Kosza* Macieja Pieprzycy). I odkryliśmy nowego, bardzo młodego aktora – też „naszego”, Bartosza Bielenię (*Boże Ciało* Jana Komasy). Oba te filmy otrzymały liczne nagrody na festiwalu, ale nawet bez tych nagród i tak zachwyciłyby widzów!

Ten pierwszy, bo w sposób brawurowy odkrywał postać rzeczywistą, o której wszyscy zapomnieli, choć przecież istniał ten artysta nie tak dawno, bo w latach 60. i na przełomie 70. XX wieku, był ociemniałym pianistą, nazywał się Mieczysław Kosz i zanim wystąpił na Jazz Jambore, zanim koncertował w Wiedniu, w Paryżu, w Kanadzie – występował w kawiarniach Zakopanego i Krakowa (w klubie Pod Jaszczurami, w Kawiarni Literackiej), a potem zginął tragicznie w wieku

W tegorocznej polskiej twórczości filmowej można zauważyć wyraźną zmianę pokoleniową. Najgłośniejsze filmy zostały zrobione przez ludzi młodych. I gdy wchodzi one na ekrany, to mają największe powodzenie.

zaledwie 29 lat – to wszystko można odnaleźć w pierwszym z wymienionych filmów, gdzie jest także mnóstwo brawurowej muzyki i Mietka Kosza, i stworzonej podług jego sposobów na improwizację (tą stroną zajął się znakomity kompozytor i wykonawca Leszek Możdżer, też nagrodzony na festiwalu).

W drugim filmie, owym zaskakującym *Bożym Ciele*: na tle ostentacyjnie czarno opisanego krajobrazu obyczajowego współczesnego „poprawczaka” zakwita zrazu wątpli, potem konkretna, wprowadzona w życie, tęsknota za Kościołem. Nowym Ko-

ściołem, takim blisko człowieka. I taki Kościół się pojawia: stworzony przez „samozwańca” (w tej roli charyzmatyczny Bartosz Bielenia), oparty na fałszywych przesłankach, a przecież niosący dobro, potrzebny ludziom, szlachetniejący w akcji. Ta przedziwna fabuła też oparta jest na prawdziwej postaci i prawdziwych wydarzeniach.

To ten film stał się polskim kandydatem do oscarowej nominacji. Tego kandydata wymyśliło nasze środowisko filmowe, słusznie dostrzegając w nim uniwersalną tęsknotę za prawdziwym duchowym przewodni-

kiem. Ową czystość intencji w karykaturalnych czasach.

To tylko trzy tytuły: obsypane nagrodami, wywołujące dyskusje, a więc... potrzebne. I niespodziewanie najlepiej świadczące o kondycji polskiego kina. O jego różnorodności, o ciekawości poznawczej i o intrygującej potrzebie autentyzmu. Bohaterowie tegorocznych filmów w małym stopniu bywają wymysłem twórców. Bywają często „znaleziskiem” prasowym lub literackim bądź są komentarzem do rodzinnych życiorysów. Ale nie wolno mówić o tym głośno, bo jakiś re-

formator wszystkiego jeszcze mu wymyśli dobrą zmianę. Czy solidarność środowiska wtedy wystarczy?



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Kadr z *Bożego ciała* w reż., Jana Komasy, jednego z najlepszych filmów minionego roku

Podróże (3)

Tekst: Jan Pieszcachowicz

Jeździłem po świecie sporo. Również z tytułu zawodowego, gdy byłem redaktorem Wydawnictwa Literackiego.

Wśród moich podróży silnie zapamiętałem wizytę w Pradze. Pracowałem wtedy w Wydawnictwie Literackim i chcieliśmy wydać opowiadania Bohumila Hrabala, który był wtedy pisarzem bardzo głośnym, o znaczeniu światowym. Wtedy na skutek prześladowań politycznych był człowiekiem wokół którego toczyły się polityczne spory. Władze Czechosłowacji go nienawidziły. My

Udało mi się dodzwonić do Hrabala i umówiliśmy się w jednej z piwiarni na Starym Mieście. Przyszedłem, patrzę, siedzi Hrabal, którego znałem ze zdjęć. Zaczynamy rozmawiać, mija parę minut, a Hrabal coraz bardziej niespokojny. Pytam, co się dzieje, a on mówi: – Trzeba wiać.

w WL chcieliśmy pokazać Hrabala polskiemu czytelnikowi. Przekład był przygotowany, tylko nie nadchodziła z Pragi zgoda czechosłowackiej agencji Dilia dysponującej prawami autorskimi. Wreszcie Andrzej Kurz, szef WL, mówi: – To ty może jedź i załatw.

Łatwo powiedzieć, ale na szczęście udało mi się wyszperać, że opowiadania Hrabala były niedawno wydane w Moskwie. – Tu was mam! – wykrzyknąłem i pojechałem do Pragi.

W Dilia powitali mnie początkowo więcej niż chłodno. A dlaczego tak bardzo go chcemy? To nie jest aż tak wybitny pisarz – usłyszałem. I wtedy użyłem argumentu moskiewskiego, powiedziałem: – Proszę państwa, przykro mi, ale te opowiadania zostały wydane w przekładzie rosyjskim w Moskwie. Przybledli, bo to nie byli jacyś szalenie odważni ludzie i mówią, żeby na drugi dzień wpaść po umowę.

Tego samego dnia udało mi się dodzwonić do Hrabala i umówiliśmy się w jednej z piwiarni na Starym Mieście. Przyszedłem, patrzę, siedzi Hrabal, którego znałem ze zdjęć. Zaczynamy rozmawiać, mija parę minut, a Hrabal coraz bardziej niespokojny. Pytam, co się dzieje, a on mówi: – Trzeba wiać.

Tam były obszerne ławy i stoły do piwka. Przy końcu stołu siedzą 2–3 osoby, nasłuchują i wyraźnie usiłują się dowiedzieć, co mówimy. Hrabal szepnął: – To tajniacy, jestem już do tego przyzwyczajony, ale może się umówimy jutro na przedmieściu, gdzie mieszkam. Podał nazwę knajpki, numer tramwaju i rozstaliśmy się. Na drugi dzień udałem się do Dilia, gdzie z kwaśną miną wręczyli mi umowę zezwalającą na wydanie Hrabala w naszym wydawnictwie.

Myślę sobie: no to się Hrabal ucieszy. Wsiadłem do tramwaju i pojechałem (to była końcowa stacja linii), rozglądam się i rzeczywiście jest knajpka, a w niej siedzi uśmiechnięty Hrabal. Tośmy sobie pogadali i ja mówię: – Pani Bogumile, mam dla pana niespodziankę, wydamy pana opowiadania w Krakowie. Nie chciał wierzyć, mówił, że nie powinien już pić, bo zdrowie nie to, ale zamówił okazały dzban wina. Opowiadał dużo o ówczesnej Czechosłowacji i rozstaliśmy się serdecznie.

A ja po powrocie do Krakowa i złożyłem u stóp Andrzeja Kurza umowę z Hrabalem.

Najpierw jednak, przez Pragę, pojechałem do Norymbergii. A w drodze powrotnej miałem przesiadkę znowu w Pradze.

I już było inaczej. Miasto wrzało. To było w przeddzień osławionej interwencji, w której niestety my, Polacy, wzięliśmy udział. Na Rynku Starego Miasta był ogromny tłum. Na dworcu czescy kolejarze radzili nam wyjechać najbliższym pociągiem do Polski, bo nie wiadzianno, co będzie się działo.

Chodziłem oszołomiony.



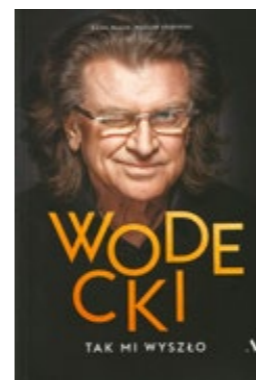
Jan Pieszcachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika

„Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.

... książki poleca Jacek Balcewicz



Gdy zmarł, uzmysłowiliśmy sobie, że trawestując słowa innej piosenki śpiewanej przez innego piosenkarza, *Kraków jest smutny bez Ciebie*, nie zobaczymy go na A–B, Kołek czy Stradomiu. Nie zagra wirtuozerkiej wariacji na skrzypcach ani solówki na trąbce, nie skomponuje nowej, nie zaśpiewa żadnej starej piosenki, nie wystąpi już z nikim w egzotycznym duecie, nie opowie dowcipu. Pozostały nam po Zbyszku Wodeckim wspomnienia, które pomagają nam pielęgnować Kamil Bałuk i Waław Krupiński, autorzy książki *Wodecki. Tak mi wyszło*. Jej lektura pozwala uzmysłowić sobie, że gdyby urodził się



po właściwej stronie „żelaznej kurtyny”, mielibyśmy do czynienia z artystą o globalnej popularności na miarę Paula Anki, Franka Sinatry, Iglesiasów ojca i syna razem wziętych czy Glorii Estefan łącznie z mężem. I choć książka składa się z dwóch autonomicznych części dwóch autorów – czyta się ją wspaniale jak całość. Wydana starannie, z przypisami, własnym alfabetem Wodeckiego i dokładnym spisem fotografii.

Kamil Bałuk, Waław Krupiński, *Wodecki. Tak mi wyszło*, Wydawnictwo AGORA i Fundacja im. Zbigniewa Wodeckiego, Warszawa 2018.

Organy zwłaszcza te klasyczne, piszczałkowe to instrument królewski, niemających sobie równych i podobnych. Mocą dźwięku, mnogością barw przewyższają orkiestrę symfoniczną, choć obsługiwane są przez jednego człowieka. A z organistą jest trochę jak z yeti: wszyscy go na ogół słyszą, ale mało kto go widział, natomiast poznać go mogą jedynie nieliczni, na ogół wtajemniczeni. Tym bardziej intrygująca to książka, będąca w istocie rozmową Mateusza Borkowskiego (znanego z łamów „Krakowa”) z Markiem Stefańskim, jednym z najślynniejszych krakowskich koncertujących organistów. O ile wirtuozi skrzypiec nie rozstają się ze swoimi stradivariusami, o tyle organista musi jeździć



po świecie do... organów. Trudność jego profesji jest potęgowana tym, że nie ma na świecie dwóch identycznych instrumentów, nawet gdyby powstały w tym samym czasie

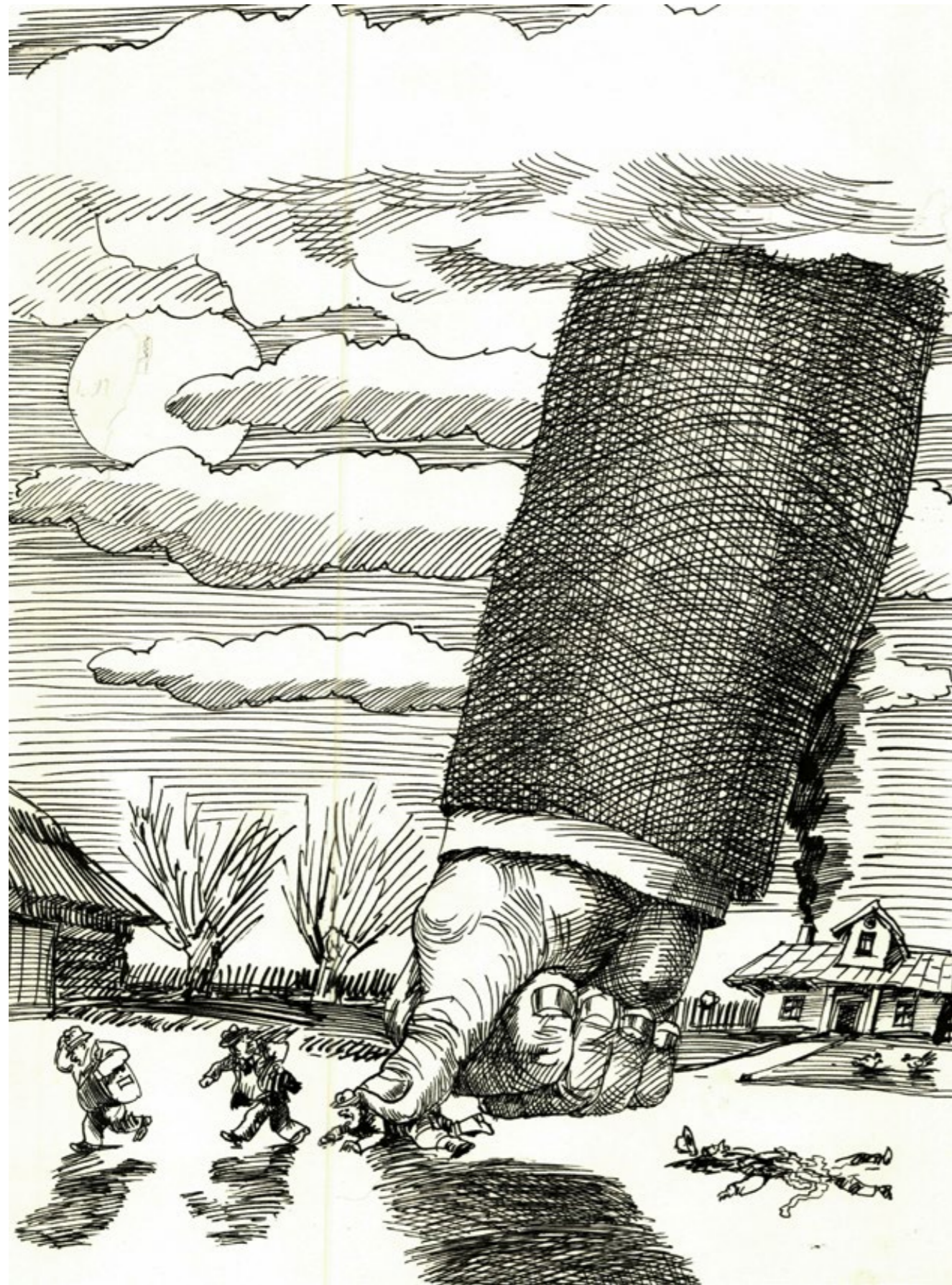
i pochodziły z tego samego warsztatu organistrzowskiego. Zawsze się czymś różnią: mają swoje tajemnice, mankamenty i ukryte zalety. W tym także, a może przede wszystkim fizyką wnętrza, w którym zostały zbudowane, czasem pełnego wybrzmienia dźwięku czy naturalnym pogłosem. Marek Stefański dzieli się obserwacjami z licznych podróży, zwłaszcza egzotycznych i diametralnie różnych (Rosja, Białoruś, Ukraina, Gruzja, Uzbekistan, Ekwador, Korea, Ziemia Święta, kończąc na katedrze Notre Dame). W tym także tymi, jak odbierana jest ta sama muzyka na Wschodzie, a jak na Zachodzie. Szkoda tylko, że o największych krakowskich organach jest dosłownie jedno zdanie.

Mateusz Borkowski, *Organy na krańcach świata (Rozmowa z Markiem Stefańskim)*, Wydawnictwo PETRUS, Kraków 2019.

„Jest tam w Krakowie Kościół Maryi Panny...” – tym cytatem z Wincentego Pola Leszek Mazan tytułuje albumową opowieść o najślynniejszym w Polsce, a może nawet w Europie (zaraz po katedrze Notre Dame) kościele – Bazylice Mariackiej. Mieszczącej wiekopomny ołtarz autorstwa Wita Stwosza, który w 1948 roku Pablo Picasso kazał uznać jako... ósmy cud świata. Panuje też ogólne przeświadczenie, że ten „kto ma Pannę Marię (jest proboszczem parafii Mariackiej) – ten ma cały Kraków”. Nic też dziwnego, bo od 1408 roku proboszczowie tej świątyni mają papieskie prawo używania pontyfikaliów właściwych biskupowi. Co z kolei w przeszłości skutecznie odcinało drogę do sakry biskupiej, a co za tym idzie godności kardynalskiej. Chyba że tak jak kardynał Stanisław Dziwisz złamał „klątwę Stanisławów” – tak ks. infułat Dariusz Raś – obecny proboszcz Mariacki złamie w przyszłości i ten kanon historii. Bogato ilustrowana książka, w wygodnym i przyjemnym w użyciu kwadratowym formacie, jest – jak przystało na ongiś szalejącego reportera „Przekroju” – napisana lekko i dowcipnie, ale też rzetelnie, w zgodzie z historycznymi źródłami i udokumentowanymi faktami.



Leszek Mazan, *Jest tam w Krakowie Kościół Maryi Panny...*, Wydawnictwo Anabasis we współpracy z Wydawnictwem Mariackim i Archiwum Bazyliki Mariackiej, Kraków 2019.



Kara za grzechy nieczystości, rys. Andrzej Zaręba

Austriackie gadanie

Tekst: Mieczysław Czuma

Jako osobnik dotknięty ciągłymi do czytania, po wieloletnich rozmyślaniach doszedłem otóż do wniosku, że jeśli chcesz sobie coś dobrego przeczytać, musisz to sobie po prostu napisać. Takie same poglądy wyznaje zakolegowany ze mną od lat na redaktorskich ścieżkach Leszek Mazan. Zdecydowaliśmy więc połączyć siły.

Itak przed dwudziestu z górą laty (1998 r.) powstała pierwsza spreparowana w autorskim duecie nasza książka *Austriackie gadanie, czyli encyklopedia galicyjska*. Ten twór językowy, jakim jest „austriackie gadanie”, bywa niezwykle przydatny na co dzień, na trwale zagościł w życiu publicznym, w polityce, obecny bywa w poufnych rozmowach, w wyznaniach miłosnych itp. Powiedzkonko przyszło na świat w Wiedniu. Kiedy po roku 1866 monarchię absolutną odziać trzeba było w szaty parlamentarne, posłowi przemawiającemu w wysokiej izbie nie wolno było przerywać wystąpienia. Bywało więc, że z trybuny sypały się dyrdymały. Gardłowano o snach teściowej, o cenie jaj na targu w Kołomyi, o smaku kocięgo mleka. Wszystko po to, aby blokować przeciwników i nie dopuszczać do głosu opozycji.

Nasze książkowe gadanie jest inne, o wiele bardziej godne i dostojne od tego wiedeńskiego, parlamentarnego. To próba sportretowania czasów naszych pradziadków i prababek, rzecz o ludziach, wydarzeniach, obyczajach. A wszystko podszyte anegdotą i szczyptą ciepłego humoru. Książeczka spodobała się Wisławie Szymborskiej, polecała ją w swojej słynnej rubryce „Lektury nadobowiązkowe”. Nie wszyscy jednak skłonni są podzielać pogląd noblistki. Do dziś sypią się gromy, że to koloryzowanie zaborcy, kadzidlane dymy na cześć nieboszczki Austrii, polerowanie mitu Franza Josefa. Słowem, rzecz godna sądu lustracyjnego nad autorami.

Wiadomo, że w pierwszym okresie zaborczej niewoli Habsburgowie nie byli aniołami miłosierdzia, byli nawet gorsi od Hohenzollernów czy Romanowych. Język polski usuwano ze szkół i urzędów, zastępcami patriotów wypełniali się ponure cele Szpilberga i Terezina, sprowokowane przez zaborcę chłopstwo urządziło bratobójczą rzeź galicyjską. Ale przegrana wojna z Francją i Piemontem (rok 1859), a potem klęska w starciu z Prusami (rok 1866) postawiły Habsburgów nad brzegiem przepaści. Zdecydowano się na głębokie reformy. Powołano parlament krajowy i sejmy prowincjonalne, wszystkim krajom koronnym nadano szeroką autonomię. To były drożdże, na których wyrosła Galicja. Język polski zapanował w szkołach i urzędach, krzewiła się samorządność i to na wszystkich szczeblach. Kraków stał się ołtarzem ojczyzny, a koło polskie w parlamencie wiedeńskim (największe spośród kół regionalnych) dopracowało się pozycji języczka u wagi. Bez niego nie mogła powstać żadna większość rządowa.

Na początku, w momencie aneksji, Galicja była dla Habsburgów trochę niewygodnym kąskiem. Leżała za Karpatami, nie miała połączeń drogowych z nadunajską stolicą. Po Wiedniu rozpowiadano złośli-

wie, że ta ziemia będzie stałym zarzewiem konfliktu wojennego pomiędzy Austrią i Rosją, a ten, kto tę wojnę przegra, będzie sobie musiał Galicję wziąć. Z czasem wielicka i bocheńska sól oraz borysławska ropa podniosły wartość tej prowincji, a sukcesy tutejszych polityków przydały jej niekłamane go blasku.

Do roku 1918, w kolejnych gabinetach, osiemnastu Polaków było ministrami. Resort finansów, ważniejszy od innych, nazywano nawet wprost „polskim”. Kierowało nim aż siedmiu z naszych, w tym

Austriackie gadanie w klasycznym wydaniu to pleciuga bez ładu i składu, oderwane od rzeczywistości dyrdymały, mydlenie oczu, pudrowanie błagi. Praktyka często stosowana w życiu publicznym, w polityce, ale obecna również w codziennych przegaduchach, wyznaniach miłosnych itp.

przez jedenaście lat zawiadował nim Julian Dunajewski z Krakowa, któremu miasto zawdzięcza gmach Collegium Novum. Alfred Potocki i Kazimierz Badeni zasiadali na fotelu premiera. Franciszek Smolka przewodniczył naczelnemu parlamentowi przez rekordowe dwanaście lat. Nic więc dziwnego, że wiedeńska ulica komentowała zawistnie, że Polacy mogą rządzić Austrią także i bez Austriaków.

W Galicji przyszło na świat sposobiące się do walk sokolnictwo, tu zawiązały się Legiony, stąd wyruszone po niepodległość. A ludzie, którzy reguły wielkiej polityki ćwiczyli na wysokich wiedeńskich salinach, stali się potem architektami odrodzonej Polski. I to wcale austriackie gadanie nie jest.

No więc, jeśli chcesz sobie coś ciekawego przeczytać, to sam sobie musisz to napisać. Tyle tylko, że co poniektórzy czytacz może cię potem obrzucić klasycznie bezmyślnym austriackim gadaniem.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.



... książki poleca Janusz M. Paluch

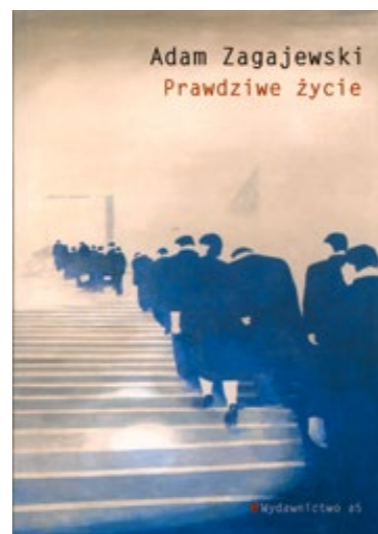
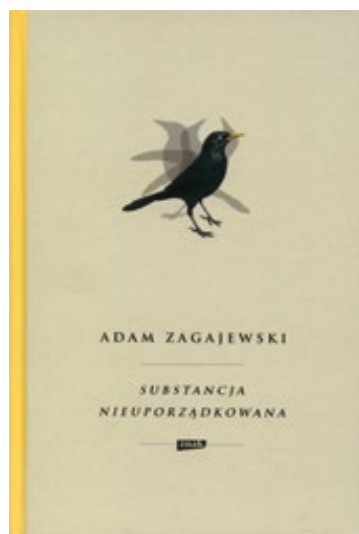
Aż dwie książki Adama Zagajewskiego zostały uhonorowane w grudniu nagrodą Krakowska Książka Miesiąca: zbiór esejów *Substancja nieuporządkowana* (Wydawnictwo Znak) i tom poezji *Prawdziwe życie* (Wydawnictwo a5). To jednak tylko dodatkowa rekomendacja, bo tak czy tak każdy z tych tytułów może być doskonałą (i ważną) lekturą na czas świąt. *Substancja nieuporządkowana* jest wszak zachętą do rozmowy „o Bogu, o sensie życia, o sztuce, o literaturze, o muzyce, o naturze cywilizacji, o związku między nowoczesnością i tradycją, o śmierci”. Dopóki rozmawiamy, mamy pewność, że nasza społeczna zbiorowość nie została jeszcze zdominowana przez analfabetów. Szczęśliwi ci, którzy tkwią w tej egalitarnej enklawie. Eseje Zagajewskiego, wpisujące się narrację wcześniejszych jego książek, stanowią swoisty kulturowy wektor. Uwagę czytelnika przykuje esej *O życiu w wolności*, pokazujący, jak ważne i ścisłe są związki między wolnością, prawem czy prawdą, a także poezją. A jak porywająco brzmi *Pochwała prawa* – laudacja poświęcona Ewie Łętowskiej! Zarzucają Zagajewskiemu, że komentuje współczesność z niewłaściwej strony. Ale przecież ci „mieszkańcy bibliotek, co bacznie obserwują wydarzenia w przestrzeni publicznej”, reprezentujący „ten szczególnie świeatek literatury, garbusów na pół zagrzebanych w papierach, moli książkowych” też mają prawo do własnego zdania! Dlatego od lat z uwagą wsłu-

chujemy się w pisane z wielką rozważą słowa Adama Zagajewskiego.

Prawdziwe życie – to z kolei autobiograficzny zbiór jego wierszy. Autor za pomocą wehikułu poetyckiego przenosi się wraz czytelnikiem w przeszłość. Niekiedy w czasie znane mu tylko z opowiadań rodziców, kiedy to dziadek Karol uczył niemieckiego we Lwowie, zamykając na zasuwkę drzwi klasy przed spóźnialskimi. Pojawiają się też inne kresowe miasta – Sambor, Drohobycz, a w życiorysie jego amerykańskiego, nieżyjącego już przyjaciela, poety Charliego K. Williama, znowu Lwów, z którego w świat wyjechała jego babcia. To znowu skautowskie klimaty z czasów, kiedy Wojciech Pszoniak mieszkał w śląskiej kamienicy piętro wyżej, a sąsiad pan Zawadzki został posłem PRL... Wspomnienie krakowskiego poety Wincentego Fabera. W końcu wizyta w szpitalu, gdzie kroplówka spowalnia czas. I ukłon w stronę Juliana Kornhausera wierszem *Errata sprzed wielu lat...* Nie dziwi jednak ten wsteczny ogląd życia, wszak wiek XX przeszedł już na emeryturę... Jest sentymentalny, melancholijny, niedzisiejszy.

Adam Zagajewski, *Substancja nieuporządkowana*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019.

Adam Zagajewski, *Prawdziwe życie*, Wydawnictwo a5, Kraków 2019.



Anna Seniuk

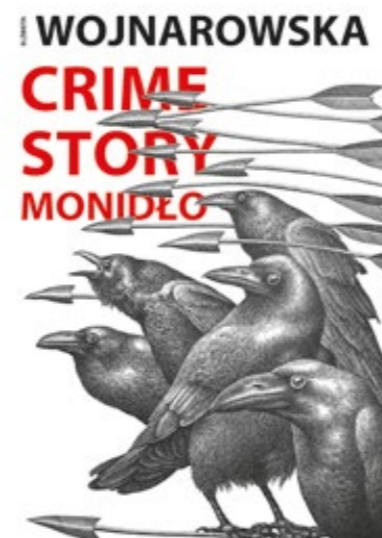
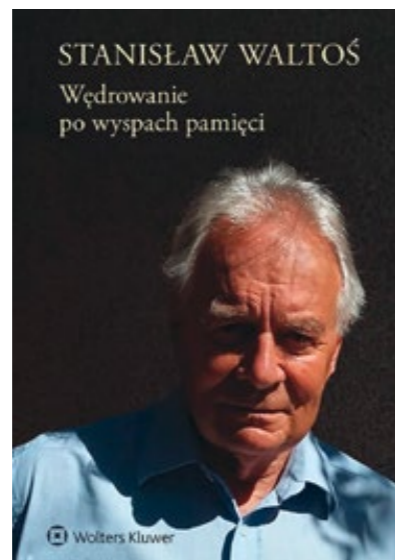
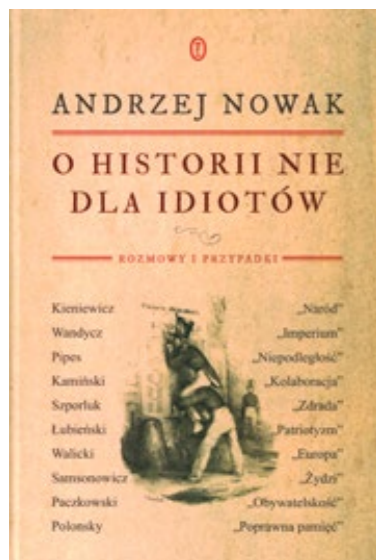
Wysłuchał i zrobił zdjęcie Jacek Balcewicz

Przyjechaliśmy zaraz po wojnie do Polski ze Wschodu w ramach akcji repatriacyjnej, dzisiaj nazywając rzecz po imieniu – jako wypędzeni. Długo szukaliśmy swojego miejsca. Wreszcie w Krakowie ojcu udało się znaleźć pracę i mieszkanie. Kraków nas przygarnął. Nie pamiętam Stanisławowa, gdzie się urodziłam, więc to Kraków jest dla mnie zastępczym rodzinnym miastem. Tutaj spędziłam najważniejszy czas mojego życia: szkoła, matura, egzamin wstępny na studia, same studia, dyplom, pierwsze kroki w Starym Teatrze, pierwsze miłości, pierwsze łzy, pierwsze sukcesy, pierwsze kłęski, burzliwe momenty podejmowania ważnych decyzji. Jako studentka szkoły teatralnej dorabiałam, prowadząc teatrzyk dla dzieci, w Domu Kultury przy ulicy Józefa na Kazimierzu. Premiera była dramatyczna, dzieci zapomniały tekstu, zaczęły się śmiać i wszystko się posypało... Teraz to

wspominam z uśmiechem. Tu przeżyłam najpiękniejszy, zupełnie bajkowy epizod mojego życia, gdy w 1963 roku właśnie na krakowskim Rynku zostałam ukoronowana jako Miss Juwenaliów i w blasku pochodni wprowadzono mnie do Jaszczurów. Wtedy, po godzinie 10 wieczorem Rynek był zupełnie pusty, nie było tylu restauracji, kawiarnie były pozamykane, gdzieś tylko przejechała dorożka, tak jak u Gałczyńskiego, i w tej ciszy brzmiał hejnał mariacki. Ten Kraków już odszedł. Jest inny. Rozbrzmiewa obcymi językami. Witamy turystów i gości... Mam co wspominać. Mam tu przyjaciół do dzisiejszego dnia: utrzymuję kontakt z moją profesorką Martą Stebnicką, która uczyła mnie piosenki, z moimi kolegami ze szkoły. Ciągle jestem związana z tym miastem. Choć mieszkam w Warszawie, gdzie wyjechałam w założeniu tylko na jeden sezon. Ale wyszłam tam za męża. I zostałam.

Anna Seniuk – aktorka teatralna, filmowa, dubbingowa i radiowa. Profesorka sztuki teatralnej związana z Akademią Teatralną im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Widzowie zapamiętali ją jako Madzię, żonę inż. Stefana Karwowskiego w kultowym serialu Jerzego Gruzego *Czterdziestolatek*. Debiutowa-

ła na scenie Starego Teatru, później związana z warszawskimi teatrami: Ateneum, Polskim i Narodowym. Wystąpiła w ponad 30 filmach (w tym słynnej *Konopielce* na motywach powieści Edwarda Redlińskiego) i ponad 40 słuchowiskach radiowych. Także reżyseruje, zwłaszcza widowiska dla dzieci.



Krakowska Książka Miesiąca

Nie bądź idiotą, przeczytaj...! Nie, to nie jest obraźliwy tytuł. Mam na myśli książkę prof. Andrzeja Nowaka *O historii nie dla idiotów. Rozmowy i przypadki*. Określenie „idiot”, wywodzące się z greki, oznacza osobę nieinteresującą się sprawami publicznymi, polityką, a skupiającą się na własnych przyjemnościach. Autor jest znanym i cenionym historykiem, którego książki i wypowiedzi często wywołują interesujące dyskusje. W najnowszej książce, w części pierwszej, zgromadził dziesięć wywiadów przeprowadzonych w ostatnich trzydziestu latach z wybitnymi pisarzami i historykami. Są wśród nich Stefan Kieniewicz, Piotr Wandycz, Richard Pipes, Andrzej Walicki, Henryk Samsonowicz, Andrzej Paczkowski, Antoni Polonsky, Andrzej Sulima-Kamiński, Roman Szporluk i Tomasz Łubieński. Druga część zawiera teksty poświęcone ważnym historycznym tematom związanym przyjęciem przez Polskę chrztu, przyjęciu unii horodelskiej oraz pojęciom niepodległości, patriotyzmu, kolaboracji czy zdrady. Ponad 600-stronnicowy tom to ważna lektura – w sam raz na długie zimowe wieczory.

Janusz M. Paluch

Z okładki uśmiecha się starszy pan, opalony, srebrnowłosy. Mimo wieku – Profesor Stanisław Waltoś skończył 87 lat – można wyczuć ogromną energię. Jest autorem wielkiej liczby fachowych publikacji, ale teraz zdecydował się na napisanie książki o swoim życiu.

Opowiada nam to piękną polszczyzną, językiem prostym, z poczuciem humoru, autoironii, ale przede wszystkim z lekkością – ma się wrażenie, jakby się siedział z Profesorem przy lampce wina i słuchał anegdot, opowieści o ludziach, o sprawach i zdarzeniach.

O ludziach mówi życzliwie, rzadko negatywnie. W tej opowieści rysuje się tło – dawna epoka, dawne zwyczaje, a potem czasy nam współczesne. Nieprawdopodobna jest pamięć Profesora – wymienia choćby swoich kolegów z podstawówki, a także pisze, co się z nimi później działo. Opowiada o przygodach w latach 50. ubiegłego wieku, w takim-a-takim miesiącu, dniu i... że wtedy akurat była piękna pogoda.

Warto usiąść z Profesorem Waltoś, posłuchać tych historii. Szczególną frajdę będą z tej lektury mieli prawnicy, gdyż to o nich i o prawie napisano dużo, ale też muzealnicy, którzy dowiedzą się o szczegółach tworzenia Muzeum w Rydlówce czy o wieloletnim dyrektorowaniu Muzeum Collegium Maius. Zresztą każdy czytelnik z przyjemnością posłucha profesorskiego wędrowania po wyspach pamięci.

Zofia Gołubiew

Andrzej Nowak, *O historii nie dla idiotów. Rozmowy i przypadki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

Stanisław Waltoś, *Wędrowanie po wyspach pamięci*, wyd. Wolters Kluwer, Warszawa 2019.

„Bo Honorata jest magistrem antropologii. Pracuje w laboratorium. Jako ekspert kryminalistyki. Bada, stwierdza i podpisuje. A Sąd bierze to pod uwagę. Przy wydawaniu wyroków, rzecz jasna. Dlatego Honorata lubi siebie. Bo jest ważna. I dlatego nie pije, a jedynie degustuje. Bo nie przebywa stale w czarnej rozpacz, a jedynie, od czasu do czasu, w stanie melancholii”.

Tak, tę bohaterkę można polubić. A książka to kryminał, ale i coś więcej. Można rzec – pastisz gatunkowy. Kpi z nadętych tragizmów kryminałów, ale także ze stosunków międzyludzkich, rodzinnych, społecznych, dostaje się nawet prezydentowi. Taki patchwork z romanssem w tle, bo jakżeby inaczej?, i to ze sporą dawką metafizyki, bo czemu by nie? Opisy przyrody wywołują uśmiech, przez co mroczna historia rozjaśnia się na tyle, że nawet przerysowana postać głównej bohaterki staje się wiarygodna, a kreślone grubą kreską pozostałe postaci nie budzą lęku czy odrazy jak w klasycznych kryminałach. Celowe jest żonglowanie konwencją, a niektóre satyryczne wręcz scenki trudno zapomnieć. „Chodzi o to, żeby o coś chodziło” – zdaje się mówić bohaterka tej opowieści, i wiele z jej często absurdalnych powiedzonek mogłoby wejść do języka obiegowego. Fajna lektura na długie wieczory.

(wb)

Elżbieta Wojnarowska, *Crime story. Monidło*, Wydawnictwo Książkowe Kasjas Publishing, Birmingham 2018.



Krakowska Książka Miesiąca

Nagroda literacka przyznawana co miesiąc książkom krakowskich autorów lub książkom o Krakowie, wyróżnionym przez jury.

W 2019 roku laureatami tej Nagrody zostali: Urszula Kozakowska-Zaucha, Elżbieta Konieczna, Urszula Honek, Mateusz Borkowski, Krzysztof A. Zajas, Marcin Wilk, Alosza Awdiejew, Agnieszka Dauksza, Andrzej Nowak.

W grudniu Nagrodę KRAKOWSKIEJ KSIĄŻKI MIESIĄCA otrzymał Adam Zagajewski za tomik wierszy *Prawdziwe życie* i zbiór esejów *Substancja nieuporządkowana*

Zapraszamy na wręczenie nagrody i spotkanie z autorem

19 grudnia, godz. 18.00

Salon Literacki Biblioteki Kraków
Klub Dziennikarzy „Pod Gruszką”
ul. Szczepańska 1



BIBLIOTEKA KRAKÓW · INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Podaruj Teatr

TEATR
bagatela
100
LAT



Wśród nocnej ciszy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Natalia Kabanow/organizatorzy

Podczas tegorocznego Międzynarodowego Festiwalu Boska Komedii usłyszymy głosy artystów wołających wśród nocnej ciszy.

Trzeba być naprawdę zapalonym teatromanem, by wsiadać co parę tygodni do pociągu i jechać na kolejne ważne premiery, o których donoszą recenzenci. Mieszkając w Krakowie, możemy jednak uniknąć zderzeń z polską koleją. A to dzięki Międzynarodowemu Festiwalowi Boska Komedii, podczas którego w ciągu paru dni mamy szansę poznać najciekawsze zjawiska teatralne. Dyrektor festiwalu Bartosz Szydłowski sprowadza wyselekcjonowane przedstawienia, które składają się na obraz artystycznych trendów, jakie dominują przede wszystkim na krajowych, ale także na zagranicznych scenach.

– Tegoroczna „Boska” odbywać się będzie pod hasłem „Wśród nocnej ciszy”. Chcemy przez to podkreślić, jak ważny jest głos artysty, który musi przeдрzeć się przez brutalne narracje, przez prawdy i półprawdy dominujące w świecie socjotechnik, byśmy mogli go usłyszeć w nocnej ciszy. To głos rozpaczliwie krzyczącego na pustyni – mówi Szydłowski.

Owego przesłania możemy szukać w prezentowanych na festiwalu przedstawieniach. Znajdzie się wśród nich głośny już spektakl *Capri – wyspa uciekinierów* Krystiana Lupy, z Teatru Powszechnego w Warszawie, na podstawie utworów: *Kaputt* i *Skóra* Curzia Malapartego. Zobaczymy też *Trojanki* Eurypidesa przygotowane w gdańskim Te-

atrze Wybrzeże przez Jana Klatę i przedstawienie *Kowboje*, oparte na tekście Michała Buszewicza, a wyreżyserowane przez Annę Smolar. Będzie też można oglądać przywiezioną ze Śląska opowieść o słynnym przestępcy *Najmrodzki, czyli dawno temu w Gliwicach* Michała Siegoczyńskiego. Interesująco zapowiada się również przedstawienie *Masakra*, które w stołecznym Nowym Teatrze wystawił choreograf i tancerz Paweł Sakowicz. Zresztą teatr ruchu stanie się jednym z wyznaczników tegorocznej Boskiej Komedii. Będą reprezentować go między innymi dwa zagraniczne przedstawienia *Put your heart* Stevena Cohena z Théâtre d'Orléans oraz *Andrade* Michiela Vandeveldé'a z Casino Théâtre de Rolle w Brukseli.

Jak co roku część spektakli weźmie udział konkursie *Inferno*, walcząc o statuetki Boskiego Komedianta, które przyzna międzynarodowe jury. W sekcji *Paradiso* zostaną zaprezentowane poszukiwania młodych twórców teatru. Nie zabraknie też części zwanej *Purgatorio*, na którą składają się spotkania i debaty. W tym roku planowane są rozmowy o specyfice chińskiej sztuki teatralnej i o mocnej pozycji naszych artystów na tamtejszych scenach.

Boska Komedii odbywać się będzie od 6 do 15 grudnia. Organizatorzy zastrzegają sobie możliwość zmian w programie.



KONCERT SYMFONICZNY

ORKIESTRA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Charles **OLIVIERI-MUNROE** dyrygent

Esther **YOO** skrzypce

w programie:

Grażyna BACEWICZ – Uwertura na orkiestrę symfoniczną

Samuel BARBER – Koncert skrzypcowy

Siergiej PROKOFIEW – V Symfonia B-dur

7.12.2019
sobota, godz. 18.00

ZPSM im. M. KARŁOWICZA

foto: M. Borggreve

Kraków

PROJEKT JEST WSPÓLFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

KONCERT KAMERALNY

ARS MODERNA

SPÓŁDZIELNIA MUZYCZNA CONTEMPORARY ENSEMBLE

MAŁGORZATA MIKULSKA flet

TOMASZ SOWA klarnet

KRZYSZTOF GUŃKA saksofon

PAULINA WOŚ skrzypce

BARBARA MGLEJ skrzypce

JAKUB GUCIK wiolonczela

MICHAŁ LAZAR gitara

MARTYNA ZAKRZEWSKA fortepian

ALEKSANDER WNUK perkusja

w programie:

CRUMB, SZYMAŃSKI, APERGHIS, GRISEY

18.12.2019
środa, godz. 19.30

ŻYDOWSKIE MUZEUM GALICJA

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL

■ Prezydent Krakowa ministrem wojny

O tym, że Jacek Majchrowski ma zdolności aktorskie, mogliśmy się przekonać już jakiś czas temu, kiedy występował w Teatrze Grotteska w pamiętnych *Reality shopka show*. Ale to była raczej kabaretowa, lżejsza forma, pozwalająca traktować sceniczne popisy prezydenta z przymrużeniem oka. Teraz zmierzył się z prawdziwymi aktorskimi zadaniami, wcielając się w rolę ministra wojny w spektaklu *Król Maciuś Pierwszy*, w reżyserii Piotra Siekluckiego w Teatrze Nowym Proxima. O powadze tego przedsięwzięcia niech świadczy fakt, że Jacek Majchrowski wystąpił w doborowym towarzystwie: obok Jerzego Stuhra jako ministra edukacji, Jana Peszka jako ministra sprawiedliwości, Andrzeja Grabowskiego jako ministra kultury i dziwactwa narodowego, Tomasza Schimscheinera jako ministra gospodarki i transportu oraz Janusza Marchwińskiego jako ministra finansów. Członkowie tak zacnego rządu, których filmowe sylwetki były wyświetlane wokół sceny, musieli poradzić sobie z pomysłami małoletniego władcy, w czym pomagało im szlachetne wino, a w przypadku ministra wojny – dobre cygaro. A tak serio, w Teatrze Nowym Proxima powstało świetne przedstawienie, tłumaczące dzieciom, czym jest polityka i do jakiego stopnia może być ona brudna. Zdaje się jednak, że po spektaklu wielu rodziców będzie musiało odpowiedzieć dzieciakom na kilka nie najłatwiejszych pytań.

■ Żołądkowo gorzka lekkość bytu

Tego świata już prawie nie ma, choć mawiają, że w Krakowie czas się zatrzymał. Nie ma już Szajbusa, który najbardziej lubił wiśniówkę i to bez wątpienia pod jej wpływem wrzucił komuś do szklanki sztuczną szczękę. Jak w sennej mgłę rozpląnął się gdzieś Kiwi, który za barem serwował płynną pocieszycielkę na krechę, doprowadzając do upadku kolejne puby. Sławomir Mrożek i Tadeusz Kantor nie uraczą się już żołądkową gorzką, z którą zażyłość była przez pewien czas jednym z biletów wstępu do redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Jerzy Pilch zniknął w warszawskich odmętach i nie spotkamy go już w Vis à Vis. Inni ludzie siedzą dziś w Alchemii, Singerze, Pięknym Psie i marnują bez sensu czas, gadając o fitnessie i zdrowej żywności zamiast o Kancie i Leibnizu. Reżyser Łukasz Czuj razem z autorem tekstów Michałem Chłudzińskim poczuł, że coś się w mieście zepsuło. Dlatego postanowił w celach naprawczych przypomnieć niegdysiejsze piwnice w muzycznym spektaklu *Krakowska lekkość bytu*. Pokazywany jest on na Scenie pod Ratuszem Teatru Ludowego. Zalecane jest zabranie ze sobą na widownię piersiówki z żołądkową gorzką, którą należy sączyć powoli. Pośpiech poniża – mawiał przecież Piotr S.

■ Schody Czesława Miłosza

„Dzień taki szczęśliwy. Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie. Kolibry przystawały nad kwiatem kapryfolium (...)”. Tymi słowami rozpoczyna się wiersz Czesława Miłosza zatytułowany *Dar*. Możemy go przeczytać, idąc po schodach znajdujących się nad Wisłą, na bulwarze Poleskim. Utwór został wyryty na stopniach, które od tego czasu noszą imię poety. Co ciekawe, w podobny sposób noblista został uczczony w Wilnie, gdzie spędził młodość. Tam jego symboliczny pomnik znajduje się pomiędzy dzisiejszymi ulicami Boksto, Maironio i Onos Simaites. Składa się on z 60 stopni z wyrytymi cytatami z twórczości noblisty w językach polskim i litewskim.

Wybór miejsca w Krakowie, obok Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, nie jest przypadkowy. Ma on ścisły związek z wkładem Miłosza w popularyzację dziedzictwa japońskiej formy poetyckiej – haiku. A poza tym bliskość Wisły sprzyja romantycznym spacerom, które miłośnicy literatury mogą połączyć z czytaniem poezji. Niebawem dostaną też szansę odwiedzenia mieszkania pisarza przy ul. Bogusławskiego, w którym spędził ostatnie lata życia. Miasto przejmuje bowiem od spadkobiercy lokal, który w przyszłości ma być otwarty dla zwiedzających.

■ Wiesław Dymny zakochany

Tylko człowiek naprawdę zakochany może zrobić takie zdjęcia. I nie chodzi tu o to, że Anna Dymna wgląda na nich zjawiskowo. Biorąc pod uwagę urodę aktorki, nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Ale na fotografiach, które wprowadzają nas w wystawę poświęconą Wiesławowi Dymnemu, prezentowaną w MOCAR-u, jest coś jeszcze: są takie emocje, które nie dają się opisać, a które sprawiają, że trudno od nich oderwać oczy. Podobnie jak od pozostałej części ekspozycji *Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz*.

Znajdują się na niej prace artysty, dla którego twórczość była czymś tak naturalnym, jak oddychanie czy spanie. Sam twórca, dowcipkując, napisał o nich w jednym z szyldów-autoprezentacji: „Umiem malować wszystko na różne sposoby, umiem pisać na maszynie powieści, opowiadania i szlagiery. Umiem rzeźbić, wykonuję wszelkie prace domowe z wielką dokładnością, wykonuję poza tym wszelkie roboty inne, bo jestem pojętny”.

Dymny tworzył przede wszystkim groteskowo-prześmiewcze rysunki, formą przypominające karykatury. Tworzył wiersze, piosenki, śpiewane nieraz w Piwnicy pod Baranami, a także scenariusze filmowe. I to właśnie dzięki realizacji jednego z nich poznał swoją przyszłą żonę, której zrobił tak duże i zmysłowe zdjęcia. Zobaczcie je koniecznie.

Jerzemu Pilchowi wyrazy współczucia po śmierci Mamy.

Jerzy, trzymaj się.

Zespół „Krakowa”

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Przepraszamy

W poprzednim numerze „Krakowa” (11/2019) nie podaliśmy, kto jest autorem zamieszczonego na okładce zdjęcia figur z ołtarza Wita Stwosza w Bazylice Mariackiej. Otóż tę piękną fotografię wykonał Andrzej Nowakowski, którego inne zdjęcia mariackiego ołtarza można znaleźć w albumie *Blask. Ołtarz Mariacki Wita Stwosza / Shine. St. Mary's Altar by Veit Stoss*, wydanym w 2011 roku przez Universitas.

Andrzeja Nowakowskiego oraz Czytelników przepraszamy.



Rys. Piotr Błachut

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopisem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Baba i Anioł

Tekst i zdjęcie: Witold Beres

Z jednej strony – zmysłowa i atrakcyjna wulgarność, z drugiej eteryczność anioła, która chroni. Kobiety w malarstwie Iwony Siwek-Front i Łucji Kłańskiej-Kanarek spotkały się na jednej wystawie organizowanej przez Ewę Bielecką.

Wystawa ta, otwarta w październiku w hotelu Rubinstein na Kazimierzu, to kolejny element projektu *Kobieta ikoną kultury* wymyślonego przez Ewę Bielecką, animatorkę krakowskiej kultury. Teraz pokazano prace, których motywem jest wielowymiarowość kobiecości na jej dwóch biegunach – Anioła i Baby. Pół-ladacznicza, pół-mniszka? A czemużby nie?

Bo choć oba typy malarstwa wyrażają z różnych postaw, to oba sprządzają widza do stanu wrażliwości, w którym na kobietę patrzy z czułością, zachwytem – ale i zrozumieniem.

Siwek-Front: „Początkowo malowałam i rysowałam beztrudnie kobiety, ale z biegiem czasu dojrzały, przezołgały się przez poligon, jakim jest życie, i wreszcie są takie, jakimi chcą być kobiety w XXI wieku – świadome swojej siły, intelektu i urody. Dołączają one do tłumu kobiet, którym przyszło chodzić na demonstracje, by walczyć o spokój, niezależność, ale i walczyć z głupotą”.

Malarka zwana żartobliwie „Łucją od aniołów” idzie drugą stroną ulicy. Bo choć sztuka pełna jest aniołów,

to zwykle są to postaci męskie, a czasami słodkie, tłuste putta. Zaś anioły Kłańskiej-Kanarek od początku przyjęły postać kobiecą, ubierając się w piękne suknie, nie stroniąc – choć to byty duchowe – od złota, koronek, wstążek i szpilek.

Tak mówi o swej pasji: „Biblia mówi o aniołach ponad trzysta razy. Ja w ich istnienie po prostu wierzę, wiem, że mi towarzyszą. Zaintrygowały mnie na tyle mocno, że zaczęły się coraz częściej pojawiać w moich pracach. Najpierw jako bohaterowie judaistycznych obrazów, które malowałam przez lata, potem przeniknęły w polski pejzaż, by wreszcie przenieść się do Krakowa, chroniąc Miasto mojego życia, błogosławiąc mu, układając je do snu...”

Anioł i Baba to kolejna inicjatywa Stowarzyszenia „Na Rzecz Rozwoju” w cyklu *Kobieta ikoną kultury*. Wcześniej, w Muzeum Archeologicznym, była wystawa poświęcona *Wiedźmie*, obejmująca grafiki z XVI-XVIII wieku, w tym ryciny autorstwa Albrechta Dürera.

Tak, nie przez przypadek uważa się dziś, że to kobieta w przedchrze-

W następnym numerze:



Alosza Awdiejew – nasz Rosjanin

Miasto okiem Ryszarda Horowitza

Szmacianka pod samym Wawelem

Nowe opowiadanie Sławomira Shuty

ścijskich społecznościach słowiańskich posiadała tajemną wiedzę, i to do niej tylko zwracano się po radę.

Czekamy więc na kolejne odsłony projektu!



Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy

Opracowała: Magda Huzarska-Szumiec

Hulaj... noga, piekła nie ma

Dokumenty, portfele, klucze, a nawet torby podróżne czy wózki dziecięce – takie przedmioty najczęściej przynoszone są do biura rzeczy znalezionych w Krakowie. Ostatnio jego pracownicy trochę musieli się zdziwić, kiedy zaczęły do nich napływać hulajnogi elektryczne, i to w niemałych ilościach. Otóż moda na tę alternatywną formę transportu publicznego sprawiła, że przechodnie nawet na A-B zaczęli się poty-

kać o pozostawione gdzie popadnie dwukołowce, najczęściej oparte o elewacje kamienic, leżące pokotem na chodnikach i skwerach. Całkiem słusznie nie spodobało się to prezydentowi Jackowi Majchrowskiemu, który poprosił podległe mu służby, aby porzucone hulajnogi odstawiały do biura rzeczy znalezionych. Przy najmniej dopóty, dopóki hulajnogowy ruch nie będzie miał uregulowań prawnych. Obawiamy się jednak, że

gdyby ową dyrektywę stosować na obszarze całego miasta, wszystkie służby musiałyby być skierowane tylko na „odcinek” hulajnóg, bo te wyrastają jak grzyby po deszczu. A w kolejce być może już czekają segwaye, elektryczne deskorolki, samobieżne wrotki i kto wie, co tam jeszcze. W tej sytuacji aż prosi się o wynalezienie urządzenia, które ładowałoby nie tylko energię elektryczną, ale także zdrowy rozsądek.



Rys. Małgorzata Tabaka

Nam żaden język niestraszny

I nie tylko nam. Bo dzięki gadżetowi wymyślonemu i skonstruowanemu przez krakowianina Macieja Góralskiego porozumiewanie się we wszystkich językach świata stało się dziecinnie proste. Żeby zrozumieć działanie urządzenia o nazwie Vasco Mini 2, wyobraźcie sobie taką oto scenkę. Idziecie przez A-B i nagle podchodzi do was, dajmy na to, Węgier. Węgier ów nie zna języka angielskiego, tym bardziej polskiego. Ale o coś was zagaduje. Wy, znający tylko dwa słowa po węgiersku – „gulasz” i „lecz” – bezradnie rozkładacie ręce. Ale, zaraz, zaraz... Przypominacie sobie, że w kieszeni macie Vasco Mini 2. Włączacie je, a ono płynną polszczyzną tłumaczy

słowa Węgra. Rzecz jasna, działa to w obydwie strony, więc rozmawiacie sobie do woli na przykład o tym, czy lepsza jest zupa z ryb wyłowionych z Cisy czy z Dunaju. Swoje zdanie na ten temat może również wtrącić, dzięki temu kieszonkowemu gadżetowi, przechodzący obok Duńczyk, Koreańczyk, Lapończyk itd. Lubimy się chwalić osiągnięciami krakowskich racjonalizatorów, zwłaszcza że Vasco Mini 2 robi światową karierę. Jednocześnie prosimy, by w swoim translatorze pan Maciej uwzględnił także opcję tłumaczenia z polskiego na polski. Bo trudno oprzeć się wrażeniu, że coraz częściej mamy problemy z rozumieniem siebie samych.



Rys. Piotr Blachut

Drzwi Tadeusza Kościuszki

Muzeum w formie pod kopcem Kościuszki wzbogaci się o niezwykle cenny eksponat. Na tworzonej tu wystawie *Kościuszko – bohater wciąż potrzebny* zwiedzający będą mogli podziwiać drzwi z dworu w Miłocicach, gdzie w 1794 roku Naczelnik spędził pierwszą godzinę po bitwie pod Raclawicami. Istnieje przypuszczenie, że to za nimi Tadeusz Kościuszko nie tylko spał, ale i pisał raport do narodu po zwycięskiej bitwie. Owe drzwi dla przyszłych pokoleń uratował właściciel sąsiedniego dworu w Kacicach. Przez lata przechowywał je, a teraz podarował tworzącemu muzeum Komitetowi Kopca Kościuszki. Obecnie poddane są konserwatorskiemu liftingowi, ale już od maja lub czerwca 2020 roku będziemy mogli nimi cieszyć nasze oczy. Idąc za przykładem pana, który owe drzwi uchował, proponujemy przyszłym muzealnikom już dziś zabezpieczać dla potomnych inne równie wartościowe eksponaty. Najchętniej widzielibyśmy wśród nich: drabinkę prezesa, fotel bujany premiera czy zydel prezydenta.

Piłkarz Cracovii na wieży Mariackiej

Miłą i jakże krakowską niespodziankę zgotowali kibice Cracovii Sergiu Hance – strzelcowi jedynej, ale za to zwycięskiej bramki w derbach z Wisłą. Otóż, zorganizowano mu wizytę u hejnalistów na wieży Mariackiej. Sergiu, wraz z żoną Andreą, mógł nie tylko podziwiać A-B z lotu ptaka, ale wysłuchał punktualnie o 13 dedykowanego mu hejnału. Bohater jednak na tym nie poprzestał. Wziął trąbkę do rąk i zadął w nią. My zaś, żeby zachować parytet, podpowiadamy kibicom Wisły kilka równie krakowskich sposobów na fetowanie swoich herosów: balonową wizytę w przestworzach, podziwianie panoramy Krakowa z kopca Kościuszki czy przejażdżkę dorozką. Choć coś nam mówi, że fani Białej Gwiazdy obejdą się doskonale bez naszych rad.

Obrączka szuka męża lub żony

Takiej treści ogłoszenie ukazało się na stronie facebookowej Muzeum Krakowa i na słupach ogłoszeniowych. Zostały powiadomione także hotele, a w akcję włączył się nawet konsulat Francji, na wypadek, gdyby... Ale po kolei. Pewnego październikowego ranka pracownica muzeum, pani Monika Kochuch, idąc ulicą Reformacką w kierunku Krzysztoforów, znalazła złotą obrączkę. Miała ona wygrawerowaną datę 4 X 1952 oraz dwa imiona: Gillbert i Monique. Sprawa więc z gruntu stała się międzynarodowa. W anonsach podawano tylko imię Gillbert, a Monique, dla pewności, miało paść z ust szczęśliwego właściciela, jako odzew na hasło. Nie minęły dwa tygodnie, gdy po znalezisko zgłosiła się pani Maria, dla której obrączka okazała się cenną pamiątką rodzinną po nieżyjącym szwagrze, Belgu. Starsza pani zgubiła ją, gdy wieczorem wracała z mszy u Reformatów. Pani Monice Kochuch i wszystkim instytucjom gratulujemy wielkiego zaangażowania w dzieło znalezienia właściciela obrączki. A przy okazji przypominamy jedno z *Piórek* Sztudyngera: „Czemu to chodzisz z oczy spuszczone, piękno Krakowa nie leży na ziemi”. Jak widać, czasami jednak warto spuścić oczy.



Joanna Karpowicz
Świerszcze, z cyklu Anubis w podróży, 30 x 40 cm, akryl na płótnie, 2019

Klub przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Andrzej X., Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Marek Borkowski, Kraków

Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Krzysztof Kołtun, Chełm
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
Jacek Purchla, Kraków
Gwidon Dziwoki, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja
Lidia Hanusiak, Kraków
Andrzej Gaworski, Warszawa

Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków;
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczuk, Kraków
Piotr Maciukiewicz, Zabierzów

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwa miesiące 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Pięć przyczyn przegranej Koalicji Obywatelskiej (i ani słowa o futbolu!)

Tekst: Jerzy Pilch

Spot Koalicji Obywatelskiej. Trzypokoleniowa rodzina przy stole. Zanim zapowiedzą, że „jutro może być lepsze” – dziękują premierowi Morawieckiemu za 500 plus. Można przecierać oczy ze zdumienia. Kto finansuje tę reklamówkę? Nie można przyznać racji ekipie rządzącej i starać się o wygraną. Nie można w spocie proponującym inną wizję Polski i nowego jutra zaznaczać zasługi kontrkandydata i wygrać. Z badań wyszło, że comiesięczne 500 złotych ważne jest dla społeczeństwa. Nawiasem mówiąc, paradoks wypłaty kasy rodzicom, a nie dziadkom, którzy odłożyli ją na emeryturę, podkreśla niewiele. Liberalizm liberalizmem, a elektorat nasz pan.

Do kampanii należy się przygotować, zwłaszcza jeśli ma się kilka lat. Wódz prowadzący do wygranej Koalicji Obywatelskiej zostaje powołany w ostatniej chwili, co obnaża brak długofalowej strategii, której nie sposób odmówić PiS-owi. Małgorzata Kidawa-Błońska wydaje się niepewna i zdezorientowana, a jej apele o podniesienie poziomu debaty publicznej dość naiwne.

Jak uczy doświadczenie – w Polsce najłatwiej wygrywa się wybory, prowadząc kampanię negatywną. PiS wskazał wroga (elity, lewica, LGBT, III RP) oraz wartości do obrony (polskie ego narodowe, „prawdziwa rodzina”, Kościół, tradycja) i uderzył tym samym w najślabszy punkt naszej tożsamości narodowej. Trzy lata temu w Teatrze Narodowym obejrzałem spektakl *Dowód na istnienie drugiego* w reżyserii Macieja Wojtylszki, a kwestie Jana Englerta w roli Witolda Gombrowicza pamiętam do dziś, mogę je co więcej dokładnie zacytować dzięki śp. Zdzisławowi Pietrasikowi, który przytoczył je w tekście *Dialogi polsko-polskie* w „Polityce”.

„Nieakceptowana drugorzędność może się stać obsesją i zniszczyć mózg. A Polacy tego nie rozumieją i z tą swoją megalomanią narodową są po prostu żałośni. Uważają, że Bóg ich prowadzi za rączkę, więc nie muszą być samodzielni. Za to tak bardzo nie chcą być samodzielni, że się przez to stają coraz bardziej drugorzędni”.

Koalicja Obywatelska prowadziła kampanię pozytywną – „Jutro może być lepsze”, Sejm może pracować lepiej, możemy odnosić się do siebie grzeczniej. W Polsce w ciągu ostatnich lat wydarzyły się rzeczy do tej pory teoretycznie niemożliwe i może warto było znaleźć sobie jak za dawnych lat wroga. Strasznie PiS-em jakie jest, takie jest, ale działa.

Przegrana wyborów samorządowych, parlamentarnych i – jak nie tylko mnie się zdaje – niestety prezydenckich ma swój początek w reakcji Platformy Obywatelskiej na tak zwaną aferę taśmową. Donald Tusk zachował się wtedy szlachetnie, składając wniosek o wotum zaufania dla rządu i skreślając niejako z góry polityków, którzy wypili drogie wino i wypowiedzieli wiele brzydkich słów. Nie popełnili jednak przestępstwa. Prozachodnie standardy nie

działały pod flagą biało-czerwoną. Ta decyzja zastopowała kariery kompetentnych politycznych rzemieślników jak choćby Radosława Sikorskiego czy Jacka Rostowskiego. Ucierpiał wizerunek całej Platformy, elektorat PiS-u tylko utwierdził się w przekonaniu, że obóz rządzący (elita) przejada pieniądze po-

W Polsce w ciągu ostatnich lat wydarzyły się rzeczy do tej pory teoretycznie niemożliwe i może warto było znaleźć sobie jak za dawnych lat wroga. Strasznie PiS-em jakie jest, takie jest, ale działa.

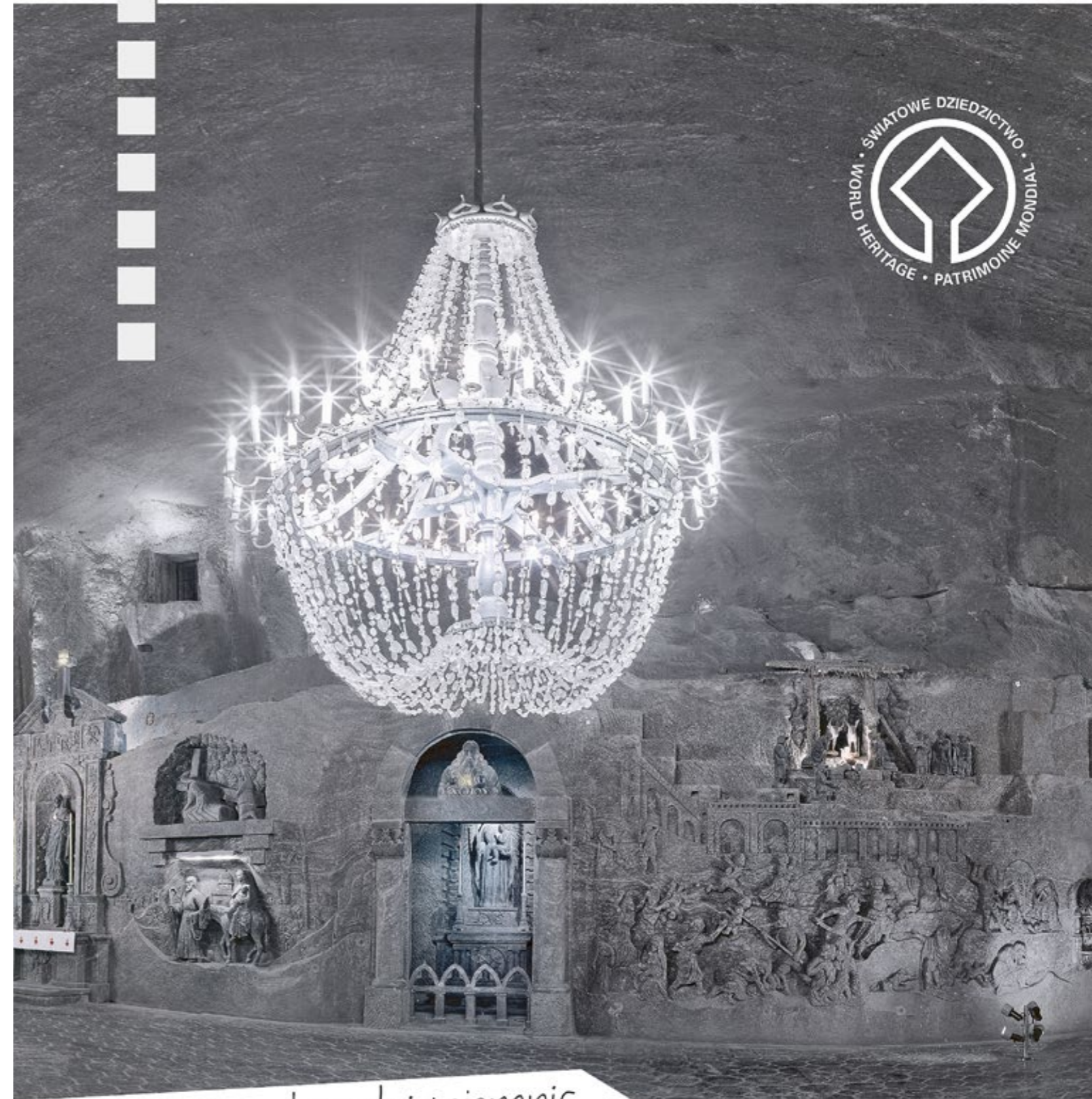
datników i obraża ojczyznę. Może warto było wtedy zachować się tak, jak teraz Jarosław Kaczyński wobec marszałka Kuchcińskiego czy szefa Najwyższej Izby Kontroli Banasia. Bronić swoich mimo wszystko, trzymać się solidarnie razem, a jak godzina wybijie – kontratakować. Powołuję się na efektywność polityki z *House of Cards*: „utrata twarzy albo pokaz siły”. Nie zapominajmy, że na taśmach występuje również Mateusz Morawiecki, wyśmiewający klientów banku WBK, którzy kupują reklamówkę z Chuckiem Norrisem. Teraz jest premierem.

Jarosław Kaczyński tworząc aurę tajemniczości wokół siebie i swojej rodziny, sakralizując brata, przez liczne miesięcznice wyprodukował Donaldowi Tuskowi i ekipie z PO potężny elektorat negatywny. Liczba gorących przeciwników jest większa niż przychylnych zwolenników. Krew na rękach to zarzut zero-jedynkowy, z którym polemizować nie ma jak.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

Kopalnia Soli „Wieliczka”



Witaj w kopalni tajemnic

www.kopalnia.pl



Joanna Karpowicz, *Botanica* z cyklu *Anubis w podróży*, 92 x 65 cm, akryl na płótnie